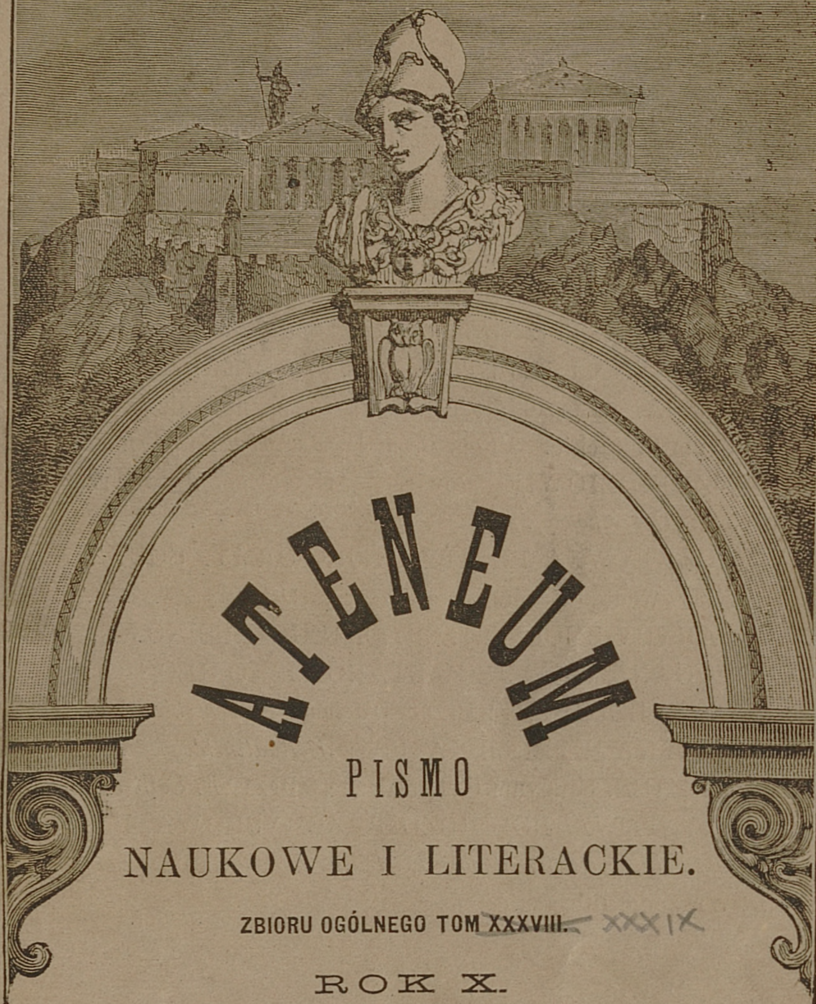


ATENEUM

PISMO

NAUKOWE I LITERACKIE.

ZBIORU OGÓLNEGO TOM XXXVIII. XXXIX

ROK X.

TOM III. — ZESZYT I.

Lipiec.

WARSZAWA.
Druk K. Kowalewskiego, Królewska N 23.

1885.

SPIS RZECZY.

Druk ukończono 1 Lipca 1885 r

DWIE MISYE

FRANCISZKA PONIŃSKIEGO, STAROSTY KOPANICKIEGO, DO PIOTRA I.

w latach 1717 i 1718.

Poselstwo Franciszka Ponińskiego, starosty Kopanickiego do Piotra, o którém nam tu mówić przychodzi, wymaga dla bliższego objaśnienia swéj genezy i zrozumienia przebiegu rzeczy, rozpatrzenia się nieco szczegółowego w okolicznościach i stosunkach, które je poprzedziły. W tym celu zaś wypadnie sięgnąć w przeszłość dość daleką, bo aż do roku 1703, miesiąca października, kiedy Patkul, jako pełnomocnik Piotra, wchodził z królem Augustem w przymierze, mające w niespełna rok późniéj, dnia 30 sierpnia 1704, znaleść potwierdzenie i rozszerzenie przez zawarty w Narwie między Piotrem a rzecząpospolitą traktat.

Do najważniejszych tegoż traktatu postanowień należały artykuły zaręczające rzeczypospolitéj, prócz posiłków w ludziach i subsydyów pieniężnych, dotrzymanie aliansu aż do wywalczenia wspólnego pokoju i zwrot „zabranych jéj przez buntownika Paleja twierdz ukraińskich". *Piąty*, najważniejszy ze wszystkich dla rzeczypospolitéj artykuł traktatu brzmiał następnie: „Jako Jego Carskie Wieliczestwo po te czasy swoje zwycięzkie oręża nie tylko w Inflantach, ale i innych miejscach, cokolwiek w posessyach wspólnego nieprzyjaciela zostawało, przy pomocy Najwyższego prowadził, tak i na potém prowadzić będzie, takim sposobem, że wszystkie te fortece, miasta y zamki, które w całém Księztwie Inflantskiém i przynależących do niego ziemiach, cokolwiek do Rzeczypospolitéj należało i za pomocą Boską do Jego Carskiego Wieliczestwa wziętych być może, że Królewskiemu Wieliczestwu i Najjaśniejszéj Rzeczypospolitéj bez

nagrody z ochotą odda i ustąpi“. Dodajmy, że wzamian zobowiązywała się rzeczpospolita artykułem *ósmym* dopomagać Piotrowi „po uwolnieniu swoich ziem od nieprzyjaciela, do zdobyczy, mających się dokonać na Szwedach“.

Wiadomy przebieg wojny szwedzkiéj od chwili zawarcia tegoż traktatu. Od roku 1704 zalewały wojska rosyjskie kraje rzeczypospolitéj, wśród wyprzątania arsenałów polskich, twierdz i zamków, ze znajdującéj się w nich artyleryi, wśród uprowadzania licznych jeńców strony przeciwnéj w głąb' ziem rosyjskich, między którymi dość wspomnieć rozgłośnego długą niewolą i tragicznemi kolejami wziętego roku 1707 w Sapieżyńskiéj twierdzy Bychowie, generała wojsk litewskich Siennickiego. Powrót Karola XII z Saksonii w jesieni roku 1707, pochód jego przeciw Piotrowi w roku następnym, zawrót tyle fatalny na Ukrainę zadnieprską, uwieńczony tak dlań zgubnie klęską pułtawską, wyprzątnął do roku 1709 kraje rzeczypospolitéj z wojsk rosyjskich. Po bitwie pułtawskiéj wracają one wraz z Piotrem do Polski od wschodu, kiedy z drugiéj strony, od Saksonii nadciąga August, tak pierwsze, jak drugi w najstraszniejszéj, jaka być mogła, chwili, bo nie dość siedmioletnich już klęsk i spustoszeń wojennych, szerzy się z jesienią r. 1709 w Polsce straszna, znana dobrze w ówczesnych dziejach dżuma, która wyludnia kraje rzeczypospolitéj i w pustynią je niemal zamienia. Nie przeszkadza to jednakże Augustowi pracować nad restauracyą swego obalonego wojną szwedzką panowania, a w tym celu zwołuje w styczniu 1710 słynną radę warszawską, która,—pominąwszy bardzo wiele innych, obojętnych dla naszego przedmiotu rzeczy, zwraca ostatecznie między innemi baczne oko na stosunek rzeczypospolitéj do Piotra i na postanowienia narewskiego traktatu.

Przypomniała się *radzie warszawskiéj* stypulacya traktatu narewskiego co do zwrotu Inflant i zamków ukraińskich, przypomniał się nadto późniejszemi okolicznościami spowodowany obowiązek żądania zwrotu zabranéj z twierdz polskich artyleryi i licznych jeńców polskich. Z poleceniem domagania się o wszystkie te rzeczy wyprawiła rada warszawska, z uchwały swéj powziętéj 2 kwietnia 1710, Wołłowicza w. marszałka litewskiego. Poseł rzeczypospolitéj wziąwszy sobie do boku jako sekretarza ambasady, powiedziawszy po dzisiejszemu, brata swego, Wołłowicza referendarza lit., wybrał się do Moskwy. Z jakim skutkiem? Niechaj na to pytanie odpowiada następny, lakoniczny zapisek dyaryusza sejmu Grodzieńskiego z roku 1718: „*Sesya piętnasta z dnia 19 Października*. Następnie zdawał sprawę pan Wołłowicz referendarz W. Księztwa Litewskiego, brat zmarłego w. marszałka Litewskiego, który poselstwo na

Moskwę sprawował, w owym zaś czasie uczestniczył w legacyi jako sekretarz, zajmując to samo miejsce, które zwykle zajmuje marszałek izby poselskiéj. Nasamprzód przedstawił, jako legacya ta była wyznaczona przez walną radę Warszawską z roku 1710 z żądaniem wyprowadzenia wojsk moskiewskich, satysfakcyi za doznane krzywdy, zwrotu zabranéj artyleryi i jeńców, nadto oddania kraju Inflantskiego stósownie do brzmienia paktów, wreszcie innych punktów z dobra i korzyści Rzeczypospolitéj wypływających. Uczynił następnie relacyą podróży, odbytéj przez posła, zatrzymania jego na granicy przez dwanaście tygodni kwarantanny z powodu grasującéj naówczas dżumy, daléj przybycia jego do stolicy Moskiewskiéj i przyjęcia z wszelkiemi honorami charakterowi jego należnemi. Czytał potém memoryały i żądania uczynione J. Carskiéj Mości, wraz z odpowiedzią na pojedyncze punkta, *która to odpowiedź wiele wprawdzie obiecywała, ale wszystko prawie warunkowo i dwuznacznie*". W ten to sposób nie odniosło poselstwo Wołłowicza żadnego prawie rezultatu, a upłynęły odeń znów dwa lata ciężkich utrapień i dolegliwości dla przetrzebionego dżumą, niszczonego pożarami, rabunkiem, przemarszami i pobytem wojsk obcych kraju.

Podobny stan rzeczy zaciężył wreszcie nawet samemu królowi Augustowi, tém więcéj, że groził pomścić się na trwałości jego panowania w Polsce. Właśnie podczas najsroższéj gospodarki „wojsk auxyliarnych" w kraju, a pobytu Augusta w Karlsbadzie. — w maju 1712,—nastąpiła słynna swego czasu wyprawa Jana Grudzińskiego, starosty rawskiego, z Benderu, z pod boku Karola XII, do Polski. Po niespodzianie szczęśliwych początkach rozbiło się to przedsięwzięcie, omylone w nadziei pomocy mającéj przybyć ze Szwecyi, o przewagę wojsk rosyjskich. Pobity w końcu czerwca pod Krotoszynem starosta rawski, znalazł się w konieczności odwrotu. Łatwość jednakże początkowa jego powodzeń, współczucie, jakie w kraju znalazł, — wszystko to wpłynęło nie tylko na co prędszy powrót Augusta z Karlsbadu do Polski, ale co ważniejsza na chęć zaradzenia *przyczynie* złego, które się streszczało głównie w fakcie uciążliwego pobytu „wojsk auxyliarnych" w krajach rzeczypospolitéj. W tym celu złożył król 13 sierpnia 1712 r. radę senatu w Międzyrzeczu wielkopolskim i ogłosił na mocy jéj uchwał do narodu manifest, w którym obiecywał ewakuacyą kraju ze strony wojsk obcych i zapowiadał w tym celu wyprawienie poselstwa do Piotra. Misya ta dostała się w roku następnym Jakóbowi Duninowi, regentowi kancelaryi koronnéj, który jéj dopełnił wiernie, z tym samym ujemnym, co Wołłowicz, rezultatem. Posłuchajmy znów równie lakonicznéj relacyi Dunina, na téjże saméj sesyi późniejszego sejmu grodzieńskie-

go 19 października 1718: „Następnie (po Wołłowiczu) czynił drugą relacyą Pan Dunin, regent kancelaryi koronnéj komisyi swéj do Cara Jmci, jaką miał i uchwały rady senatu r. 1713. Odczytał daną sobie instrukcyą i sporządzony na podstawie jéj memoryał, który Carowi przedłożył. A ponieważ tak memoryał, jak i konferencye z jego strony odbyte zawierały drażliwą materyą w przedmiocie bezzwłocznéj ewakuacyi wojsk moskiewskich i satysfakcyi za doznane krzywdy, został z tego powodu nie tylko odprawiony bez ekspedycyi, ale nawet oskarżony, jakoby się z danego polecenia był źle wywiązał. Po ukończeniu tych relacyj wspomnieni sprawozdawcy (Wołłowicz i Dunin) wykonali przysięgę na prawdę swych sprawozdań i że po za obrębem swych poleceń niczego nie praktykowali".

Mimo więc obu wspomnianych poselstw, pozostały „wojska auxyliarne" w krajach rzeczypospolitéj, a zbieg okoliczności w latach następnych wpłynął z rozmaitych przyczyn raczéj znów na przedłużenie i utrwalenie ich pobytu. Nie zapominajmy, że lata po misyi Dunina, są właśnie epoką przygotowującéj się konfederacyi Tarnogrodzkiéj i ostatecznego jéj wybuchu w roku 1715. Obie wojujące strony, tak król August, jak skonfederowana szlachta, potrzebowały Piotra, że się odwoływały do jego, reprezentowanéj przez posła kniazia Hrehorego Dołgorukiego mediacyi. Rozumie się, że wśród podobnych okoliczności, mimo wszelkiego, wypływającego z pobytu wojsk obcych ciężaru, nie mogło być mowy o zbyt energicznych krokach w celu ich wyproszenia po za granice rzeczypospolitéj. I otóż *pierwszy* powód ich przedłużonego pobytu.

Drugi, ważniejszy nierównie, stanowiła odbywająca się równocześnie, ważna, zagrażająca zmianą dotychczasowéj postaci rzeczy oscylacya polityki Piotrowej. Karol XII wyparty naówczas (1715. 1716) z całego lądu stałego Europy, przyprowadzony do ostateczności, pozbawiony prawie środków dalszego prowadzenia wojny, oddał się zupełnie niemal w ręce znanego późniéj przez swój tragiczny koniec Holsztyńczyka, barona Goertza, przy którym pełnił służbę powiernika królewskiego i wyręczyciela Stanisław Poniatowski. Planem Goertza było pogodzić jakimbądź kosztem króla szwedzkiego z Piotrem, poświęcić prowincye szwedzkie, znajdujące się już w faktycznem jego posiadaniu, by w dalszém następstwie, a w porozumieniu z Rosyą odbić swe straty na Danii i Niemczech. Pomysł ten trafiał Piotrowi do przekonania tém więcéj, że ułatwiać się zapowiadał olbrzymich rozmiarów akcyą, jaką korzystając ze swych dotychczasowych tryumfów, sam podjąć naówczas zamierzył. Akcya ta zdążała do opanowania całych, o ile możności, południowych brzegów morza baltyckiego, Gdańska, Szczecina, Stralsundu, księstw

Meklemburskich, może nawet Kopenhagi. Jednym z pożądanych niezmiernie *środków i sposobów* podobnéj akcyi, stawała się dla Piotra sprawa zatargu księcia Meklembursko - Zwierzyńskiego, Karola Leopolda, ze stanami swego kraju. Piotr postanowił wziąć w tym celu pod opiekę nieciekawego skądinąd wcale księcia Meklemburskiego i nie rozwiedzionego jeszcze z pierwszą żoną ożenić z Katarzyną Iwanówną, synowicą swoją, siostrą owdowiałéj już wówczas Anny, księżnéj Kurlandzkiéj. Od téj chwili rozpoczyna się, ze strony Piotra akcya, tłómacząca zarazem jak najwyraźniéj przedłużony pobyt „wojsk auxyliarnych" w krajach rzeczypospolitéj.

W kwietniu 1716, właśnie wśród najgorętszego żaru konfederacyi Tarnogrodzkiéj, zjeżdża Piotr, wraz z małżonką Katarzyną, opuszczając na długo swój kraj, do Gdańska. Zjeżdża tu równocześnie August w otoczeniu dygnitarzy saskich i polskich, dyplomatów zagranicznych mocarstw, w towarzystwie ówczesnéj kochanki swojéj Denhoffowéj, zjeżdżają reprezentanci konfederacyi Tarnogrodzkiéj, Romanowski, podkomorzy chełmski i sekretarz jego Frezer, wszyscy naturalnie w swoich specyalnych interesach, kiedy Piotr podejmuje przedewszystkiém zabiegle i energicznie *własne*. Pierwszym na téj drodze krokiem były zaślubiny ks. Meklemburskiego z synowicą carską, odprawione uroczyście w Gdańsku 19 kwietnia 1716. Stosunek zawiązanego w ten sposób pokrewieństwa stawał się najlepszym pomostem do zawarcia związku politycznego. W sam dzień zaślubin stanął między księciem Meklemburskim a Piotrem traktat przymierza, mocą którego drugi obowiązywał się być pierwszemu pomocą w jego zatargach ze stanami własnego kraju. Stosownie do brzmienia traktatu polały się szerokim strumieniem wojska rosyjskie z krajów rzeczypospolitéj wzdłuż nadbrzeża baltyckiego do Meklemburgii i urosły wkrótce w poważną, groźną Rzeszy Niemieckiéj, Hanowerowi i Danii siłę 40 tysięcy ludzi, pod naczelném dowództwem generała Adama Weyde. Rzecz naturalna, że w obec podobnych, zakrojonych na północne Niemcy i nadbrzeża baltyckie planów, kraje rzeczypospolitéj wychodziły na podstawę operacyjną akcyi Piotra, że interes jego polityki wymagał zatrzymać wojska swe w Polsce, że nadewszystko miasto Gdańsk stawało się dla niego punktem oparcia nieobliczonéj wagi. Podczas pobytu swego w Gdańsku, w kwietniu i maju 1716, widzimy téż główną jego działalność zwróconą na „zabezpieczenie" sobie Gdańska i Gdańskiego przymierza, na wpół podstępem, na wpół przymusem. Obecność równoczesna w Gdańsku króla Augusta i panów polskich nie stanowiła pod tym względem żadnéj przeszkody, ponieważ wśród zawichrzeń konfederacyi Tarnogrodzkiéj Piotr był pierwszemu i dru-

gim *potrzebnym*, tak, że polityki jego choćby nawet nieprzyjaznéj miastu wchodzącemu w skład rzeczypospolitéj, krzyżować nie chcieli. Dzięki tedy podobnemu położeniu rzeczy i zbiegowi okoliczności, wymusił Piotr na magistracie Gdańska, poparty równocześnie obecnością swéj floty, złożonéj z 48 galer o siedmiu działach, oraz z załogą 4000 ludzi, a tamującéj miastu handel od strony morskiéj, słynną w dziejach téj epoki konwencyą, mocą któréj Gdańsk obowiązywał się wypłacić Piotrowi znaczną, mającą się późniéj oznaczyć bliżéj sumę pieniężną i wystawić pięć tak zwanych *kaprów*, każdy o 18, przynajmniéj 12 działach, z majtkami i żołnierzami do połowy gdańskimi, w drugiéj połowie moskiewskimi, pod komendą oficerów zamianowanych przez Piotra, ku czuwaniu nad brzegami Baltyku i przejmowaniu jakiéjbądź komunikacyi szwedzkiéj z temiż wybrzeżami. Prócz tego miał być ustanowiony w twierdzy Weichselmündzkiéj osobny komisarz Piotra, którego zadaniem było poddawać ścisłéj rewizyi wszystkie, czy-to wypływające z Gdańska na morze, czy przybywające do miasta statki w celu stwierdzenia, czy pomiędzy towarami, jakie wiozą, nie zawierają kontrabandy wojennéj. Magistrat gdański oglądał się w swém zakłopotaniu nadaremno na opiekę króla i rzeczypospolitéj. August nie zatwierdził wprawdzie owéj konwencyi, wstawiał się za magistratem u Piotra, ale nie uczynił wraz z otoczeniem swojém nic istotnie, aby jéj trwale na przyszłość zagrodzić drogę. Konwencya przyszła tedy przymusowo wśród podobnych okoliczności do skutku, jakkolwiek chwilowo odroczono jéj wykonanie. Piotr opuścił wśród salw artyleryi miejskiéj i własnéj floty, z warującą fakt konwencyi literą w ręku, Gdańsk d. 11 maja 1716 i ruszył w długą podróż do Niemiec, następnie do Holandyi i Francyi. „*Wojska auxyliarne*“ zostały tymczasem w kraju, będąc z jednéj strony neutralnemi świadkami toczącego się między Sasami a konfederacyą Tarnogrodzką boju. Przez rok 1716 i 1717 znajdują się te wojska w stanie ciągłych marszów po całéj przestrzeni krajów rzeczypospolitéj, stosownie, bądź to do potrzeby własnego utrzymania, bądź do ewolucyi polityki Piotra, na widowni nadbaltyckiéj, a mianowicie w księstwie Meklemburskiém. I tak np. kiedy z początkiem roku 1717 oddziały wojsk rosyjskich, zajmujące województwa wielkopolskie zabierają się niby to do wymarszu stamtąd, zapowiada wkroczenie swe w téż same województwa, powracający z Meklemburgii korpus generała Weyde. „*Marches und remarches*“—otóż, jak bawiący natenczas w Polsce rezydent cesarski Martels ruchy ówczesne wojsk rosyjskich charakteryzuje. O istotnéj ewakuacyi krajów rzeczypospolitéj nie ma przez te lata wcale mowy. Magazyny wojska obcego pozakładane w różnych miastach na całéj przestrze-

ni rzeczypospolitéj. Spotykamy się z niemi w Skwierzynie nad granicą brandenburską, w Toruniu, w Starogrodzie, w Grodnie, w Kownie, Wilnie. Ogólna liczba sił rosyjskich, będących w Polsce w stanie ciągłych ruchów po kraju i przemarszów do Pomorza i Meklemburgii, wynosi razem do 40000 ludzi. W Wielkopolsce spotykamy się z generałem Matuszkinem kwaterującymw Skwierzynie,— podkomendnym jego w pobliskiéj okolicy jest pułkownik Campenhausen. W Lesznie kwateruje przez niejaki czas generał Szeremetiew, na Żuławach generał-porucznik Dołgoruki, następnie Repnin i generał Jakowlew, na Litwie brygadyer Ropp, w Małéj Polsce generał Bauer, nie wyliczając wielu, bardzo wielu innych, żywioły rozmaitéj narodowości, pośród których najliczniéj przecież reprezentowany niemiecki. Jedno z niepodejrzanéj wiarogodności, współczesnych sprawozdań opowiada, „jak każdy prawie z tych panów ma po kilka koni a nawet psy do polowania“.

W najjaskrawszych przecież barwach skreśla straszliwe w owym tragicznym roku 1716 wycieńczenie i zniszczenie kraju, rezydent cesarski przy boku Augusta, baron Martels. Martels, który towarzyszył królowi w jego ówczesnéj wycieczce do Gdańska, skreśla z niesłychaną dokładnością wszystkie szczegóły tamtejszego pobytu Augusta i Piotra, wszystkie dolegliwości miasta Gdańska, wraca następnie w czerwcu wraz z Augustem do Warszawy. Posłuchajmy, jak brzmi opowiadanie tego niepodejrzanego świadka o stanie zniszczenia, jaki wówczas kraj polski przedstawia: „Ta, jakkolwiek krótka podróż (z Gdańska do Warszawy) była jedną z najuciążliwszych, jaką sobie tylko wyobrazić można, zwłaszcza, że wszystkie wsie polskie, przez które przejeżdżaliśmy, odznaczały się takiem ubóstwem i nędzą, że w nich nie można nawet było dostać ani jednego kawałka chleba, a cóż dopiero mówić o innéj żywności! Pojawiający się w nich, rzadcy mieszkańcy wyglądali raczéj na zwierzęta, aniżeli na ludzi, a gdyby J. Król. Mość (August) nie była miała przezorności zabrać z sobą z Gdańska potrzebnych zapasów, byłoby chyba trzeba po drodze z głodu umierać. J. K. Mość była tak dla mnie, jak dla posła angielskiego (Vernon) tyle łaskawą, że nas wszędzie zaopatrywała w kwatery i zapraszała do królewskiego stołu. W Mławie, gdzieśmy znów po raz pierwszy na ziemię polską wstąpili, spotkaliśmy 300 dragonów moskiewskich, składających się z samych dzielnych żołnierzy, którzy nas aż tutaj (tj. do Warszawy) eskortowali.“ Otóż jeden z obrazów ówczesnéj nędzy i wyniszczenia kraju polskiego, o jaki zresztą wtedy nie trudno a jakichby się znaleść dało wiele więcéj.

Wśród takich to okoliczności, rozpoczęły się za medyacyą Piotra, w obecności jego posła Dołgorukiego w Janowcu, Kazimierzu nad Wisłą, Lublinie, wreszcie w Warszawie saméj owe układy między królem a konfederacyą Tarnogrodzką, których ostatecznym rezultatem był słynny w dziejach Augusta, zatwierdzony na tak zwanym sejmie Niemym traktat warszawski z dnia 1 lutego 1717. Pomiędzy licznemi artykułami onego znajdują się dwa, które w szczególności przedmiot naszego opowiadania interesują. Jednym z nich obowiązywał się król z wyjątkiem 1200 ludzi gwardyi, wyprowadzić wojska saskie w przeciągu czterech tygodni od dnia zawartego traktatu po za granice rzeczypospolitéj, drugim, nie wprowadzać do kraju nigdy jakiegobądź innego obcego żołnierza bez wyraźnego pozwolenia rzeczypospolitéj. Stypulacya ta obejmowała, według interpretacyi tyle spragnionéj wytchnienia i pokoju szlachty, tém niewątpliwiéj ewakuacyą krajów rzeczypospolitéj i ze strony „wojsk auxyliarnych“, że sam Piotr w podpisanéj przez się własnoręcznie, a kontrasygnowanéj przez kanclerza Gołowkina asekuracyi udzielonéj posłom konfederacyi Tarnogrodzkiéj Romanowskiemu i Frezerowi w Gdańsku 26 kwietnia 1716, wystawił następne zaręczenie: „Tymczasem, aby zadowolnić Wasze i Rzeczypospolitéj życzenia, przyrzekamy wam i oświadczamy niniejszém pismem i słowem Carskiem, że przez tęż medyacyą nie żądamy z naszéj strony w obec Rzeczypospolitéj nic innego, jak tylko rzeczywistéj zgody a doskonałego pokoju i pojednania najprędszego między królem a Rzecząpospolitą, to jest: aby Rzeczpospolita była przywróconą do wszystkich swych praw i swobód, tak, aby żaden na przyszłość gwałt nie mógł przeszkodzić ich wykonywaniu i zachowaniu, *a nareszcie, że nie wymagamy za wszystkie nasze starania żadnego wynagrodzenia, ani od króla ani od Rzeczypospolitéj, poprzestając na jedynéj a osobliwéj dla nas korzyści, zachowania dawnéj przyjaźni i przymierza.*“ Wobec podobnych stypulacyj traktatu warszawskiego i zaręczeń Piotra, zdawało się szlachcie rzeczą nie ulegającą wątpliwości, że i wymarsz wojsk „auxyliarnych“ nastąpi równocześnie z wymarszem wojsk saskich, które istotnie do końca miesiąca lutego wyszły po za granice rzeczypospolitéj. Tymczasem stało się inaczéj, a z wiadomych nam już powodów, pozostały czy zapowiadały powrócić wojska rosyjskie, kiedy saskie polski kraj opuściły. Goertz nie zasypiał swéj sprawy, nie przestawał pracować nad zawarciem partykularnego pokoju między Karolem XII a Piotrem, Piotr nie zrzekał się swych szerokowładnych planów baltyckich, nie zrzekając się ich, uważał Polskę za bezpieczną dla siebie przystań, nie myślał z niéj wojsk swych wyprowadzać. Podobny stan rzeczy, dostrzegalny co-

raz wyraźniéj od pierwszych dni marca, zaczął ciążyć szlachcie, zaczął być niewygodnym królowi samemu, który nareszcie chciał się wyemancypować z pod opieki potężnego sprzymierzeńca, który nadto stawał w fałszywém świetle w obec szlachty podejrzywającéj go coraz mocniej, iż przedłużony pobyt wojsk rosyjskich nie dzieje się bez jego przyzwolenia. Piotr sam tymczasem znajdował się naówczas wraz z małżonką Katarzyną, podkanclerzym Szafirowem, osobami zaufania Tołstojem i Kurakinem w Holandyi.

Wśród takich to okoliczności odbyła się 22 marca 1717 w Warszawie rada senatu, któréj przedmiotem obrad od początku do końca była sprawa pobytu wojsk augzyliarnych w Polsce wraz z obmyśleniem środków, jakby się tyle ciążących krajowi gości pozbyć. Rada ta senatu zapisuje obecność następnych osób: najprzód samego króla, daléj biskupa kujawskiego Szaniawskiego, biskupa poznańskiego Krzysztofa Szembeka, biskupa przemyskiego Bokuma, kasztelana rawskiego Trzcińskiego, w. marszałka koronnego Józefa Mniszcha, kanclerza w. koronnego Jana Szembeka. Po bliższém zastanowieniu, zapadła uchwała, aby wyprawić ze strony króla i rzeczypospolitéj do Piotra, gdziekolwiekbądź się znajduje, posła, któryby z powołaniem się na traktaty i przymierza istniejące między nim a rzecząpospolitą, upomniał się o jéj krzywdy i należności a przedewszystkiém zażądał wyprowadzenia wojsk ze wszystkich krajów polskich, nie wyjmując naturalnie i terytoryum Gdańska. W dodatku wchodziła téż jeszcze w program, jeżeli tak wolno powiedziéć, owéj uchwały i sprawa kurlandzka. Z nią miała się rzecz następnie. Owdowiałą od roku 1711 po księciu Fryderyku Wilhelmie Kettlerze, przebywającą stale w Mitawie księżną, była Anna Iwanówna, synowica Piotra. Stosunek jej ze stanami kurlandzkiemi nie był najlepszym, mianowicie miała księżna do nich pretensyą, iż zaległy od śmierci jéj małżonka w wypłacie ustanowionego na 40000 talarów rocznie wdowiego grosza. Piotr nie omieszkał z podobnego zatargu skorzystać i uczynił się opiekunem interesu synowicy. W tym celu zajął Kurlandyą korpusem wojsk pod dowództwem generała Bestużewa jako osobnego komisarza, obsadził portowe miasta w celu przyaresztowania dochodów celnych a nareszcie obłożył sekwestrem dobra skarbowe kurlandzkie, ażby cała zaległość księżnéj wdowy wraz z procentami zupełnie zaspokojoną była. Łatwo pojąć, jak dalece podobny stan rzeczy ciążył szlachcie i stanom kurlandzkim, jak w kłopotach swych i dolegliwościach odnosiły się drogą korespondencyi i częstych poselstw do króla i rzeczypospolitéj.

Wszystkie te sprawy razem spowodowały ową odbytą 22 marca 1717 radę senatu do postanowienia wspomnianego poselstwa. Wy-

bór osoby, któréj przeznaczono odbyć tę z pewnością nie łatwą w danych okolicznościach misyą, padł na Franciszka Ponińskiego, starostę Kopanickiego. Nim pójdziemy daléj w naszém opowiadaniu, zapoznajmy się z osobą, charakterem i dotychczasową przeszłością posła. Zobaczymy, że to wcale rzeczą nie obojętną ani dla ocenienia charakteru epoki, ani postawy posła podczas trudnéj misyi, jaką mu spełnić przyszło.

Starosta Kopanicki Franciszek Poniński, należał do znanéj, zamożnéj, osiadłéj oddawna w województwie Poznańskiem rodziny, która, jakkolwiek nie świecąc w rzędzie możnowładców, miała w chwili, kiedy Ponińskiemu poselstwo powierzono, już swoję osobną a zaszczytną kartę w ostatnich kilkunastu latach téj smutnéj epoki. Było ich trzech braci, Władysław starosta Babimojski, podkoniuszy, póżniéj referendarz koronny z ramienia Stanisława Leszczyńskiego, gorliwy i wytrwały jego stronnik; daléj Karol kanonik poznański; wreszcie nasz Franciszek, urodzony roku 1676, ożeniony z Ludwiką Domiechowską, właściciel dóbr Dłuska nad granicą brandenburską, starosta na Kopanicy, miasteczku i dobrach, leżących na owym województwa poznańskiego krańcu, który wchodzi ostrym klinem między Szląsk a Nową Marchią. Papiery, które po nim posiadamy a których treść znajduje jak najzupełniejsze potwierdzenie w innych, nierzadkich, tyczących jego osoby dokumentach, odsłaniają nam w staroście Kopanickim przymiot będący niestety szczęśliwym wyjątkiem tylko w owéj epoce. Przymiotem owym jest—nieskazitelny charakter i bezinteresowna miłość kraju. Jak większa część Wielkopolan staje starosta Kopanicki z chwilą zawiązania konfederacyi Średzkiéj w r. 1703 po stronie tejże konfederacyi przeciw Augustowi. Związany bliskiemi stosunkami z rodziną Sobieskich, znajduje się we Wrocławiu, kiedy zamach króla Augusta uprząta z widowni Jakóba i Konstantego Sobieskich, by ich osadzić na kilkoletniéj więziennéj pokucie w Pleissenburgu i Koenigsteinie. Po ustąpieniu ze sceny Sobieskich, staje się starosta Kopanicki nie inaczéj od brata swego, starosty Babimojskiego, gorliwym zwolennikiem sprawy Leszczyńskiego. Wystawiony wśród ówczesnych przemian ważącéj się fortuny na dokuczliwe prześladowania ze strony Sasów i ich sprzymierzeńców, raz ich twardo traktowany jeniec, inny raz ciężko nawet ranny przez oficera saskiego podczas napadu na własny dom—nie zmienia, jak tylu innych po bitwie pułtawskiéj i powrocie Augusta politycznéj roli a dzięki podobnéj wytrwałości, dzięki prawdziwie obywatelskiemu, tak rzadkiemu w owym czasach charakterowi, staje się mężem zaufania obu województw wielkopolskich, niejednokrotnie marszałkiem ich obrad na sejmikach w Śro-

dzie, delegatem wreszcie na kongres mający zagodzić zatarg między królem a konfederacyą Tarnogrodzką. Z tą niewątpliwą bezinteresownością, uczciwością i siłą charakteru łączył starosta Kopanicki bystry i jasny, przyrodzony rozum, tyle pożądaną daléj na stanowisku dyplomatycznêm rutynę towarzyską i śmiałość, wreszcie odpowiedni stopień ukształcenia, objawiającego się w znajomości języków łacińskiego, niemieckiego, francuzkiego, nie mówiąc o innéj nauce, na jaką ówczesną epokę stało. Jako szczegół uboczny, obojętny w ocenie moralnéj wartości starosty, ale pewnego znaczenia dla dziejów ówczesnéj obyczajowości zamożniejszéj szlachty wielkopolskiéj, zapiszmy, że wykwintniejsze meble dla domu swego czy to w Kopanicy, czy to w Dłusku, kanapy, krzesła, taborety, sprowadza sobie przez Hamburg, Berlin, Frankfurt nad Odrą, z Paryża, gdzie widocznie ma dobre znajomości i stosunki.

Otóż to osobistość, któréj rada senatu w owych kłopotliwych dniach marcowych 1717 powierzyła trudną misyę do Piotra. Co na wybór podobnéj osobistości wpłynęło? Jeżeli dobrze rzecz rozumiemy, przedewszystkiém, bliska starosty styczność z dzielnicą wystawioną chwilowo na najcięższe kłopoty z powodu pobytu „auxyliarnego żołnierza“; niewątpliwie daléj przymioty charakteru, umysłu i towarzyskiego obejścia, mianowicie owa gwarancya, jaką przeszłość polityczna starosty dawała, w obozie przeciwnym szacunek mu nie tylko jednała, ale nawet pośrednictwa *jego* osoby dla *własnego* bezpieczeństwa poszukiwać kazałą. Wrzały jeszcze pod świeżem wrażeniem tylko co minionéj konfederacyi przeciw królowi Augustowi nienawiści, odzywały się przeciw niemu mniéj lub więcéj głośno podejrzenia szlacheckie. Wybór starosty Kopanickiego na posła był szlachcie wystarczającą rękojmią, nakazywał od razu milczenie czy to nienawiściom, czy podejrzeniom, do tego stopnia, że troskliwe o powodzenie misyi żywioły, wyrażają z *tego* właśnie powodu swe obawy i wątpliwości. Tak np. znajdujemy w depeszy nuncyusza Pauluccego do dworu Rzymskiego z Warszawy 24 marca 1717 taki ustęp: „Nie podobało się księciu Dołgorukiemu (posłowi rosyjskiemu w Warszawie), że wybrano starostę Kopanickiego na posła do cara, ponieważ go uważa za człowieka usposobienia do pewnego stopnia szorstkiego, nadto nieszczególnie miłego J. K. Mości, zwłaszcza iż w czasach dawniejszych trzymał się strony szwedzkiéj.“

Właśnie jednakże może to, co się niepodobało u starosty Dołgorukiemu i Augustowi, było dlań najlepszém poleceniem w obec szlacheckiego narodu a z wiosną r. 1717, wśród kwietniowych słót roztopów, widzimy starostę puszczającego się w drogę wraz z księ-

dzem Stanisławem Święcimskim, mężem światłym i świadomym obcych języków, jako sekretarzem. Dokądże mu należało podróż obrócić, aby poszukać Piotra, *gdziekolwiekbądź się znajduje*, jak brzmiała jego instrukcya? Piotr przebywał naówczas w Holandyi. Nie było pewności, czy tamże pozostanie długo, czy z nastaniem wiosny i lepszéj pory nie obróci podróży swéj na południe. Cokolwiekbądź, wypadło posłowi rzeczypospolitéj sterować ku Holandyi, jeżeli się chciał z Piotrem spotkać, a odebrawszy przez umyślnego posłańca z Warszawy uchwałę rady senatu i instrukcyą, któréj cel już znamy a treść poznamy jeszcze niżéj, ruszył przez Frankfurt, Berlin, Lippstadt, wśród najstraszliwszych, jak powiada, dróg nasamprzod do miasta Wesel. Żałować należy, że starosta nie pozostawił żadnych zapisków z pierwszéj części swojéj podróży, a że ograniczając się w listach do dygnitarzy rzeczypospolitéj, jak do prymasa, do w. kanclerza i w. marszałka kor. do biskupów kujawskiego i poznańskiego na wyłącznem traktowaniu powierzonéj sobie sprawy publicznéj, nie zamieszcza w nich szczegółów, któreby rzucały więcéj światła na obyczajową i społeczną stronę owéj epoki. Z czém się chyba tylko w opisie jego przeprawy przez Belgią i Flandryą spotykamy, to ze skargami na utrudnienie komunikacyi pocztowéj i na przepaściste drogi, w których z powodu nieustających deszczów topić się prawie można. Stanąwszy 24 kwietnia 1717 w Brukselli, dowiedział się starosta, że Piotr opuścił już Holandyą i że się znajduje w Dunkierce. W niepewności, czy ztamtąd puści się do Anglii, czy może do Paryża, czy nie wróci czasem znów do Holandyi, wyjechał starosta do Lille, gdzie stanąwszy 26 kwietnia, dowiedział się na pewno, że Piotr ma zamiar zwiedzić Paryż a że zaproszenie od regenta Francyi księcia Orleanu i karety dworskie wyprawiono doń do Calais. Pamiętny jedynie tylko na obowiązek spełnienia powierzonéj sobie misyi choćby nawet z obrazą ceremoniału i dyskrecyi dyplomatycznéj, starosta doniósł kanclerzowi d. 26 kwietnia, że tego samego wieczora jeszcze opuszcza Lille, by zatrzymać się w Abbeville i zajechać tamże drogę jadącemu z Calais do Paryża Piotrowi. W Abbeville stanął starosta 28 kwietnia z postanowieniem cokolwiekbądź odniesienia się tutaj wprost do niego lub do jego ministrów w sprawie swéj misyi. Tymczasem przypadły na tę właśnie porę święta wielkanocne według starego kalendarza a Piotr zatrzymał się, aby je uroczyście obchodzić, wraz z całém swém otoczeniem przez kilka dni w Calais. Po całotygodniowym przykrym pobycie w małém mieście jak Abbeville, doczekał się go tutaj starosta 5 maja. Przewidywał wprawdzie dobrze trudności w uzyskaniu audiencyi u znajdującego się w podróży monarchy, ale odstraszyć się tém nie pozwolił. Zaledwie

karety wiozące Piotra i jego otoczenie zatętniały na bruku Abbeville'u, zaledwie przybyła kawalkada miała czas się rozgościć, udał się starosta do ministrów Piotrowi towarzyszących, podkanclerzego Szafirowa i Tołstoja, odsłaniając charakter ablegata króla i rzeczypospolitéj wraz z żądaniem bezzwłocznéj audiencyi. Zadziwienie, pomieszanie, widoczny kłopot obu ministrów były rezultatem jego niespodziewanéj na ziemi francuzkiéj wśród podobnych wydarzeń obecności. „Jakoż za odezwaniem się mojém,“ pisze starosta w liście swym z Abbeville do kanclerza w. koronnego 6 maja 1717, „Jmci Panu Szafirow Podkanclerzemu Cara Jmci, tak zaraz z wielkiem zmieszaniem się Jmci Pan Podkanclerzy *incanduit*, żeby wierzyć nie chciał o bytności moiey y *copiam* rozmówienia się z sobą nie pozwolił; Cara Jegomości zaś od przyjęcia y dania audiencyi tém exkuzował, że się teraz rekracyą bawi, nie ekspedycyami, ani z sobą kancelaryi ma wielkiey, do którey expedycye należą. Uważali tuteysi wielkie w Carze Jmci po odebraney o mnie wiadomości pomieszanie y nieukontentowanie. Przecież poiachawszy do Jmci Pana Tołstoy ministra Carskiego, *tulit Deus alter opem*, kiedy po uprzątnionych trudnościach, po niektórych remonstracyach y rozważeniu honoru tego, który niosę w podziękowaniu za poważną Cara Jmci interpozycyą, odebrałem zapewnienie, że w Paryżu audiencyą po odprawionych z Królem Jmcią Francuzkim ceremoniach zaraz mieć będę y prędką expedycyą.“ Po takiéj rezolucyi, przedstawiała się tedy staroście konieczność dalszéj podróży do Paryża, gdzie się spodziewał uzyskać nareszcie upragnioną audiencyą, doręczyć Piotrowi memoriał w sprawie powierzonéj sobie misyi i doczekać ze strony ministrów tak zwanéj „expedycyi.“

Donosząc z Abbeville'u jeszcze o tém wszystkiém do Polski, zapowiadał starosta, „że zapewne nie zgrzeszy przeciw prowincyi swojéj, jeżeli za bytnością w Paryżu uczyni równocześnie ze strony Króla y Rzeczypospolitéj komplement Maiestatowi Francuzkiemu, tak Regentowi, iako Królowi.“

Nawiasowo powiedziawszy, nie zawierają pozostałe po nim papiery żadnego śladu, aby zamiar ten swój był istotnie spełnił, co natomiast widzimy, to że z uznania godną energią i pośpiechem ruszył za Piotrem do Paryża, gdzie stanął 8 maja. Ciekawość, spodziewająca się znaleść w pozostałych po staroście papierach wrażenia ówczesnego jego pobytu paryskiego, opisy osobliwości, stosunków towarzyskich i społecznych paryskich, doznaje zupełnego zawodu. Czyż mylimy się? Zdaje nam się, iż biorący bardzo poważnie powierzoną sobie misyą, starosta nie miał ani myśli, ani oka dla niczego innego, ograniczał cały czas swój i starania około pisania memoria-

łów do Piotra i jego ministrów, około konferencyi z nimi, około usiłowań, by uzyskać nareszcie upragnioną audiencyą w interesie stękającego i zniszczonego kraju, Pod tym względem spotykał się przecież z niesłychanemi trudnościami, z niecierpliwiącemi go do najwyższego stopnia zwłokami. Autentyczne świadectwo jego potwierdza w stanowczy sposób. co wiadomo zkąd inąd o Piotrze, o jego niestrudzonéj ruchliwości, o jego czynnym rodzaju życia, zwłaszcza wtedy, kiedy wychylił głowę na zachód. Nie podobna prawie staroście mimo najusilniejszych starań dostać się do audiencyi, do konferencyi z ministrami. W dniu 13 maja pisze do kanclerza kor. „Stanąwszy tu 8 *praesentis* zastałem Cara Jmci zabawnego wizytami tak od Księcia Jmci Regenta Francyi, jako od J. K. Mości Francuzkiego.“

„Jużbym był miał dnia dzisiejszego konferencyą, gdyby był *May* Ichmościów P. P. Ministrów Cara Jmci zabawnych (zatrudnionych) nie uczynił.“

„Największą trudność znajduję w Jmci Panu Szafirow podkanclerzym Cara Jmci a władającym sercem Pana swego. Car J. Mość w tey umysłu swego rozrywce tak w ciekawości z ministrami swymi pracowity, że prawie noc Cara Jmci do lustrowania *curiositatum* z palacu wyprowadzi, noc przyprowadzi, przy szczupłéj asystencyi ponieważ z cudzey nie bardzo kontent.“

Starosta opowiada w swych listach, jak Piotr zajęty ciągłém bieganiem za osobliwościami paryskiemi, wspomina o jego wycieczkach do Marly i Fontainebleau, ale, nie zapominajmy, jedynie tylko jako o przeszkodach stawających w drodze pośpiechowi jego interesu. Dowodem gorliwości starosty niechaj będzie, że mimo wyraźnéj niechęci Szafirowa, że mimo tych wszystkich „zabaw“ i zatrudnień Piotra, uzyskał odeń już czwartego dnia po swém przybyciu do Paryża, 12 maja, audiencyą. „Dopiero,“ pisze, „12 *praesentis* miałem audiencyą prywatną u Cara Jmci, iako prywatnie y w cudzym Państwie bawiącego się, odpowiadał mi sam lubo obecnych miał swoich Ich Mościów P. P. Ministrów y po podziękowaniu za to dobre słowo, którém Carowi Imci uczynił, we wszystkim mnie do konferencyi z Ichmościami Pany Ministrami swymi odesłał.“

Niechaj dalszym dowodem zabiegłości starosty w powierzonym mu interesie będzie, że już w trzy dni późniéj, mimo wszelkich przeszkód, 15 maja, wykołatał na ministrach Szafirowie i Tołstoju, pierwszą konferencyą. Z przesłanego o niéj prymasowi, biskupowi kujawskiemu, kanclerzowi koronnemu sprawozdania, nie widzimy, aby starosta był szczególnie zadowolniony lub aby się był oddawał optymistycznym ułudom. „Miałem,“ pisze 21 maja, „z Ichmościami Pana-

mi Ministrami konferencyą dnia 15 maja, *in puncto evacuationis* Moskwy siła była obietnic; *in puncto* Kurlandyi więcéj trudności, ale wszystkiego rezolucya do Cara Jmci zawieszona, o któréj mnie upewnili, że expedycya nastąpi *ad vota* Rzeczypospolitéj. Jakoszkolwiekbądź, przecież to zwyczayne Ichmościów obietnice nie bardzo mię kontentuią, uważaiącego ustawicznie *praecrastinationes*, z których biorę suspicyą, żeby chcieli jakimkolwiek sposobem *eludere* tę Rzeczpospolitey rekwizycyą, samą tylko nadzieią y obietnicą nas kontentuiąc, a tym czasem dłużey wojska swoje o naszym trzymać chlebie. Jużem Ichmościom Panom Ministrom powiedział, żem jako w teraźniejszey negocyacyi był do tego czasu dyskretny, tak ieżeli pomyślny *ad vota* Rzeczypospolitéj nie odbiorę *expedycyi*, wielkim będę Ichmościom *importunem*."

„O Gdańsku widzę nic nie myślą, aleby myśleli, *gdyby Król* z *Rzecząpospolitą myślał*."

„Nie mogę doskonale wiedziéć intencyi K. Jegomości, dla czego w instrukcyi mnie danéj ostrożnie bardzo względem Gdańska poczynać każe, czy dla tego, aby gotowemu na Gdańsk humorowi okazynie przypominać, czyli żeby milczeniem zdał się K. J. Mość *contemnere* ten manifest. Dla tego nie śmiem nic mówić, lubobym sądził rzecz potrzebną upomniéć się o remanifest przez którego ministra, jako się stał przeciwko woli Cara Jmci, ile kiedy zrozumiewam, że Car J. Mość bardzoby był niekontent z jakich między sobą a Rzecząpospolitą z K. J. Mościem teraz zjednoczoną rozruchów."

Zabawy i zatrudnienia paryskie, jakim się według opowiadania starosty Piotr i jego ministrowie od rana do późnego wieczora oddawali, opóźniały ową z takiém upragnieniem, z taką niecierpliwością oczekiwaną przezeń „expedycyę." Nareszcie, po upływie dwóch tygodni od odbytéj z ministrami konferencyi, odebrał starosta 29 maja 1717 expedycyę, czyli raczéj trzy, podpisem Piotra zaopatrzone, datę dnia poprzedzającego noszące dokumenta, które do pewnego stopnia przynajmniéj, jak się zdawało, wieńczyły pożądanym skutkiem misyą posła. Posłuchajmy pierwszych po odebraniu tych dokumentów wrażeń starosty, odbijających się w liście jego do prymasa z 30 maja 1717: „Odebralem list do K. J. Mości y do Rzeczypospolitéj od Cara Jmci (bo do Waszey Xiążęcy Mości *antecedenter* odpisano, o com się umawiał *in puncto evacuationis*, rozumiem, że *ad vota* W. X. Mości), ponieważ Car Jmość zaraz posełа ordinans do woysk swoich jeden, aby się iako nayprędzéj ruszały y wynosiły z Polskiey y granic W. X. Litewskiego, drugi na ręce moie, który posyłam iako nayprędszy do J Mości P. Kanclerza Naszego w. koronnego, żeby tém prędzey mógł doyść woysk moskiewskich. Trze-

ci *iterato* posyła ordinans sam Car J. Mość. Posełam kopią ordinansu tego W. X. Mości..... Względem woysk w Meklemburgskiem Xięztwie zostających, starałem się pilno, aby y od tych państwa Rzplitéj wolne być mogły, ale się jeszcze Car J. Mość nie determinował, czy się ztamtąd ruszy, czyli nie, jednakże mi deklarowano y assekurowano mnie, że jeżeli się bez tego obeyść nie będzie mogło, że woyska z Meklemburgii lądem powracać będą, tedy wprzód upraszać będą o konsens na to od J. K. Mości y Rzeczypospolitéj y jusz inszym nie jako przedtem poydzie porządkiem. *In puncto* Xięztwa Kurlandzkiego inszey rezolucyi otrzymać nie mogłem nad tę, że Car J. Mość ludzi swoich ztamtąd wyprowadzi, jeżeli J. K. Mość y Rzeczpospolita ręczyć będą za Xięcia Kurlandzkiego. Siełam w tey materyi przez konferencye pracował y byłbym jeszcze przez memoriały starał się służyć jako naylepiej Xięztwu Kurlandzkiemu, ale widząc, że tak w tym jest osobliwy sekretny Cara J. Mości interes, aby tam był *in possessione* w pretensyi (jako powiada) kilku milionów talarów, jako tesz dziś zaraz ztąd ruszają do Fontainebleau, by nie długo jusz chcący pożegnać w kilkanaście dni Francyą, czasu do tego nie pozwolą. Musiałem po expedycyi pożegnać Cara J. Mości.“

Otóż tedy skreślony pod pierwszém wrażeniem odebranéj od ministrów ekspedycyi rezultat misyi starosty Kopanickiego. Jakże się przedstawia przebieg jego negocyacyi w rzeczywistém świetle? Piotr i jego ministrowie, zajęci od rana do wieczora rozglądaniem się w osobliwościach paryskich, wizytami u dworu, wycieczkami w okolicę, byli najwidoczniéj zakłopotani przybyciem posła rzeczypospolitéj, starali się. o ile możności przewlekać z nim konferencye, odkładać postanowienie ostatecznéj rezolucyi. W obec wiadomości dochodzących ich o wzburzeniu umysłów w Polsce, które w razie jakiego, zapowiadanego już niejednokrotnie przeciw wojskom rosyjskim pospolitego ruszenia. zagrażało nader szkodliwą dywersyą planom Piotra nadbałtyckim i pokojowi partykularnemu ze Szwecyą, nie chcieli zrażać sobie króla i rzeczypospolitéj prostą, odmówną odprawą posła. Stąd to owa konferencya pożegnawcza 29 maja i owe ekspedycye z dnia poprzedniego o których nam tutaj bliżéj jeszcze pomówić przychodzi. A więc, nasamprzód zgadzał się niby to Piotr na bezzwłoczne wyprowadzenie wojsk swych, będących w krajach rzeczypospolitéj. Rozkaz jego wyprawiony „do JMość Pana Generała Feldmarszałka Graffa Szeremetiewa, dowodzącego wojskami auxyliarnemi“ w województwach wielkopolskich, zdawał się być kategorycznym i nie pozostawiać najmniejszéj wątpliwości. W rozkazie tym, datowanym z Paryża 28 maja 1717 pisał Piotr do Szeremetiewa: „Potwierdzamy pierwsze nasze do Was ordynowane ukazy

y rozkazujemy, aby jak najprędzéj możecie przygotować się ku marszu, abyście do naszych maszerowali granic". Co się tyczy wykonania owego odwrotu, nakazywał feldmarszałkowi wejść w porozumienie z komisarzami wojewódzkimi, którzyby mu byli pomocnymi w regulowaniu kwater, dowozu żywności i furażu, przestrzegał nadto „pod uniknieniem srogości praw wojennych" przeciw „wszelkim aggrawacyom obywateli", gwałtom i grabieżom w marszu. Uszczęśliwiony z wydobycia podobnego ukazu, posłał go starosta niezwłocznie w kopii w. kanclerzowi koronnemu, wojewodzie poznańskiemu, oryginał zaś „przez moskiewskiego kuryera" do samegoż feldmarszałka.

Co się tyczy innych punktów instrukcyi starosty Kopanickiego, mianowicie wojsk mających powracać z Meklemburgii i sprawy Kurlandzkiéj, wyprawił Piotr na ręce starosty do króla dwie osobne odpowiedzi pod tąż samą datą, w których przypominając, że wprowadzenie wojsk rosyjskich nastąpiło za wspólném porozumieniem w Gdańsku (w kwietniu 1716) w celu uspokojenia konfedaracyi Tarnogrodzkiéj, żalił się, iż rzeczpospolita nie tylko nie dotrzymała mu warunków sojuszu, nie tylko zniewoliła go do ponoszenia całego ciężaru wojny przeciw wspólnemu nieprzyjacielowi, królowi szwedzkiemu, ale co więcéj, poczynała się już odwoływać „do Porty i Chana Krymskiego, żądając ich Bisurmańskiéj pomocy". Zatrzymanie dotychczasowe, już po zawartym z konfederacyą Tarnogrodzką pokoju, wojsk swych, a mianowicie generała Bauera, tłómaczył Piotr prawdopodobieństwem „nowych związków skasowanych chorągwi". Sprawę wojsk, mających powracać z Meklemburgii, pomijał mimochodem uwagą „że onym powracając do swoich krajów okrom Polski inszey drogi nie masz, co według sprawiedliwości nie należeło by za trudność poczytać, rozważając to, że te woyska dla dobra pospolitego y przeciwko spólnego nieprzyjaciela użyte były". Co rzeczą najwięcéj w odpowiedziach tych zastanowienia godną, a jak się przekonamy z poniższego opowiadania, wcale nie przypadkową, to że sprawa przeszłorocznéj konwencyi gdańskiéj, sprawa owych gdańskich kaprów i wojennéj kontrybucyi gdańskiéj, zupełném pominiona milczeniem. Dla czego, przekonamy się niżéj, a tymczasem powiedzmy jeszcze, że drugi, z téjże daty list zajmował się wyłącznie sprawą Kurlandzką. Piotr występował w tym liście, jako opiekun i rzecznik ciężko, według niego, pokrzywdzonych praw synowicy swéj, owdowiałéj księżnéj Kurlandskiéj, Anny Iwanówny, przeciw królowi, rzeczypospolitéj, stanom Kurlandzkim, a nadewszystko przeciw bawiącemu w Gdańsku stryjowi jéj zmarłego małżonka, Ferdynandowi Kettlerowi. Stosownie do zawartego kontraktu przed-

ślubnego, żądał dla swéj synowicy 40.000 rubli rocznéj renty, zwrotu posagowéj sumy wraz z procentami „y przystojnego zamku dla mieszkania przy jéj wdowstwie“. Dopóki tym wszystkim żądaniom zadość by się nie stało, oświadczał Piotr, iż nie może wypuścić z pod nałożonego przez się „sekwestru“ książęcych majętności w posesyi naszey teraz zostających“, cofnąć z Kurlandyi swego żołnierza, odwołać komisarza swego, którym naówczas był Bestużew.

Otóż tedy w zupełnéj całości i dokładności rezultat, jaki starosta Kopanicki z misyi swéj paryskiéj wynieść zdołał, jaki go, nawiasowo powiedziawszy, wcale nie zadowalniał, ale jaki lepszym mimo wszelkich usiłowań być nie mógł, ze względu na środki, któremi rozporządzał, ze względu daléj na nagły wyjazd Piotra z Paryża i Francyi w pierwszych dniach czerwca 1717. Sam tedy nie lenił się z powrotem, w interesie jak najprędszego zdania sprawy z powierzonéj misyi, w czém przecież doznał pewnych przeszkód ze strony władz francuskich. Czy w tém domyślać się może jakichś wpływów Piotra lub jego otoczenia, nie umiemy powiedzieć. Wnet po odebraniu swéj ekspedycyi, zabrał się starosta do wyjazdu z Paryża. Trzeba było jednakże do tego i do przejazdu przez Francyą paszportu generalnego zawiadowcy policyi (lieutenant gèneral de police), którym był naówczas markiz d'Argenson. Mimo żądania starosty, zwleka tenże odpowiedź i wystawienie paszportu, co spowodowało starostę do napisania w dniu 6 czerwca mocno szorstkiego listu z upomnieniem się o swój charakter posła króla i rzeczypospolitéj Polskiéj oraz z położeniem przycisku na prawa narodów. Podobne wystąpienie poskutkowało, jak się zdaje, bo nareszcie donosi starosta kanclerzowi koronnemu i biskupowi Poznańskiemu d. 10 czerwca, że Paryż opuszcza.

Szczegółów podróży powrotnéj nie znajdujemy w pozostałych po staroście papierach. Natomiast widzimy z późniejszéj korespondencyi jego, że drogę w drugiéj połowie czerwca, pierwszéj lipca, obrócił na Drezno, aby zdać sprawę królowi, że zaś następnie udał się razem z nim, być może w celu poratowania zdrowia, na krótki czas do Cieplic. Pod koniec lipca wraca nareszcie w domowe strony, do Kopanicy, Dłuska, Poznania, przekonany, jak to widać z listów jego do prymasa i podkanclerzego koronnego, że Szeremetiew odebrawszy rozkaz swego monarchy, rozpocznie z pierwszemi dniami sierpnia odwrót swój z krajów rzeczypospolitéj. Cóż tymczasem dzieje się *tutaj*? „Donoszę“ pisze starosta, „jako *tardo gradu* Moskwa idzie, y ta, która z Meklemburgii wyszła. Imci Pan Szeremetiew *persistit* w swoiey u Gdańska pretensyi y podobno wybierze sumę *praefixam*, kiedy nikt *non impediet*, ani się o to skarżyć będzie,

że ukaz Carski *violatur*, *Majestati et Reipublicae illuditur*. Z tego woyska, które z Meklemburgii wyszło, wróciło się nazad z pod Poznania pod Skwierzynę dwa Regimenty". Słowem, zaczynało się w początku sierpnia, tuż za powrotem starosty Kopanickiego z podróży paryskiéj, na widowni wielkopolskich mianowicie województw, powtarzać dawne widowisko, które poseł cesarski Martels scharakteryzował tak trafnie, mówiąc o „*marches und remarches*" wojsk rosyjskich w Polsce. Na istotną i szczerą ewakuacyą krajów rzeczypospolitéj ze strony tychże wojsk wcale się nie zanosiło. Feldmarszałka Szeremetiewa widzimy naówczas w Lesznie, generała Matuszkina w Skwierzynie, pułkownika Campenhausena nad granicą marchijsko-szląską. Między Campenhausenem a starostą Kopanickim zawiązała się nader cierpka korespondencya z powodu nadużyć, jakich komenda pierwszego dopuściła się w dobrach starostwa. Równocześnie nadaremnemi pozostały, mimo danych mu niedwuznacznych przecież rozkazów, wszelkie negocyacye z Szeremetiewem (przez miesiąc lipiec, w Lesznie), czy-to trybunału Radomskiego, za pośrednictwem sędziego bydgoskiego Wolskiego, czy to wojewody poznańskiego przez wyprawionego do Leszna Gruszczyńskiego, kasztelana gnieznieńskiego o wymarsz wojsk rosyjskich. Feldmarszałek stawiał wyraźny wszystkim tego rodzaju żądaniom opór, zasłaniając się argumentem, że bez wyznaczenia osobnych, jak tego rozkaz Piotra wymaga, komisarzy wojewódzkich, bez obmyślenia etapów marszowych i bez przygotowania potrzebnéj w marszu żywności, wojska zostające pod jego komendą wyruszyć nie mogą.

Ostatecznie więc pozostały wojska auxyliarne, w Wielkopolsce, a jeżeli się ruszyły skądkolwiek, ustępując miejsca innym nadciągającym pod dowództwem generała Weydego z Meklemburgii, działo się to w zamiarze wykonania zamachu niebezpieczniejszego w gruncie rzeczy dla Polski, aniżeli było proste ich kwaterowanie w jéj ziemiach. Mówimy tu o coraz to groźniejszych demonstracyach przeciw Gdańskowi w celu zmuszenia go do wykonania przeszłorocznéj konwencyi.

Właśnie w owych ostatnich dniach miesiąca lipca, pierwszych sierpnia, kiedy starosta Kopanicki, pełen najlepszéj otuchy wracał w rodzinne strony z paryskiéj misyi, poczęły komendy rosyjskie pod dowództwem generała-lejtnanta Dołgorukiego i generałów Schlippenbacha i Jakowlewa, mając swe magazyny w Toruniu, Grudziądzu, Starogrodzie, ściągać się coraz bliżéj pod Gdańsk, a nareszcie ścisnęły miasto pierścieniem ścisłéj blokady. Dodać tu zaraz możemy, iż w kilka tygodni późniéj posunęły się w téż same strony komenda Szeremetiewa i dywizya generała Repnina. Jako reprezen-

tant woli i pretensyi Piotra, wystąpił w obec wystraszonego magistratu Dołgoruki, domagając się wykonania przeszłorocznéj konwencyi,—wystawienia kaprów i złożenia kontrybucyi. Żądanie to było tém niebezpieczniejsze dla miasta, że od strony morza stanęły, jako wymowny, popierający je argument, liczne galery rosyjskie z załogą 4—5000 żołnierza, że ze strony lądowéj pojawili się na terytoryum gdańskiém Schlippenbach i Jakowlew, zapowiadając bezzwłoczne nadejście nowych komend Szeremetiewa i Repnina. Miasto było przerażone, odnosiło się w listach z 24 lipca do kanclerza koronnego, z 2 sierpnia do samegoż Dolgorukiego. Tymczasem starał się magistrat przewlekać, o ile możności, negocyacya, utargować coś z pretensyi, która się streszczała w żądaniu wystawienia pięciu kaprów i zapłacenia kontrybucyi pół miliona talarów. Wybieg ten nie pozostał bezskutecznym. Dołgoruki nie chciał ze strony morskiéj doprowadzać do ostateczności, ze strony lądowéj nie mógł z powodu nie wystarczającego żołnierza. Po upływie całego miesiąca jednakże, kiedy komendy Szeremetiewa i Repnina zbliżyły się pod miasto, podnosił się groźny ton Dołgorukowych wezwań, wzrastała groza zapowiadanych przezeń środków przymusowych. Z listu, wystosowanego przez magistrat 25 sierpnia 1717 do marszałka koronnego Mniszcha, przekonywamy się, że Dołgoruki postawił Gdańsk w wyborze między bezzwłoczném przyjęciem znanéj konwencyi a ścisłą, ogładzającą i niszczącą blokadą. Gdy miasto ciągle się jeszcze wahało i targowało, urzeczywistnił Dołgoruki groźbę swą do tyla, iż zakazał komendom blokującym miasto od strony lądowéj, wpuszczać doń chłopskie wozy z żywnością. Niedostatek jéj zaczął się dawać miastu we znaki.

Wśród takich okoliczności nadszedł początek miesiąca września, a miasto znalazło w swym kłopocie pośrednika między magistratem a Dołgorukim w osobie Zygmunta Rybinskiego, wojewody Chełmińskiego, który wyjednał Gdańszczanom tydzień nowéj zwłoki. Wszelkie instancye zanoszone do króla, rzeczypospolitéj, jéj dygnitarzy, okazywały się nadaremnemi. W Dreznie i Warszawie przekonywano się coraz dowodniéj, do jakiego stopnia misya starosty Kopanickiego była bezowocną, jak dalece dane mu w Paryżu przyrzeczenia pozostały martwą literą. Po jeszcze dalszych zwłokach i układach, stanęła nareszcie między magistratem gdańskim a Dołgorukim d. 27 września, z zastrzeżeniem ratyfikacyi króla, konwencya, mocą któréj miasto zobowiązywało się dostarczyć Piotrowi trzy kapry i wypłacić kontrybucyą 140000 talarów. Do takiego to *ultimatum* opuścił Dołgoruki pierwotne swe, wygórowane pretensye; oburzył się jednakże, gdy miasto ofiarowało się zapłacić zaraz połowę

téj sumy, a w zamian żądało ustąpienia wojsk ze swego terytoryum. Tymczasem, właśnie wśród toczących się owych układów, przybył, wracając z podróży po zachodniéj Europie, Piotr do Gdańska, dnia 2 października; witany salwami dział, przyjmowany uroczyście przez władze miejskie, zgodził się na ratyfikacyą zawartego przed pięciu dniami układu, mocą którego miasto obowiązywało się do przyszłéj wiosny wystawić trzy kapry, a tymczasem zapłacić kontrybucyę 140000 talarów. Suma ta miała być przeznaczona na utrzymanie dywizyi Repnina, która pozostawała na Żuławach gdańskich aż do wykonania wszystkich warunków konwencyi. Podobnym układem było zmuszone do różnych dostaw i kontrybucyj generałowi Weydemu i miasto Toruń. Po podpisaniu konwencyi Piotr wyjechał wraz z małżonką 9 października z Gdańska do Królewca, stamtąd morzem do Inflant. Dołgoruki opuścił również miasto, zażądawszy odeń dla siebie za podjęcie trudów negocyacyjnych 6000 rubli i obraz pięknego pędzla, przedstawiający sąd ostateczny.

A więc załoga rosyjska na Żuławach gdańskich, kiedy miasto samo pozostaje pod Damoklesowym mieczem zawartéj konwencyi; Toruń zobowiązany osobną konwencyą z generałem Weydem; generał Matuszkin przy magazynach w Skwierzynie na straży województw wielkopolskich, Jakowlew nad dolną Wisłą; Ropp na Litwie, inne oddziały rosyjskie w krajach rzeczypospolitéj w stanie ciągłych „marszów i remarszów“, otóż to stan rzeczy jaki mimo niby to szczęśliwie spełnionéj misyi starosty Kopanickiego przedstawia się późną jesienią r. 1717, wywołując coraz to rozpaczliwsze, coraz groźniejsze w całym kraju usposobienie. Nie zbywa zewsząd na poświadczających je, licznych objawach; potwierdzają je współczesne pamiętniki, potwierdzają *lauda* sejmików wojewódzkich, potwierdzają depesze rezydenta cesarskiego.

K. Jarochowski.

GRAŻYNA

I JEJ STOSUNEK DO „JEROZOLIMY“ TASSA,

w przekładzie Piotra Kochanowskiego.

STUDYUM LITERACKIE.

Praca nad dziejami naszéj literatury skupia się dziś przeważnie koło dwóch postaci i dwóch współczesnych im epok. Epokami temi są: pojawienie się poezyi polskiéj w XVI wieku i powtórny jéj rozkwit w pierwszéj połowie XIX,—postaciami zaś, koło których grupują się wydatniejsze momenta i osobistości obu rozkwitów: Kochanowski i Mickiewicz. Literatury tych dwóch epok stanowią dwa odrębne lecz wiążące się ze sobą organizmy. Wprawdzie nowa poezya rozwinęła się z zasobów i materyałów przygotowanych przez dawną, jednak wyrosła ona nietylko na świeżym zupełnie gruncie ale i śród radykalnie zmienionych warunków. Jak każdy normalnie rozwijający się płód, zerwała ona z chwilą dojrzałości, węzły wiążące ją z matczynem łonem i pod wpływem nowych czynników ulegała szybkim przekształceniom. Przecie od czasu do czasu, mocą prawa, dziedziczności rysy matki występowały na obliczu córki, przyćmiewającéj blaskiem swéj piękności skromną urodę rodzicielki.

Przez długi czas patrzyliśmy na nową poezyą, jak na jakieś nadprzyrodzone zjawisko, jak na zesłankę niebios, mającą swym blaskiem i wewnętrzną pięknością pocieszać nas i pokrzepiać w ciężkich warunkach ziemskiéj doli. Ten wspaniały kwiat, rozwijający się na świeżych grobach i ruinach, wydawał się duszom upragnionym wyższéj interwencyi i upatrującym jéj w każdym ważniejszym zjawisku, w każdéj wybitniejszéj postaci—znamieniem szczególnéj opieki niebios i zapowiedzią dalszych łask mających spaść na lud wybrany.

Ów obłęd mistyczny miał swe źródło zarówno w nieszczęściach i cierpieniach wiekowych jak i w zaniedbaniu, śród klęsk publicz-

nych i nieprzyjaznych dla oświaty warunków, wyższéj kultury umysłowéj.

Podobnie jak w pierwotnéj dobie życia duchowego ludzkości, nowa poezya nasza łączyła się ściśle z religią i filozofią; mieliśmy poetyczną religią, poetyczno-religijną filozofią i poezyą filozoficzno-religijną. Uczucie, stanowiące główny motor naszego życia duchowego, umożebniało, pożądane w ciężkich warunkach, wycieczki balonowe po za granice rzeczywistości, lecz wyczerpując się szybko, narażało żeglarzy na bolesne starcia z nieznanemi i nierozumianemi przez nich stosunkami. Zamiast pchnąć bryłę świata na nowe tory i stać się „niedzielą wieków“ dla ludzkości, musieli marzyciele-rozbitkowie zająć, na twardéj téj bryły skorupie, niewygodne i podrzędne stanowisko śród tych, co umieli praktyczniéj i rozumniéj urządzić swe siedziby.

Dziś gdy półwiekowa odległość pozwala nam, bez narażenia się na olśnienie, rozpatrzyć istotną piękność nowéj poezyi, gdy po przebyciu próby czasu nie potrzebuje ona lękać się rezultatów rozbioru krytycznego a krytyk nie potrzebuje padać na twarz przed świetném ale naturalném zjawiskiem, nadeszła pora do odszukania i uwydatnienia połączeń zachodzących między dwoma wielkiemi epokami naszéj literatury.

I.

Jeżeli po przeczytaniu czwartéj części Dziadów, z uprzytomnieniem sobie związku łączącego bohatera utworu z samym poetą, weźmiemy do ręki Grażynę, wyda się nam ona dziełem jeśli nie innego autora to przynajmniéj innéj, odległéj epoki życia śpiewaka cierpień Gustawa. Ta potężna indywidualność, napełniająca niebo i ziemię skargą i protestami z powodu własnych zawodów sercowych, przybiera tu na się skromną postać ludowego rapsoda opiewającego z całym spokojem i chłodem kronikarskim epizod dziejowy z odległéj przeszłości.

Cierpieniom i uczuciom, które niedawno przepełniały jego duszę i nie zostały bynajmniéj stłumione, nie pozwala żdradzić się ni jednym wybuchem. Zaledwie drobna wzmianka o „pięknéj dolinie przy Kownie“ może uważnemu czytelnikowi podsunąć na myśl postać samego poety i jego niedawne dzieje. Pod wpływem swego postanowienia nie odkrywa on przed słuchaczem tajników serc bohaterów poematu, jak to czyni późniéj w „Konradzie Wallenrodzie“ z uszczerbkiem dla architektoniki samego utworu. Małomówną milczącą niemal postać saméj bohaterki, przesuwa on przed oczami czy-

telnika, który jedynie z czynów może domyślać się uczuć miotających jéj duszą rycerską.

Powstanie „Grażyny“ wiąże się z planem poety zmierzającym do uleczenia ran serca, przez otwarcie dla umysłu szerszych widnokręgów i dostarczenie wyobraźni nowych wrażeń. Podróż zagraniczna i studya naukowo-literackie, w ogniskach zachodniéj cywilizacyi, stanowiły treść tego programu; środków do wykonania miała w formie stypendyum uniwersyteckiego dostarczyć władza szkolna. Decyzya ostateczna zależała od kuratora (księcia Czartoryskiego), którego spodziewał się poeta pozyskać dla swéj sprawy, przez wygotowanie utworu, dającego miarę uzdolnień młodego kandydata a jednocześnie czyniącego zadość ówczesnym wymaganiom i upodobaniom literackim, w kołach starszyzny uniwersyteckiéj i w otoczeniu księcia kuratora (1).

Jakkolwiek żadne stosunki nie łączyły poety z dworem puławskim, mógł on jednakże zapoznać się z panującemi tam upodobaniami i pojęciami literackiemi z dziełka „Myśli o pismach polskich“ (Wilno 1811 i 1812), którego autorem był stary książę feldmarszałek. Sędziwy autor zaleca tu studyowanie pisarzów polskich z XVI w. Dla podniesienia piśmiennictwa doradza poddawanie wszystkich nowoukazujących się utworów surowéj krytyce, któréj obowiązek wkłada na ówczesne Towarzystwo Przyjaciół Nauk. Wprawdzie zachęca on młodych pisarzów do starannego odczytywania „Sztuki rymotwórczéj“ Dmochowskiego i osypuje pochwałami „Świątynią Wenery“ Szymanowskiego ale jednocześnie przytacza jako przykład Lessynga, który w swym Laokoonie „iskrą gieniuszu rozgrzał trętwą i nie używaną imaginacyi władzę“ (str. 213). Zna również poezyą włoską z epoki odrodzenia, podaje szczegóły z życia Dante'a i Ariosta, przytacza wyjątek z listów Bernarda Tassa i ustęp z „Jerozolimy wyzwolonéj“ w przekładzie Piotra Kochanowskiego. Wyrazem uznania, jakiego doznawał poemat Tassa na dworze puławskim, było umieszczenie posągów dwóch wybitnych postaci utworu: Kloryndy i Tankreda w ogrodzie przed pałacem (2).

Uwielbienie to dla włoskiego poematu podzielał z dworem puławskim i z całą inteligencyą ówczesny profesor literatury w uniwersytecie wileńskim Borowski a za jego wpływem i przyszły twórca Gra-

---

(1) Co do pobudek, które skłoniły Mickiewicza do napisania Grażyny opierałem się na szczegółach podanych przez Tretiaka w jego pięknéj pracy: Mickiewicz w Kownie i Wilnie (Lwów 1884 r.). O wykładach Borowskiego podaje szczegółową wiadomość Piotr Chmielowski w biografii tego profesora w Encykl. Wychow.

(2) Szczegół ten podaje Leon Dembowski w swych pamiętnikach, ogłoszonych częściowo w „Ateneum.“

żyny (1). Zdaniem Borowskiego, wygłoszoném przy rozbiorze „Jerozolimy“, Tasso „mistrzowskim przykładem rozwiązał pytanie, jak charaktery poezyi nowoczesnéj i dawnéj, romantycznéj i klasycznéj, prawdziwy talent godzić może i powinien.“ Z tego powodu uważał on przekład „Jerozolimy“ przez Piotra Kochanowskiego, za jeden z najważniejszych faktów w dziejach naszéj literatury, i w odczytach swoich miewanych w Akademii duchownéj (między 1833 a 1842) poświęcał mu aż cztery lekcye. Sąd ten możemy dziś potwierdzić w całości ale na zupełnie innych oprzemy go podstawach. Borowski wskazując swym słuchaczom poemat Tassa, jako wzór do naśladowania, miał na myśli współczesną i przyszłą poezyą i w jéj zbliżeniu się do harmonii, urzeczywistnionéj przez włoskiego mistrza, widział najwłaściwszą drogę do udoskonalenia literatury polskiéj. Dla nas dziś doniosłość Jerozolimy, polega na jéj rozległym i długotrwałym wpływie, który od chwili ukazania się przekładu Piotra Kochanowskiego w 1618 r., trwa przez całe dwa wieki i sięga aż w pierwsze lata nowego rozkwitu poezyi polskiéj, w przygotowaniu którego odegrał także dość wydatną rolę. Borowski, nie mając w ręku najważniejszych pomników poezyi wieku XVII, nie wiedział jak licznych wielbicieli i zdolnych naśladowców miał u nas Tasso w Twardowskim, Morsztynie, Kochowskim a nawet i Potockim. Brodziński znowu, który współcześnie w swym wykładzie literatury polskiéj pierwszy zwrócił uwagę na niepospolitą piękność „Daphnis“ Twardowskiego, nie znając Tassa, nie spostrzegł, iż ta urocza sielanka jest w części swobodném a w części dość ścisłém naśladowaniem a raczéj odczuciem i odtworzeniem romantycznych epizodów „Jerozolimy.“ Jakkolwiek, wskutek studyów nad Morsztynem i wynalezienia poezyi Grotkowskiego, dostrzeżono już dawno wpływ poezyi włoskiéj na literaturę wieku XVII, nie przypuszczano jednak, by wpływ ten tak szeroko sięgał i by główną w nim rolę odgrywał Tasso w przekładzie Piotra Kochanowskiego.

Poszukując odbicia tego wpływu, należy pamiętać, iż poeci wieku XVII, z wyjątkiem Morsztyna, nie znali Tassa w oryginale. Tymczasem pomiędzy przekładem Piotra Kochanowskiego a pierwowzorem zachodzi ogromna różnica, będąca wyrazem niższości kultury umysłowéj, obyczajowéj, artystycznych uzdolnień, języka i form literackich w ówczesnéj Polsce w stosunku do Włoch. Polski tłumacz odtwarza wiernie najgrubsze jedynie kontury, rysy i barwy, wszystkie delikatniejsze odcienia i linie zostają przez niego pominięte, za-

(1) W 1823 r. w kwietniu w teatrze wileńskim amatorowie przedstawiają na dochód ubogich żywe obrazy z „Jerozolimy“ układu Rustema. Odyniec, jako Tasso, recytuje odpowiednie ustępy przekładu Kochanowskiego (Odyniec: Wspomnienia z przeszłości).

tarte lub skarykaturowane a dość często zastąpione przez własne, niefortunne pomysły. Nietylko że zmienia on nieraz porównania brane z włoskiéj przyrody na obrazy czysto polskie (Wisła, Tatry, Krępak), ale wykwintny dyalog włoskich dworów zastępuje rubaszną mową szlacheckiego sejmiku lub obozu. Najstaranniejszym i najszczęśliwszym względnie, bywa tłómacz w epizodach romantycznych, które też na polskich czytelnikach najsilniejsze wywierały wrażenie, jak o tém świadczy zarówno „Legacya“ jak „Daphnis“, „Nadobna Paskwalina“ i „Historya Wirginii“. Ślady ostatniéj fali tego wpływu dopatrzéć można jeszcze u Słowackiego w „Szwajcaryi.“

Dla nas dzisiaj poemat Tassa może przedstawiać jedynie artystyczny interes, który został zatracony w przekładzie. Idee i ideały włoskiego poety straciły swą siłę żywotną a postaciom jego zbywa na prawdzie i głębokości charakterystyki. Wielbiciele kunsztownie wykończonéj formy i uroczéj melodyjności języka znajdą tu zawsze niewyczerpane źródła rozkoszy artystycznych. Do pojawienia się Mickiewicza przecie „Jerozolima“, pomimo wszelkich braków przekładu Kochanowskiego, była najpiękniejszym większych rozmiarów utworem poetyckim, jaki polski czytelnik posiadał w języku ojczystym (1). Bohaterzy Tassa stali się najpopularniejszemi i jedynemi zresztą artystycznemi kreacyami, które wyobraźniom młodym dostarczały pożądanych i pięknych obrazów. Poezya epoki stanisławowskiéj, pomimo zwrócenia się ku francuzkim przeważnie wzorom, odbija na sobie niejednokrotnie wpływ Jerozolimy (Krasicki w Wojnie chocimskiéj a nawet Monachomachii). Cztery wydania w ciągu lat pięćdziesięciu (od 1772 do 1826) świadczą, iż nie zbywało na czytelnikach, zapalających się do czynów Tankreda i Rynalda, wdzięków Kloryndy, Armidy i Erminii. Przekład Kamińskiego jakkolwiek ogłoszony dopiero w 1846 r. ale dokonany przez człowieka, który przyszedłszy na świat w 1786 r. należał do generacyi posiadającéj w Jerozolimie jedyne artystyczne wcielenie rycersko-romantycznych rojeń młodości—stanowi ostatni wyraz hołdu dla włoskiego mistrza od pokoleń zawdzięczających mu tyle duchowych roz koszy.

Twórca Grażyny z wyobraźnią wykarmioną wojennymi scenami poematu Tassa i świeżemi wrażeniami pochodu i odwrotu wielkiéj armii napoleońskiéj, marzył w młodocianych latach, by stać się

---

(1) Klasyczne poematy, jak „Eneida“ w przekładzie Jędrzeja Kochanowskiego, utwory Owidyusza, Lukana itp. nie przedstawiały dla polskich czytelników tego pokrewieństwa rycersko-religijnych i czarodziejsko-romantycznych idei, postaci, obrazów, łączących świat Jerozolimy ze światem polskiego społeczeństwa.

w przyszłości „Goffredem“ lub „Janem III“, jak to sam w „Dziadach“ opowiada. Z latami śród tych marzeń rycerskich zaczęła się pojawiać urocza postać Kloryndy, odsłaniającéj z pod spuszczonéj przyłbicy pełne uroku lica i złocisty warkocz. Ten kontrast między rycerską postawą i uzbrojeniem a niewieścimi wdziękami oblicza budzić musiał nieopisany zachwyt w dawniejszych czytelnikach. Choć nie wszystkie poglądy i upodobania swego profesora podzielał młody akademik wileński, to w uwielbieniu dla Tassa panowała między nimi najzupełniejsza zgodność.

Świadczy o tém recenzya „Jagiellonidy“, poematu Tomaszewskiego (wydany w 1818 r.), napisanego na wzór Jerozolimy, oktawami i z niewolniczą a nieudolną zawisłością od obrazów i epizodów pierwowzoru. W poemacie polskim Elmini, skopiowana z Kloryndy, walczy w męskiém uzbrojeniu z polskiém rycerstwem. Młody Fredro goniąc za nią:

Już z mieczem płytkim wzniósł nad jéj karkiem ramię,
Gdy hełm w gwałtownym biegu zsunięty z jéj głowy
Odkrył w długich warkoczach niewieściéj płci znamię.

Tasso, malując tę samą sytuacyą, ukazuje nam w przelotnym obrazie Kloryndę, gdy przez strącenie hełmu od kopii Tankreda

Błysnęła ogniem i warkoczem złotym.

Rys ten zachwyca młodego krytyka-poetę. „Możnaż równać, powiada on, to przedziwne, pełne mocy i wdzięku wyrażenie z rozwlekłym dwuznacznym naszego autora wierszem“. Klorynda, wraz z czułą Erminią od pierwszego pojawienia się polskiego przekładu Jerozolimy podbiły serca czytelników. Twardowski opisując w swéj „Legacyi“ urodę tureckich tancerek i śpiewaczek, porównywa je z Kloryndą (1), w Daphnis zaś zespala rysy obu bohaterek Tassa.

Romantyczno-rycerski nastrój uczuć i ugrupowanie pojęć stanowi już w drugiéj połowie XVIII wieku wydatną cechę stanu dusz na całym obszarze litewsko-ruskich prowincyj Rzeczypospolitéj. Kniaźnin i Karpiński są wyrazem tego stanu. Upodobanie w Tassie było raczéj wynikiem nie zaś przyczyną główną takiego kierunku

---

(1) Przy końcu punktu IV tak charakteryzuje przysłane poselstwu śpiewaczki:

One się rozwinąwszy z miękiego zawoju,
Twarz i oczy ukażą. W turskim były stroju
Uzłocone na głowie missury i bindy
Jakie.... Harpalice, albo i Kloryndy.

To odsłonięcie zakrytych twarzy nasunęło poecie na myśl chwilę odsłonięcia się Kloryndy wobec Tankreda.

pojęć i uczuć, choć z drugiéj strony „Jerozolima“ dając wyraz tym pojęciom i uczuciom, realizując je w pięknych i sympatycznych postaciach, w budzących zapał lub zachwyt scenach wojennych i romantycznych obrazach, utrwalała i potęgowała wpływ tych uczuć i ideałów. „Śpiewy historyczne“ Niemcewicza powstały pod wpływem poematu Tassa. Mało komu zapewne wiadomo, iż pierwsze dwa śpiewy: „Duma o Żółkiewskim“ i o „Stefanie Potockim“ były utworzone i ogłoszone drukiem jeszcze w 1794 r., p. t. „Dumy polskie“ (1). Otóż cały początek śpiewu o „Żółkiewskim“ jest wierną kopią obrazów „Jerozolimy“. Jak u Tassa, mamy tu noc miesięczną i ten ulubiony poecie włoskiemu efekt odbicia się światła księżycowego o metal zbroi:

Maj właśnie drzewa i kwiaty rozwijał,
Księżyc w noc cichą świecąc roztoczony
O srebrne skrzydła i hełm się odbijał.

Zbroja ta należała do rycerza, który „żalem obciążony wzdychał i dumał“,

...alić po bladym promieniu
Błyszczącą widzi stal pomiędzy krzaki,
Był to hełm i na nim wzbyt drogim kamieniu
Herb Żółkiewskiego i krwi i rdzy znaki.

To samo znajdujemy w „Jerozolimie“. Gdy po wyzwoleniu Rynalda z rąk Armidy wracają wraz z nim rycerze:

Widzą na niskim cyprysowym krzaku
Ku miesiącowi zbroję zawieszoną:
A tak na zbroi jako na szyszaku
Perły sadzone ręką nauczoną,
Widzą tamże tarcz wiszącą na boku
W piękne obrazy wszędzie wydrążoną. (Pieśń XVII—58).

Te same postaci, obrazy i epizody, które w XVII wieku zapalały wyobraźnią Piotra Kochanowskiego i Twardowskiego, a w wieku XVIII dostarczały wzorów Krasickiemu, Niemcewiczowi, a w części i Karpińskiemu, budziły zachwyt twórcy balad i Grażyny, wiążąc tym wspólnym ideałem zachód poezyi pierwszego rozkwitu z jutrzenką nowego.

II.

Wpływ Jerozolimy występuje już w najpierwszych utworach litewskiego mistrza. „Pierwiosnek“, rozpoczynający zbiór młodzień-

(1) Warszawa—w drukarni wolney—(bez roku). Duma o Żółkiewskim uległa znacznym skróceniom i zmianom w późniejszych wydaniach.

czych poezyi Mickiewicza, jest pod względem języka i obrazów tak samo zestawieniem, organicznie spojonych zresztą, obrazów i form językowych przekładu Kochanowskiego, jak „Żywila“ mozajką językową z kroniki Stryjkowskiego. W wierszu tym poeta, albo bierze żywcem epitety i obrazy „Jerozolimy“, albo tworzy nowe w duchu pierwowzoru.

Jak Klorynda „błysnęła twarzą i warkoczem złotym“, tak i ów kwiatek wiosenny „błysnął ze złotych obsłonek“. Epitet „złoty“, „złocisty“ powtarza się nieustannie na kartach Jerozolimy. Nietylko u Kloryndy ale i u Erminii włos jest „złoty“; „złotym“ jest także żagiel i promień księżyca i gwiazdy i włos jutrzenki i wóz nocy nawet. Rynald w pałacu Armidy wiedzie swój żywot „w ustawnym kwietniu“ (Lepsza w kwietniu jedna chwilka). W ogrodach téj czarodziejki „kwitną róże i białe lilie“, ona sama pieszcząc się z Rynaldem:

„Na piersiach miała *rąbek* rozdzielony,
Włos rozczesany w powietrze puściła,
Do przyrodzonych swych *lilii* włożyła
Pielgrzymki *róże* i *rąbek* stuliła. (XVI pieśń).

„Złociste światełka“, które każe kwiatkowi przymrużać poeta, są jakby przypomnieniem „wdzięcznych gwiazd“, którymi „patrzyła“ Armida (XIX—67). Przymiotnik „niebieski“ (w znaczeniu niebiański) powtarzający się często w „Jerozolimie“ („Niebieska łódź“, niebieska pani—pieśń XV 9 i 43) występuje tu dwukrotnie w pierwszéj i ostatniéj zwrotce („z niebieskich piosnek“ i „niebieska Marylko“).

Pomysł do ballad o Switeziankach nasunęły poecie epizody włoskiego poematu, w których Tasso z wielkim smakiem i artyzmem odtworzył fantastyczne kreacye młodzieńczéj wyobraźni ludów południa i zachodu. Głównymi momentami téj akcyi czarodziejskiego świata, przeplatającéj wydarzenia rzeczywistego są: pobyt Rynalda w ogrodach Armidy i cudowne wyswobodzenie go z więzów uroczéj czarodziejki, tudzież walka z duchami o las zaczarowany zakończona zwycięstwem za sprawą Rynalda. Ów bór litewski, śród którego „szatan wyprawia harce“ i „*larwy* się szamocą“, gdzie „śród wody gwar jakoby w mieście, ogień i dym bucha gęsty“, gdzie rozlega się „zgiełk walczących i wrzaski niewieście i dzwonów gwałt i zbrój chrzęsty“, jest zmniejszoną i zmodyfikowaną kopią lasu w którym rycerze Goffreda tak długo walczą z przeszkodami złych duchów.

Jeden z tych odważnych:

.....obaczy w lesie
Ogniste miasto......
....nagle ognie zniknęły straszliwe

A na ich miejsce gęste chmury wstały
. . . .
Wiatr, pisk, szum morski, ogień nadstawiony
I ryk zwierzęcy.....

Pod wpływem tych strachów serce mężnego Tankreda

Fałszywym *larwom* zwieść się dopuściło.

Ów anioł, którego widziała we śnie córka Tuhana z ballady, jak „okrążył Switeź miecza błyskawicą i nakrył złotymi pióry", występuje kilkakrotnie w „Jerozolimie", jako specyalny stróż Goffreda, którego osłania skrzydłami przed ciosami nieprzyjaciół.

Scena wynurzenia się Switezianki z łona wód jest wiernem odbiciem wrażenia, jakie w wyobraźni polskiego poety pozostawiło ukazanie się rycerzom szukającym Rynalda, nimf kąpiących się w jeziorze i zapraszających pieśnią i wzrokiem do uczestnictwa w rozkoszach.

Choć byli twardzi przecie się zmiękczyli
Obaj rycerze, i podszedłszy blisko
Długo na piękne pławaczki patrzyli,
Kiedy swe lube kończyły igrzysko.
W tém pełne piersi jedna w onéj chwili
I pod piersiami, insze członki nisko
Ukaże, i to co wzrokowi miło;
Dalsze swym rąbkiem jezioro zakryło. (XV. 59)

Mickiewicz skraca ten zbyt realistyczny obraz w jednym wierszu: „W tém z zasłon błysną piersi łabędzie.... zostawiając wyobraźni czytelnika odtworzenie szczegółów. Nimfy Tassa obiecują rycerzom podobne rozkosze co nimfa litewska strzelcowi:

.....Tu tak żyć będziecie
Jako wiek złoty za dawnego lata
Żył sobie wolny.....
Pole waszego boju odtąd będzie
Lub miękka trawa, lub usłane łoże.
. . . .
Razem się śmiała, razem się sromała.
A śmiech był w sromie daleko piękniejszy
. . . .
Potém tak z nimi łagodnie gadała
Żeby się zmiękczył i najnieludczejszy. (XV. 64).

Idealniejszém i poetyczniejszém jest wprawdzie łoże Switezianki „na miękiéj wodnych lilijek bieli" i jéj fantastyczne pląsy śród fal jeziora, ale i te ostatnie są tylko przetworzeniem rysów pierwowzoru, w którym obie nimfy:

To sobie twarzy rękoma prędkimi
Pryskały wzajem, to się wyścigały

Czasem szły nurkiem i nagle ginęły
Czasem pospołu po wierzchu płynęły.

Do sceny momentalnéj pieszczoty, któréj się oddaje zwabiony strzelec, dostarczył rysów obraz Rynalda przy boku Armidy:

Jako drży promień na wodę ciśniony
Tak niespokojne źrzenice toczyła,
Wisiała nad nim. On na łonie u niéj
Głowę trzymając wszystko patrzy ku niéj. (XVI—98)
. . . .
. . . .
I tak w jéj twarzy oczy utopiwszy
. . . .
Ssie wdzięczne usta.
. . . .

„W pięknych licach topi oczy, ustami usta różane goni“—powiada Mickiewicz, streszczając drobiazgowe wykończenie pierwotnego obrazu, tracącego zwykle w grubych rysach kopii Kochanowskiego, wszystkie delikatniejsze odcienia.

III.

O ile w baladach poeta oddalał się swobodnie od pomysłów pierwowzoru, dowolnie przekształcał i oświetlał pożyczone od Tassa obrazy i rysy o tyle znowu w Grażynie, stara się on pozostać wiernym, nietyle poecie włoskiemu ile jego tłómaczowi. Nie umiejąc jeszcze po włosku (nauczył się dopiero w Odessie), nie zna Tassa w oryginale i stąd niekiedy przejmuje nawet wady tłómacza, uważając je za właściwość pierwowzoru. Ta wierność co do formy i budowy wzorowi, który, mimo romantycznéj osnowy, cieszył się ogólnym uznaniem w obozie klasyków i w całym zresztą społeczeństwie, staropolski język i osnowa z dziejów książąt litewskich (od których wyprowadzali swój ród Czartoryscy), odpowiadały wybornie celom, jakie poeta zamierzał osiągnąć przez napisanie Grażyny. Przy takich z góry oznaczonych warunkach, gienialny jedynie poeta mógł stworzyć poemat niepospolitéj wartości, nie zaś poprawne jedynie wypracowanie wierszowe jakiego próbką w prozie jest Żywila.

W pomyśle Grażyny widzieć należy wcielenie więcéj romantyczno-rycerskiego, niż patryotycznego (jak się może zdawać dzisiejszemu czytelnikowi) marzenia lat młodzieńczych, poprzedzających okres miłości dla Maryli. W obec rzeczywistego ideału rozpierzchły się obrazy fantazyjne, wywołane rozczytywaniem się w pieśniach Jerozolimy—istotne, gorące uczucie stłumiło poloty wyobra-

źni, goniącéj za rycerskimi czynami krzyżowców i rozkoszami gajów Armidy. W „Dziadach“ mamy odbicie zachwytów i cierpień zawiedzionego serca. Potrzebując teraz przedmiotu nie tykającego sfery świéżo doznanych uczuć, pozwalającego na swobodne i objektywne obrobienie, zwrócił się poeta do swych dawniejszych marzeń i ostygłych zachwytów. Odrzuciwszy z nich miłosne czynniki wysunął na pierwszy plan ideę rycerską.

Nie ożył w nim wprawdzie „Goffred i Jan trzeci“, ale za to w cierpiącéj duszy nieszczęśliwego kochanka dawne zapały rycerskie zaczęły przybierać nową postać i w myślach jego zaczął się zarysowywać nowy ideał, w którym ogólno-ludzkie uczucia miały znaleść swe harmonijne zespolenie z narodowemi. „Oda do młodości“ i wiersz „do Lelewela“ odbijają nam częściowo ten niesformułowany wyraźnie ideał poety, którego wpływ widocznym jest także w przewodniéj myśli Grażyny i męskiéj energii języka tego poematu. Mężnemu Litaworowi, który wraz z całym zastępem rycerzów średniowiecznych goni tylko za sławą i podbojami, przeciwstawia bohaterską „z ducha“ Grażynę, obronicielkę interesów wyższych, narodowego bytu i ogólnego dobra społeczeństwa.

Tło i akcesorye, charakterystyka postaci zewnętrzna i psychologiczna, uscenizowanie ważniejszych momentów akcyi, przemowy i dyalogi „Grażyny“ są przeważnie zapożyczone lub swobodnie naśladowane z Tassa.

Zawisłość ta rozpoczyna się zaraz z pierwszym księżycowym krajobrazem, na tle którego ukazuje nam poeta zamek, mający stanowić główną widownią akcyi. W Jerozolimie podobnież większa część rycerskich i miłosnych epizodów rozgrywa się śród nocy, w oświetleniu księżycowém, podnoszącém romantyczny urok postaci i sytuacyi. Ucieczce Erminii (pieśń VI) sprzyja piękna, południowa noc swém wspaniałém oświetleniem:

Noc na się była rąbek z gwiazd włożyła
A niebo jasne świeciło pogodnie,
Już i Cynthia pełna prowadziła
Swe złote wozy między mniejsze ognie;
Erminia téż swoje rozłożyła
Pospołu z niebem, gorące pochodnie:
Czyniąc ich świadkiem życzliwe milczenie
I nieme pola i miesięczne cienie.

Ten romantyczny krajobraz ujęty przez tłómacza w oktawę, któréj-by się nie powstydził Słowacki, oddziałał tém silniéj na wyobraźnią, rozczytującego się w Jerozolimie młodzieńca, iż służy on za tło dla pełnéj wdzięku i słodyczy postaci Erminii, która z mimowolnéj wojowniczki staje się mimowolną pasterką.

Te same efekty oświetlenia księżycowego, jakie zapożyczył Niemcewicz w dumie o Żółkiewskim, spotykamy w Grażynie:

Miesiąc pogodny swym promieniem złotym
Bił z nieba z góry w zbroję niezakrytą,
. . . .
Więc po pościecia szata się bielała
A na szyszaku tygrys się błyszczała.

Jak zbroja Erminii, tak zamek nowogrodzki „od miesięcznego brał pozłotę blasku“. Pancerni rycerze, zbliżający się ku zamkowi „świécą mocno“, a za każdym „gałęź cieniu się czerni“. Wprawdzie noc litewska niéma blasków nocy południowéj i księżyc zasłaniają przesuwające się czarne chmury i tumany, jednakże i nad Jerozolimą się to przytrafia i tam:

Phebe jasne zasłoniwszy rogi,
Piękną twarz swoją w chmurze utopiła. (XIII—9).

Gdy pod Nowogródkiem śród nocy świat wydał się poecie polskiemu „nakształt gmachu sklepionego“, to włoskiemu śród skwaru letnich miesięcy przedstawiało się „niebo podobne czarnemu piecowi“ (XIII—56). Związek obu tych porównań jest wielce prawdopodobny.

Sam zamek, jakkolwiek stoi na barkach nowogrodzkiéj góry i jest siedzibą Litawora, wygląda raczéj na rezydencyą Goffreda lub Tankreda. Poeta zna historyą Litwy i ma pojęcie o prostocie budowy i ubogiém urządzeniu grodów książęcych. Sam przez usta Litawora powiada:

Miasto blach złotych mokry kamień błyska,
Miasto kobierców śniade mchów skorupy;

jednakże unikając realistycznych rysów, niedopuszczających okazałego układu scenicznego, nieodzownego w każdym klasycznym, bohaterskim poemacie, posiłkuje się ciągle zużytą dekoracyą i układem scenicznym rycerskich powieści i poematów. Kamienny, a w połowie i drewniany zapewne, prostéj, nieforemnéj budowy gród litewski przeistacza się w poemacie na pałac z „wieżami“, „balkonami“, „krużgankami“, panujący nad rozciągającą się u stóp góry „stolicą“, która z ubogiéj osady urasta na ludne „miasto“, wysyłające „tłumy narodu“ na spotkanie wracającego z wyprawy wojennéj władcy. Wspaniałości budowy odpowiada i całe urządzenie książęcego dworu:

„Żaden z *pałacowéj straży*
Ani z *dworzanów* ani z *panów rady*
Do jego progów zbliżyć się nie waży.

Otoczenie to zachowuje cały ceremoniał książęcych dworów zachodu. Gdy na czele rycerstwa wyrusza Litawor z zamku, straż

przyboczna wita go fanfarą, a orszak dworzan i pacholików odprowadza przez mosty i dziedzińce rozległéj rezydencyi. Czyż przy zachowaniu rzeczywistego tła możebne-by były takie obrazy, jak np. chwila gdy Rymwid:

....stąpał prosto na *pałacu ganek*.
A w tém się *z lekka* rozwarły *podwoje*
Litawor wyszedł.......

Cała ta scena wyjazdu na wyprawę jest włoską, francuską, niemiecką, ale nigdy litewskim obrazem. Skopiował tu poeta widocznie jakiś ustęp z rycerskiéj powieści, albo rycinę, przedstawiającą wyjazd na wojnę. Giermek, podający łuk i kołczan, trębacze, oczekujący pojawienia się pana, chorągiew *złota*, powiewająca nad hufcem rycerstwa, *purpurowy* płaszcz, pokrywający świetną zbroję księcia,— wszystko to są rysy i barwy zapożyczone z zachodniéj kultury, lecz nie zgodne z prostotą i ubóstwem drobnych dworów książęcych na Litwie w XIV wieku. Nawet na Wawelu za Jagiełły, władcy wielkiego państwa, w ludnéj i zamożnéj stolicy, nie spotkalibyśmy się z podobnym obrazem, chyba w wyjątkowych okolicznościach, przy podejmowaniu dostojnych gości. Jak Tasso na życie obozowe i na postacie krzyżowców i niewiernych przeniósł rysy obyczajów i kultury wieku odrodzenia, z otoczenia dworu książęcego w Ferrarze, tak samo i Mickiewicz przekształca z pomocą pożyczonych, od Tassa przeważnie, rysów, na pół barbarzyńskie, prostacze postacie wojowników litewskich, w ogładzonych, wymownych i nieco sentymentalnych rycerzy zachodu. Przybycie gońca krzyżackiego śród nocy, odmalowane rysami wziętymi z Tassa, tworzy obrazek bardzo odpowiedni w romansie Walterskota.

Za pierwowzór służył poecie ustęp z Jerozolimy:

.,...Któś kuryerowi
Podobny bieży ze wszystkiego skoku,
Bicz trzymał w ręku na dół ku koniowi,
Trąbka na sznurze wisiała u boku.
. . . .
Zatrąbił w trąbę kuryer przed mosty,
Zaczém spuszczony na dół wzwód drzewiany. (VII—27 i 29).

Mickiewicz zamiast „bicza", daje przybyszom „kopią" i dodaje im „różaniec" i „szablę", co ze względu na epokę stanowi anachronizm.

Taka prosta operacya, jak ścinanie drzewa na stos, mający pochłonąć zwłoki Grażyny, operacya, któréj czytelnik nie ciekaw wcale, zajmuje niepotrzebnie miejsce w skoncentrowanéj akcyi poematu, dla tego jedynie, że Tasso za wzorem Eneidy opisuje wycina-

nie lasu, na budowę taranów szturmowych. Rzecz naturalna, iż mamy tu powtórzenie rysów wziętych z Jerozolimy. Goffredowi „cieśle“ wyprawiają się „do lasu“ z toporami:

Cedry, cyprysy, topole rąbali,
Ten buki twarde i jesiony ścina,
Ten wielkie sośnie i jedliny wali;
Drudzy wysokie ścinali modrzewie,
Drudzy gałęzie ścinali na drzewie.

Kochanowski spolonizował drzewostan lasu palestyńskiego i dlatego Mickiewicz mógł z małemi opuszczeniami przenieść go pod Nowogródek:

.....między gęste krzewie
Schodzą trabanci z piłami, z topory,
Sieką chróst, walą topole, modrzewie,
A ociosane pnie, gałęzie, wiory
Toczą na barkach i wozach do miasta.

Malując spustoszenie, jakie „czarny rycerz“ szerzy w szeregach krzyżaków, posiłkuje się tym samym obrazem:

Jako leśnicy gdy sosny lub dęby
Sieką wzdłuż puszczy, słychać łoskot w dali,
Jęczą topory, chrobocą pił zęby
Kiedy niekiedy wierzchołek się zwali.....

Poezya puszcz, którą twórca „Pana Tadeusza“ pochwycił i odtworzył z takim mistrzowstwem nie odsłoniła mu wtedy jeszcze swoich tajemnic. Wspaniałość leśnéj przyrody żywiéj odczuwał Piotr Kochanowski obeznany widocznie z puszczami tatrzańskiego podgórza, gdy spolszczając obrazy Tassa powiada:

Świerki i dęby ogromne spadały,
Pod same prawie niebo wyniesione,
Co się piorunom nie raz opierały,
I nic niedbały na wiatry szalone.

Nawet ten tak litewski, tak lokalny napozór obraz walki Niemna z Rumszyskim olbrzymem, którego „wkoło mokrém ramieniem obchodzi, dnem podkopuje, pierś górą wydyma“, lecz mimo to „ani się zruszy skała w piasek wryta“—jest tylko przekształceniem, bardzo szczęśliwém zresztą, obrazu Jerozolimy:

Lecz jako kamień niepożytéj skały
Co do pół boków w morzu wielkim stoi
Odpiera deszcze, wiatry, gromy, wały... (IX. 31),

mającéj uplastycznić bój krzyżowców z Solimanem. Porównanie to, bardzo trafnie użyte przez Tassa dla odmalowania potężnéj siły i męstwa wodza Saracenów, górującego swą wyniosłą postawą i siłą ręki

nad padającemi pod jego konia napastnikami, w Grażynie, mimo swéj piękności, jest zupełnie nie na miejscu, gdyż w poprzedzającym obrazie bitwy przedstawił nam poeta dwie masy walczących, które zmięszawszy się z sobą nie mogą się przemóc:

Ni w tył, ni naprzód nie ruszono kroku.
A Bóg zwycięstwa, przyszłe ważąc losy,
Równy krwi ciężar stąd i zowąd bierze.

W téj spoistéj masie idących we wzajemne zapasy nie widzimy ni wydatnéj grupy, ni pojedyńczéj postaci, któraby jak Rumszyski olbrzym „stawiała czoło napierającym nań“ falom. Wprawdzie poeta usiłuje powiązać oba te obrazy, powiadając, że:

Ani się zruszy skała w piasek wryta,
Ani jéj rzeka ustąpi koryta —

lecz to zestawienie równéj na pozór oporności obu walczących potęg jest fałszywem, bowiem rzeka w istocie ustąpiła koryta zalegającemu je kamieniowi.

Jak romantyczny obraz nocy księżycowéj tak i klasyczne upostaciowanie świtu w różanowłoséj jutrzence („Już różane włosy zorza na wschodnim roztacza obłoku“), jest zapożyczone od Tassa, a raczéj od jego tłómacza, który swymi dodatkami i zmianami nadaje oktawom włoskiego mistrza, to klasyczny, to polsko-szlachecki charakter.

Nawet w obrazie wziętym z widoków nieba gwiaździstego poszedł twórca Grażyny za swym pierwowzorem. Gdy Litawor, odpowiadając reflektującemu go Rymwidowi, unosi się gniewem i oburzeniem na Witolda, poeta wyczerpawszy cały zasób namiętnych skarg i wyrzutów, wygłaszanych przez usta bohatera, powiada:

Jakiż to płomień nad głową mu błysnął?
Jak oderwana gwiazda przez niebiosa
Spada, z długiego żary trzęsąc włosa,
Tak on brzeszczotem koło stropu cisnął,
I siekł w podłogę: od tęgiego razu
Rzęsiste iskry sypnęły się z głazu.

W ustępie tym połączył Mickiewicz trzy odrębne porównania wzięte z Jerozolimy. Gdy Goffred przed ostateczną wielką bitwą z Solimanem przemówił do swych wojowników:

Światłość mu padła z góry na ramiona.
Jako więc lecie noc z swego odzienia
Gwiazdy z długiego otrząsa ogona. (XX—20).

W drugiém znów miejscu malując roznamiętnienie saraceńskiego bohatera Arganta, powiada włoski poeta:

Jako się świeci kometa, gdy miece
Krwawym ogonem promień rozciągniony. (VII 52)

W innym jeszcze ustępie rozjątrzony Tankred:

.... miecz piorunowy
Uderzył w filar przy moście kamienny,
Skry i kamienie poszły pod obłoki. (VII 42).

Potocki Wacław, posiłkujący się niejednokrotnie w swych poematach pomysłami i porównaniami Tassa, powiada odtwarzając scenę przedbojowéj przemowy hetmana do uszykowanego rycerstwa:

Gdy dokończył Chodkiewicz takiéj swojéj mowy,
Zdało się, że ze słońca promień go ogniowy
Ogarnął, że na głowie i na skroni biały
Włosy mu oszedziałe płomieniem gorzały. (Woj. Choc. cz. IV)

Jako uplastycznienie zapału i wiary w słuszność bronionéj sprawy, ta ognista aureola nad głowami Goffreda i Chodkiewicza, pokrewnych sobie męstwem i religijnym nastrojem, nie razi nas a przeciwnie wydaje się najwłaściwszém scharakteryzowaniem stanu egzaltacyi duchowéj, naturalnéj bardzo w chwili stanowczego kroku, mającego rozstrzygać o losach wielkich wypraw i całych społeczeństw. Miotania się ambitnego Litawora nie usprawiedliwiały podobnego odznaczenia, tak że tylko chęć przyozdobienia poematu jak największą liczbą pożyczonych od Tassa porównań, tłómaczy nam to dopasowanie aureoli pobożnego Goffreda do głowy butnego książęcia litewskiego.

IV.

Ścisła zależność od Tassa pod względem tła i akcesoryi pozwalała poecie na nieco większą swobodę w charakterystyce postaci. Ze swobody téj korzystał twórca Grażyny o tyle, iż bohaterzy jego, mimo licznych rysów wspólnych z postaciami Jerozolimy, uwydatniają swą indywidualność i litewskość, chociaż w niektórych tylko chwilach. Grażyna sama jestto Klorynda, tylko przebrana w strój litewski, posadzona na żmudzkiego rumaka i uposażona hojniéj nieco w uczucia niewieście niż w rycerskie przymioty.

Na charakterystykę litewskiéj bohaterki składają się te same przeważnie rysy, jakimi Tasso maluje wojowniczkę saraceńską.

Gdy Mickiewicz powiada o Grażynie:

Twarzą podobna i równa z postawy
Sercem téż całém wydawała męża,

Igłę, wrzeciono, niewieście zabawy
Gardząc, twardego imała oręża.

to kopiuje on tylko wizerunek Kloryndy:

Do igły i do wrzeciona nie chciała
Nigdy obrócić swojéj pysznéj ręki,
Miękką twarz i strój pieszczony złożyła
A męską na się postawę włożyła. (II, 39)

Gdy małżonka Litawora „często myśliwa na żmudzkim rumaku...... pośród strzelczego hasała orszaku“, to szła ona za przykładem bohaterki Tassa, która:

.....szalone konie objeżdżała
. . . .
Łuk tęgi dziewczą ręką wyciągała,
A jeśli w lasy na łów kiedy poszła,
Nieraz się ze lwy mężnie uganiała.

Główna różnica między Kloryndą a Grażyną leży w tém, iż pierwsza zachowuje aż do zgonu swą dziewiczą niezawisłość i zadawalnia rycerskie upodobania czynnym udziałem w walce z krzyżowcami, druga zaś jest także kobietą, małżonką „wyższą nad żon prostych rzędy“, podziela z rycerskim mężem nietylko „łoże i serce“ ale „myśli jego i władzę nad ludem“... „Wojny i sądy i tajne układy częstokroć od jéj zależały rady.“ Co się tyczy męstwa i patryotyzmu i wogóle szlachetnych uczuć, to Klorynda nie ustępuje Grażynie. Gdy dla ocalenia Jerozolimy podejmuje niebezpieczną nocną wycieczkę, w któréj znajduje zgon bohaterski, to poświęcenie jéj o tyle chyba niższém jest od czynu Grażyny, iż łatwiéj jéj przychodzi, jako zahartowanéj w licznych bojach i nie stawiającéj na kartę nic prócz własnego życia.

Poświęcenie się litewskiéj księżny spadło na nią jako wynik powikłanych okoliczności i to pomimowolne bohaterstwo potęguje naszą sympatyą. Ten rys jednakże przypomina w części drugą z postaci kobiecych Jerozolimy: Erminią, gdy przebrana w zbroję, którą z trudnością dźwiga, przekrada się do obozu krzyżowców by odszukać rannego Tankreda.

Grażyna podbija nas sobie od pierwszego pojawienia się gdy „na żmudzkim rumaku, w szorstkim ze skóry niedźwiedziéj kirysie, spiąwszy na czole białe szpony rysie“, ukazuje się nam na tle puszczy litewskiéj, w otoczeniu orszaku myśliwców. Wysmukła kibić, pełne świeżości i życia oblicze, stanowią uroczy kontrast z liniami i barwami, zarówno ponurego leśnego krajobrazu jak surowych postaci oto-

czenia i męskiego stroju bohaterki. Zachwyca nas też, gdy nie mogąc wzruszyć Litawora, rzuca mu się do nóg by go powstrzymać od zamierzonéj wyprawy, gdy potém wobec groźnych następstw wydanego samowolnie rozporządzenia, przebywa ciężką walkę wewnętrzną, tak po mistrzowsku odmalowaną przez poetę, („Czoło pochyle, w którém się przebija, jakaś myśl jeszcze ciemna i daleka;“ itd.); wreszcie gdy w ostatniéj chwili raniona śmiertelnie, ukazuje swe blade oblicze z pod usuniętéj przyłbicy. W momentach tych ona milczy lub wypowiada kilka zaledwie słów charakteryzujących jéj stan wewnętrzny. Ilekroć jednak poeta wkłada w jéj usta szersze rozumowania, wtedy zwykle znika nam z przed oczu Grażyna, pełna prostoty córka przyrody, a występuje uczona oratorka przemawiająca napuszonym i wyszukanym językiem.

Pierwsza jéj odpowiedź Rymwidowi byłaby może na miejscu w ustach Anny Jagielonki, Urszuli Mejerin albo jakiejś wymownéj ksieni. Wychowawczo-mentorski punkt widzenia, jaki poeta zajął w tém przemówieniu miał zapewne pozyskać mu względy księcia kuratora, który mógłby taki ustęp jak słowa Grażyny o jéj małżonku:

..... jeśli nagła *gniewu flaga*
Doczesną burzę w sercu jego wzbudzi,
Jeśli niekiedy, *lotem młodych ludzi,*
Chęć swą nad słuszność lub nad możność wzmaga.
Zostawmy, *niech czas i cicha uwaga*
Rozjaśni myśli, *zapały przystudzi.*

wcielić żywcem prawie do korespodencyi urzędowéj z władzami szkolnymi lub uroczystego przemówienia na akcie publicznym. Druga jéj mowa zaczynająca się od słów:

Radzco sędziwy, nie dobrze się dzieje,

nie jest wolną także od frazesów retorycznych. (Jeśli nas dzisiaj zawiodły nadzieje, szczęśliwsze jutro może wynagrodzi). Dusze energiczne a skromne, szybko się decydujące i działające odważnie jak Grażyna, nie bawią się w frazeologią lecz wyrażają swe myśli zwięźle i prosto, zwłaszcza gdy mówią z poufnym doradzcą o sprawie wielkiéj wagi.

Najwięcéj jednolitości i prawdy—zarówno historycznéj jak psychologicznéj przedstawia postać Litawora. Ten rycerski władca drobnego księstwa, któremu ciasno w jego szczupłych granicach, który potrzebuje szerszego pola dla swéj działalności i świetniejszéj widowni dla swych czynów, który pragnie bogactw, potęgi i sławy— był wcieleniem, częściowem naturalnie, rycerskich i ambitnych pra-

gnień samego poety, zarówno z czasów kiedy marzył o tém by zostać Gofredem lub Sobieskim jak i z późniejszych lat, gdy pragnął „bryłę świata“ pchnąć „na nowe tory.” Ta porywająca siła zapału, ta prawda uczucia, jaką tchnie ognista skarga Litawora, mają swe źródło już nie w Tassie lecz w własném sercu poety, w jego ambitnych i podniosłych porywach, zapełniających w zranioném sercu próżnię po wydartéj miłości dla Maryli. Litawor to pierwszy skromnych rozmiarów odlew z tego samego metalu, który dostarczy późniéj materyału na wielką postać Konrada. Nie można jednakże powiedzieć, by postać ta była zupełnie niezależną od pierwowzorów rycerskich „Jerozolimy.“ Gdy pędzi na pomoc Grażynie, na czarnym koniu, w czarnym płaszczu, z czarną tarczą i w tejże barwy hełmie, przestaje on być litewskim kniaziem a staje się jednym z rycerzów Ariosta lub Tassa spieszącym nie na ratunek ukochanéj małżonki lecz na popis w turnieju lub dla ocalenia zagrożonéj niebezpieczeństwem kochanki. Bohaterski koniec rycerskiéj pary małżonków: Odoarda i Gildyppy, którzy przez cały ciąg wyprawy walcząc obok siebie, znajdują jednoczesny prawie zgon na polu bitwy (pieśń XX 94—100) mógł nasunąć poecie pomysł zjednoczenia w śmierci równie bohaterskiéj książęcéj pary.

Gildyppa podobnie jak Grażyna otrzymuje ranę śmiertelną w pierś.

Wodze nieboga nagle opuszczała
I pochylona coraz bardziej bladła

Grażynie także:

Cugle z słabego wyciekły ujęcia
Spływając z siodła już się bokiem chyli...

Trzecia postać Grażyny „radzca sędziwy“ Rymwid jest tylko bladą kopią, skupiającą w sobie rysy starców występujących w „Jerozolimie“ zarówno w chrześciańskim jak saraceńskim obozie.

Zaraz na początku II pieśni spotykamy starego czarownika Izmena, udzielającego rad królowi Jerozolimy.

Cokolwiek rady ma w sobie wiek stary
Co jedno umiem i co jedno mogę,
. . . .
Tém ci rad wszystkiém o królu pomogę
. . . .
Powiem ci krótko a ty słuchaj mało.

Podobnież i Rajmund, starzec o rycerskiéj duszy, podbudzając do męstwa towarzyszów, powiada do Goffreda:

Ja chociam się to skrzywił od starości
I jużem zgrzybiał jako mnie widzicie...

Rymwid odradzając Litaworowi sojusz z krzyżakami, mówi:

Długo ja żyłem i na siwym włosie
Dźwigam i czasów i czynów nie mało.

Litawor przyznaje mu, że

... zewsząd godzien mojéj czci i wiary
Jak w polu młody tak na radzie stary.

Goffred podobnież osypuje pochwałami Rajmunda:

Kiedybym dziesięć miał między młodemi,
Którzyby byli téj co ty dzielności
. . . .

Starzec czarodziéj, który Rynaldowi odsłania przyszłość jego rodu, takie mu daje nauki:

Twarz ci wyniosłą natura sprawiła
I siły do prac i serce gotowe,
Myśl ci wspaniałą wysoką sprawiła,
Abyś szedł wzgórę przez śrzodki takowe,
Gniew w cię gorący i prędki włożyła,
Nie żebyś go miał na *zwady domowe*
I na rozterki między swemi użyć
Albo nim żądzy bezrozumnéj służyć.

Mamy tu obok charakterystyki Rynalda, która mogła poecie dostarczyć głównych rysów psychologicznych postaci Litawora, jeszcze tę samę przestrogę, jaką litewskiemu księciu daje Rymwid:

... czy do tych kresów zaszły rzeczy
Iż *domowego* naszych *zwad* kąkolu
Nie zdała wyrwać dłoń bratniéj przyjaźni.

W scenie podsłuchiwania podedrzwiami Litawora jego rozmowy z Grażyną, Rymwid przypomina Wafryna podsłuchującego radę wojenną w namiocie Solimana.

Jak szpieg Goffreda „zajrzał płótna trochą rozprótego, zkąd ową dziurą był mały słychany głos z hetmańskiego pokoju dalszego“, tak Rymwid „na progu usiada, szczeliną patrzy i ucho dokłada.“

Realizm, z jakim szkicuje poeta podrzędne postacie utworu, ma swe źródło nietyle w Tassie ile w jego tłómaczu, wprowadzającym do poematu cały szereg szlachecko-obozowych wyrażeń i zwrotów. (Rozjadł się jak pies, pies pogański, durny i zuchwały, ugodzić w gębę itp.) Rubaszne uwagi strażnika zamkowego o posłach krzyżac-

kich, rozmowa z nimi, wreszcie złorzeczenia odprawionego krzyżaka nie są bynajmniéj nowościami w poezyi polskiéj, jak to możnaby wnosić z porównania tych ustępów z językiem klasycznych poematów stanisławowskiéj epoki i puławskiéj grupy.

Że te pojedyncze realistyczne rysy nie były wynikiem stanowiska jakie zajmował poeta względem przedmiotu, dbałości o prawdę historyczną i psychologiczną, świadczy obraz bitwy, który pomimo iż przedmiot nadawał się do realistycznego traktowania, przedstawia nam wierną kopią bitew „Jerozolimy.“

W szczegóły walki, niepotrzebne zresztą dla saméj powieści, nie wdaje się poeta i milczenie swe usprawiedliwia stereotypowym klasycznym wykrzykiem:

Za cóż wydarła potomnemu oku
Noc i zwycięstwa i walki rycerzy?

W ogólnéj charakterystyce: okrzyk rozpoczynający walkę, szczęk razów, wrzask, chrzęsty pancerzów, pryskające bronie, spadające hełmy, głowy, konie gniotące podkowami rannych—są to rysy powtarzające się niejednokrotnie u Tassa w opisach bitew (1).

Przestrach, jaki budzi czerwony płaszcz Litawora i jego godła na hełmie i tarczy, wznieca tak samo zbroja Solimana z ognistym smokiem na hełmie jak również godła i barwy, którymi wyróżniają się wszyscy wybitniejsi rycerze „Jerozolimy“ tak dobrze Tankred jak Argant, Rynald jak Klorynda. Spustoszenie, jakie szerzy czarny rycerz w szeregach Krzyżaków, przedstawia te same rysy co pojawienie się Rynalda w walce z Solimanem:

Wpadł jako wściekły na dardy wytknione,
Hufce i gęste poprzerywał rzędy,
Posiekł i szyki pomięszał ściśnione. (XX. 60)

Pojedynek dwóch najznakomitszych wojowników z obu stron walczących stanowi nieunikniony moment bitew rycerskich. Komtur tak samo szuka Litawora na placu boju jak Soliman Goffreda lub Argant Tankreda. Czarny rycerz, który „spada nakształt gromu“ i „jak czarna chmura ryknąwszy, błyśnie piorunowym gradem“, rzuca się na zwycięzkiego komtura, zwala go z konia na ziemię i „tratuje po nim“, przypomina Arganta, który zwaliwszy z konia Ottona, „piersi leżącemu podeptał a zwarłszy konia ostrogami“ na widok Tankreda, biegnącego na pomoc obalonemu, wybucha dzikim okrzykiem.

---

(1) Por. ustęp ks. II str. of. 29. Tak wiele kopii miały obie stronie
Że się z nich zdał być las jaki wysoki itd.

Jako więc obłok w niepogodę huczy
Z którego piorun wypada trójzęby,
Tak każde słowo argantowe było,
Zdało się, że grzmi, kiedy wychodziło. (VI. 38)

V.

Najwymowniejszą miarą rozległości wpływu, jaki wywarła na Mickiewicza „Jerozolima“, w przekładzie Kochanowskiego, jest język Grażyny, będący w części mozajką żywcem z pierwowzoru przejętych wyrazów i wyrażeń, po części zaś nową kreacyą nacechowaną kunsztownem pochwyceniem właściwości a nawet wad polszczyzny XVII wieku.

Język poezyi epoki odrodzenia i późniejszych stuleci nosi zarówno we Włoszech jak i u nas piętno podobnych warunków w jakich się wytwarzały. Obok klasycznych wzorów starożytności, na których się kształcili i które naśladowali poeci, odbija ta poezya obyczaje dworskiego otoczenia w jakiem się rozwijała. Zależni od książąt i panów, którzy zapewniali im swobodną egzystencyą, musieli poeci w zamian za pensye i dary uświetniać publiczne obchody i prywatne uroczystości w domach możnych protektorów, odami, panegirykami, poematami, sztukami dramatycznemi. W utworach tych przemawiając do ograniczonego koła dworskich słuchaczów, posługiwali się językiem dworskiego otoczenia, odbijającym wysoki stopień towarzyskiego uobyczajenia, wytworzony zarówno przez rozpowszechnione po dworach klasyczne wykształcenie jak i rozwinięty szeroko ceremoniał form, grzeczności, zwyczajów, ujmujących w silne karby jednostkowe namiętności i umożliwiających wspólne, pokojowe pożycie ludzi nie mających przed sobą wyższych celów, lecz dążących na dwory możnych pod wpływem egoistycznych pobudek. Konieczność hamowania swych uczuć, ukrywania swych celów i przekonań, odgrywania ciągłéj komedyi wobec patrona i towarzyszów, nadała językowi dworskiemu i całéj literaturze dworskich ognisk umysłowych wytworność i subtelność a zarazem sztuczność, napuszoność a wreszcie i martwotę. Nasze życie umysłowe i piśmiennictwo odkąd z cieniu murów klasztornych przedostało się na dwory królów i panów, w podobnych rozwijając się warunkach, podobne przedstawia cechy. Język dworski doszedłszy w „Dworzaninie“ i „Szachach“ wysokiego stopnia wyrobienia pod względem wytworności, wyradza się szybko, przez makaroniczną pstrociznę łacińskich słów i frazesów, i przez coraz większą przesadę w wyrażaniu sztucznych uczuć i przestrzeganiu formuł ceremoniału

towarzyskiego (1). W przekładzie „Jerozolimy“ posługuje się Kochanowski zarówno językiem dworskiego życia jak językiem uczuć religijnych i miłosnych wydoskonalonym przez mistrza czarnoleskiego w Pieśniach, Psałterzu i Trenach. Twórca „Grażyny“ utrzymując się na czysto opisowym stanowisku i pragnąc nadać swéj opowieści klasyczne, staropolskie piętno, posiłkuje się dworskim przeważnie językiem mów i opisowych ustępów Jerozolimy. Mistrzowskie wniknięcie w ducha tego języka, pozwoliło poecie obok pożyczanych wyrazów i zwrotów, nadać staropolskie piętno całemu tokowi opowieści.

Wyrazy takie jak: brona, sprawa (szyk bojowy), wierna rada, kwapiony, kromia, wrzkomo, starożytne formy dopełniacza:, szyje, cisze, są wspólne Grażynie z Jerozolimą. Jeszcze więcéj archaiczność języka cechują formy, które z czasem zmieniły pierwotne znaczenie jak: *troskliwy* w znaczeniu *stroskany* (troskliwie powieki) i *błędny* w znaczeniu *błąkający się* (błędnego Mogoła), wyrażenia takie jak: *wydaje* twarzą troski, zbroją *ubezpiecza* piersi, wyrazy języka obozowego i sejmikowego cieszące się prawem obywatelstwa w poezyi XVII w. jak: plucha, urwisz, wrzask.

Naśladownictwo zbyt wierne niekiedy i zbytnie zaufanie w klasyczność przekładu prowadzi poetę do przejmowania błędów i wad tłómacza. Ponieważ Piotr Kochanowski zmienia w przekładzie Apeniny na Krępak i Tatry przeto i Mickiewicz chcąc nadać piętno polskości starolitewskiemu poematowi, przyczepia bez żadnéj racyi „Tatry“ do opowieści Litawora i każe mu „przez Tatry“ napadać na „Polski pięknie zbudowanéj sioła.“ Jeśli niezbyt szczęśliwym pomysłem jest owa: „gniewu flaga“ budząca „doczesną burzę“ w sercu Litawpra to już wprost komiczne wrażenie sprawia niefortunnie zobrazowana klasyczna „fama“ rozsypująca „ziarna“ które „*ucho* (!) gminne *chwyta* i *przesadza*“ (!) i z których następnie gorzki owoc się wyradza co *truje* zgodę i *sławę szczypie*“ (!). W zapale naśladowczym nie spostrzegł poeta klasycznéj niedorzeczności tego tak szeroko rozwiniętego obrazu. Ponieważ Kochanowski, opuszczając w przekładzie delikatniejsze rysy pierwowzoru, dla zapełnienia powstałych ztąd luk, posługuje się, na każdéj stronie prawie, powtarzaniem téj samėj myśli, różnymi tylko wyrazami przeto i Mickiewicz powiada:

A potem milczał i nie mówił więcéj.

Wogóle jednak klasyczno-archaistyczna forma jest otworzona z wielkiem mistrzowstwem i nadaje poematowi powagę posągową,

---

(1) Przesadę tę wyśmiewał już Górnicki w swéj broszurce p. t. „Raczył.“

charakter płaskorzeźbowego przedstawienia. Gdy przez usta Rymwida powiada poeta:

„Inaczéj cale po dawnym zwyczaju
Litewskie niegyś stąpały książęta
Niosąc stolicę do własnego kraju.
. . . .
. . . .
Zdarza się wprawdzie że sąsiad sąsiada
Z którym nieprzyjaźń toczył od lat wielu
Uściska wreszcie, gniewne serce składa,
Jeden drugiego zowiąc: przyjacieln.
Że bardziéj jeszcze niźli złe sąsiady
Gniewne na siebie Litwiny i Lachy
Często u wspólnéj siadają biesiady,
Snu używają pod jednymi dachy
I miecze łączą ku wspólnéj potrzebie.

Jest to już ten sam język, który w kilka lat późniéj dochodzi szczytu prostoty, siły i epicznego majestatu w „Powieści Wajdeloty.“ Te wspaniałe ustępy powstawały w momentach natchnienia, gdy zapatrzony w dziejową przeszłość Litwy zapominał o „Jerozolimie“ i Tassie.

Posągowa piękność głównéj postaci, na pół barbarzyńska jeszcze energia mężnego Litawora, urok języka w którego stalowéj dźwięczności rozbrzmiewają echa rycerskich tryumfów i dworskiéj świetności wieku Jagiellonów i Zygmuntów (1), budząc zachwyt czytelnika, nie pozwalały mu dopatrzéć słabych stron utworu, dostrzedz licznych naśladownictw, które począwszy od oktawowéj budowy większéj części strof, występują tak wybitnie w formach wyrazowych i właściwościach stylowych wziętych od Piotra Kochanowskiego i wkracza, daléj w zakres charakterystyki zarówno tła krajobrazowego i akcesoryi jak samych postaci, zarówno przebiegu akcyi i jéj uscenizowania jak i wewnętrznych procesów psychicznych.

Piękności Grażyny podnosił cały szereg krytyków. Jeżeli Dziadom i Wallenrodowi czyniono często dość surowe nawet zarzuty to powieść o bohaterskim czynie „pięknéj księżny“ przyjęta życzliwie nawet przez obóz klasyków, uznaną została ogólnie za małe arcy-

---

(1) Czeczot mówiąc w swym liście o 2-im tomie poezyi Mickiewicza, mieszczącym Grażynę, powiada: „Styl z czasów Zygmuntowskich w miłą przeszłość przenosi i dziwnie się podoba.“ Już więc współcześni i najbliżsi poety spostrzegali wpływ poezyi wieku XVI na ten poemat.

dzieło. W ostatnich czasach dopiero zaczęto czynić pewne zastrzeżenia przeciw temu sądowi.

Praca niniejsza, przynosząc dowody zmieniające znacznie nasze dotychczasowe pojęcie o genezie tego poematu, stawia sądzącego na innem stanowisku i ukazuje mu w Grażynie studyum odtwarzające z pomocą rysów zebranych u Tassa i według jego wzorów, postacie, które choć mówią jeszcze językiem klasycznych bohaterów i przywdziewają najczęściéj ich maski i zbroje, żyją przecie już własném życiem i hołdują nowym ideałom poety.

Bronisław Chlebowski.

DZIURDZIOWIE.

POWIEŚĆ.

III.

Znała Pietrusia istotnie mnóstwo sposobów zaradzania różnym przypadłościom życia, w których skuteczność ani na chwilę nie zwątpiła sama i któremi przysługiwała się innym. Doświadczyli tego na sobie jednocześnie, ale w sposób różny, Piotr Dziurdzia i Jakób Szyszko. Pierwszy był jednym z najbogatszych gospodarzy w Suchéj Dolinie. Czy grunt jakiś lepszy od innych przypadł im w udziale, czy trzeźwiejsi i pracowitsi byli niż inni, dość, że dziad jego, ojciec i on sam uchodzili we wsi za bogaczów. Wkrótce po nastaniu wolności Piotr zbudował chatę, mającą pozór porządnego domku. Miała ona komin, dwa spore okna, mały ganek i ściany z zewnątrz pobielone. Wewnątrz, nic tam osobliwego na pierwszy rzut oka spostrzedz się nie dawało. Sień, duża izba i obszerna komora; w dużéj izbie ogromny piec do gotowania strawy i pieczenia chleba, ławy, stoły, krośna tkackie, gospodarskie statki drewniane, nic więcéj; wszystko tak jak u innych. Ale zajrzéć tylko do komory, obory, stajni, spichlerza! Tam już działo się wcale niepospolicie, W największy choćby nieurodzaj, zboża nie brakowało, bo z roku na rok zostawał zawsze jaki taki zapas i zbytek lat jednych łatał braki drugich. Cztéry krowy, dwa konie, z których jedna klaczka, co roku przyprowadzająca źrebię, sześć owiec, wieprze, kury, gołębie gnieżdżące się na dachu, w ogrodzie gęsty gaik drzew wiśniowych, zmieszanych z dzikiemi gruszami, których owoc dostarczał na zimę wybornych *gniłek*, wszystkiego tam było pełno. W komorze, na pułkach i na ziemi piętrzyły się worki i garnki z wszelkiém dobrem, jedna ściana czerniała cała od pozawieszanych na niéj mot-

ków nici, stojące pod ścianą skrzynie napełniały po brzegi przyodziewki męskie i niewieście, jako też, niepokrojone jeszcze *ściany* szarych płócien i sztywnych *samodziałów*, w sine i czerwone pasy, na domowych krosnach wytkanych. Ale nie tylko niezwykły dostatek napełniał chatę Piotra; pełną była ona także i niezwykłego spokoju. Piotr był człowiekiem charakteru flegmatycznego, ruchów ociężałych, mowy rozważnéj; żona jego, kobieta wysoka, urodziwa i łagodna. W młodości swéj jeszcze zaniemogła na reumatyzmy i inne jakieś choroby, które uczyniły ją także powolniejszą i mniéj od innych niewiastą do kłótni skorą. Stękała często, szeroko i długo użalała się na cierpienia swoje, u kogo tylko mogła rady na nie zasięgała, gdy bóle srodze dokuczać jéj zaczynały, popłakiwała sobie w kącie albo i na całą chatę głośne lamenty zawodziła, ale do kłótni z mężem nigdy nie stawała. Gdzieby jéj tam, z osłabłemi nogami i powykrzywianemi palcami rąk, jéj, niezdarze, która jak jaka pani wyręczycielek potrzebowała, do kłótni jeszcze stawać! Szczęściem już dla niéj wielkiém było i to, że mąż z chaty jéj nie wyganiał, za niedołęztwo nie łajał, a nawet często ulitował się, żałośliwie nad nią głową pokiwał i po ludzku z nią pogadał. Dość była roztropną, aby szczęście to ocenić i każdą wolę męża tak szanować, jakby to była wola bozka. Rozumowanie jéj pod tym względem było proste. W chwilach wylania do sąsiadek mówiła.—Dla czego ożenił się on ze mną? Nie dla posagu ożenił się, bo nijakiego nie miałam, ale dla tego żeby w chacie dobrą gospodynię mieć. O jakaż ze mnie gospodyni? Do pracy rwę się jak ten koń do studni, co *zdążam*, zrobię, ale mało zdążam. Jak *chwaroba* schwyci, to i ręce od wszystkiego odpadną. A on mnie za to nigdy nic, żeby choć jedno złe słowo powiedział! Cierpi i milczy. Jeszcze czasem i zapyta się: może tobie Agatka, trzeba czego? Może ciebie znów do znachora zawieść? Dobry człowiek. Toż ja jemu nie sprzeciwiam się w niczém. Niech jemu i Pan Bóg przenajświętszy nie sprzeciwia się....

Zresztą, sprzeciwiać się Piotrowi nie byłoby rzeczą łatwą. Miewał i on przystępy gniewu, rzadkie, ale straszne. Możnaby rzec, że w naturze téj cichéj i poważnéj, burze wybuchały tém gwałtowniéj, im powolniéj i dłużéj wzbierały. Kiedyś, za młodu, był on dla rodziców swych synem uległym i o stare lata ich dbającym, jednak, gdy matka ze starości zdziwaczała już nieco, dokuczyła mu ciągłemi kłótniami z synową i raz komorę przed nią zamknęła tak, że wróciwszy z pola strawy zgotowanéj nie znalazł i głodnym być musiał, uderzył ją tak silnie, że stara zaniemogła, przeleżała na piecu czas jakiś i umarła. Może ona i nie od uderzenia synowskiego umarła, bo wprzódy już nic prawie sił w niéj nie było, ale Piotr zgryzł się tém

tak bardzo, że długo jak nieprzytomny po świecie chodził. Żonie i kumowi, którego bardzo lubił, powiedział wtedy, że sam siebie tak bać się zaczął, jakby już dyabłu duszę był zaprzedał. Odtąd też stał się bardzo nabożnym. Do kościoła jeździł i spowiadał się częściéj od innych, za pługiem idąc, pacierze czasem odmawiał, w każde uroczyste święto, wielkie bochny chleba i grube zwoje płótna, u kościelnego ołtarza na ofiarę składał. Można-by rzec, że myśl iż krzywda zrządzona matce, duszę jego w posiadanie dyabelskie oddała, napełniała go trwogą i żądzą oczyszczenia się przed Bogiem. Z czasem wznieciło to w nim niejaką skłonność mistyczną, któréj ustawiczna a ciężka praca fizyczna wybujać nie pozwalała, lecz która malowała się w marzycielskim trochę wyrazie, z jakim niekiedy siwe jego oczy patrzały na świat z pod gęstych brwi, jako też w szczególném zaciekawieniu do cudów, czarów i wszelkich nawet opowiadań o nadprzyrodzoności. Skłonność ta zwiększyła się jeszcze wypadkiem, który wydarzył się w dzieciństwie młodszemu z synów jego Jasiukowi. Chłopak przyszedł na świat wtedy właśnie, gdy Piotrowa chorzeć zaczynała i około pięciu lat życia swego mając, wysechł i wyżółkł tak, że podobniejszym stał się do figurki z wosku, niż do dziecka. Nogi miał na wewnątrz powykrzywiane, gębę wiecznie otwartą, gdy biedz chciał, padał. Klemens hodował się zdrowo i jak wzdłuż, tak wszerz rósł niby na drożdżach; nad Jasiukiem płakała matka, sąsiadki żałośliwie kiwały głowami, a ojciec, według zwyczaju swego, z cicha i powoli coś pomrukując, ponuro czasem głowę zwieszał. Doszło do tego, że Agata, któréj obrzydły i kwękania chłopca i ciągłe pilnowanie go, jakby przez tyle lat niemowlęciem być nie przestał, w gniewie i żalu rzekła raz do sąsiadek.

— Ot, niechajby go już lepiéj Pan Bóg sobie zabrał...

Wtedy Piotr rozgniewał się znowu. Od śmierci matki przez długie lat kilka nie gniewał się nigdy; teraz znowu w gniew wpadł i byłby wybił żonę, gdyby mu ona z płaczem do ręki nie przypadła, prosząc o zlitowanie nad jéj chorobą i niedolą. Krzyczał więc tylko okrutnie, sąsiadki, które macierzyńską żałość Agaty gadaniną swą drażniły, z wielkim dla nich wstydem z chaty wypędził, a wkrótce potém z chorém dzieckiem na wóz wsiadł i do cudownego miejsca na odpust pojechał. Jeżeli tam innym Pan Bóg cuda swe okazywał, czemuż-by i jemu okazać nie miał. Powiedział mu ktoś, że dla uproszenia téj łaski, trzeba kupić jedną z woskowych figurek, które w niektórych kruchtach kościelnych sprzedają, i złożyć ją na ołtarzu. Piotr kupił taką figurkę i jeszcze mszę na intencyą dziecka zakupił, a przesłuchał ją klęcząc i głośno, żarliwie, z ciężkiemi westchnieniami i uderzaniem się pięścią w piers odmawiając pacierze. Gdy u stóp

ołtarza chłopcy dzwonili na podniesienie, on, w obu ramionach, okrytych rękawami baraniego kożucha, podniósł chłopca swego w górę, tak jakby go zmiłowaniu bożemu ukazywał, a sam twarz brunatną i gęsto zarosłą wysoko także podnosząc, marzycielskiém spojrzeniem swém ścigał błękitne dymy, które nad głowami ludzkiemi blaskiem świéc i rzeźbami ołtarza, wzbijały się pod mroczne sklepienie świątyni. Dziecko wróciło z odpustu do chaty tak jak odjeżdżało: wyschłe, żółte, słabe, z wykrzywionemi nogami i otwartą gębą, lecz wkrótce, może w parę miesięcy potém, widocznie poprawiać się zaczęło: bielało, tyło, prostowało się, wprost odżywało. Wprawdzie, była to wiosna ciepła i słoneczna, w której odżywało wszystko, co na świecie było: drzewa, trawy, kwiaty, a także i dzieci. Wprawdzie Aksena, która podówczas świeżo w Piotrowéj chacie była osiadła, doradziła Piotrowéj, aby codziennie wyprawiać Jasiuka na ten suchy piasek, który białą ławicą słał się u końca wioski. Niechaj biedulek grzebie się sobie w tym piasku—mówiła,—to jak go słoneczko mocno rozgrzeje dziecko zdrowe będzie. Taka już święta siła jest w gorącym piasku, że on dzieci uzdrawia, kończyła Aksena i Pietrusi, która wtedy jeszcze niedorosłą była dziewczynką, rozkazywała, aby Jasiuka na piasek prowadziła i tam pilnowała go i zabawiała. Jasiuk nigdy wprawdzie nie stał się silnym ani tak pięknym i roztropnym, jakim był niewiele odeń starszy Klemens. Wyzdrowiał przecież, nie kwękał już tak jak pierwéj, nie padał co krok, więcéj mówić zaczął, wybielał. W chacie Piotra mówiono często o tém wyzdrowieniu i przyczyny jego rozważano. Jedne z bab nabożnie składając ręce na brzuchach, mówiły.—Taki to Piotrowa ofiara na odpuście.

— Piasek ten, co go Aksena doradziła—twierdziły inne.

Piotr zaś przemawiał.

— I ofiara na odpuście i piasek, a wszystko Pan Bóg przenajświętszy zrządził; bo,—z powagą mówił daléj,—jeżeli piasek ma taką świętą siłę, to mu ją Pan Bóg dał. Ot co.

— Jest na świecie i *czartouskaja* siła—zauważyła jedna z bab.

— A jest — z przekonaniem potwierdził Piotr i po długim namyśle dodał—ale w piasku jest siła boska, bo ot, dobrze zrobił; a żeby w nim była siła czartowska, toby źle zrobił...

Zastanowił się jeszcze trochę, wskazujący palec w górę wzniósł i dokończył.

— *Czartouska* siła zawsze źle człowiekowi zrobi, a bozka dobrze. Ot co.

Boską tedy moc zjednywał sobie Piotr Dziurdzia coniedzielném jeżdżeniem do kościoła, odmawianiem pacierzy, ofiarami składane-

mi kościołowi w postaci chlebów, serów i płócien, dyabelskiéj zaś lękał się okrutnie, choć nigdy jéj na sobie, w widoczny przynajmniéj sposób nie doświadczył, i miał ją w obrzydzeniu i nienawjści wielkiéj. Jeżeli ktokolwiek opowiadał przed nim o ludziach, którzy, jak naprzykład wiedźmy i czarownicy różni, przez nią złe figle innym ludziom płatali, spluwał z obrzydzeniem i ze złością przez zęby wymawiał.—*Kab* im ręce połamało! *Kab* im skonanie ciężkiém było! *Kab* oni królestwa niebieskiego nie oglądali!

O królestwie niebieskiém Piotr wspominał często; zdaje się, że było ono tym przedmiotem, który kędyś, wysoko, w zarysach mętnych i nieokreślonych unosił się nad nim wtedy, gdy oczy jego pod gęstemi, wypukłemi brwiami, przybierały wyraz zamyślony i trochę marzycielski.

Jednakże, rojąc sobie dziwne może obrazy królestwa niebieskiego, dbałym był i o ziemskie. Gospodarstwo swe pracowicie i zapobiegliwie prowadził, a wielce ucieszył się, gdy go mieszkańcy Suchéj Doliny na urząd *starosty* swego wynieśli. Wtedy okazało się widocznie, że od ambicyi wszelkiéj wolnym nie był i że zaszczyt, który go spotkał, przyjemnie pogłaskał jego dumę. Wprzódy trzymał się był trochę pochyło; zostawszy *starostą*, grzbiet wyprostował, uśmiechnął się tak szeroko i swobodnie jak nigdy przedtém, lecz za to z większą jeszcze niż przedtém powagą stąpać zaczął i z widoczną lubością, niemal uroczyście, na zewnętrznéj ścianie swojéj chaty przybijał siną tablicę, na któréj wielkiemi białemi literami wypisane było: *Piotr Dziurdzia, starosta.* Sprawami publicznemi, które sąsiedzi w ręce jego złożyli, zajął się gorliwie i cierpliwie. Gdy obległy go różne, z urzędem jego związane trudy i przeciwności, ze skruchą w głosie mawiał.—Pan Jezus więcéj cierpiał.

Albo.

— Pan Jezus mnie to w królestwie niebieskiém wynagrodzi.

I swoje robił, ani na dokuczanie ludzkie, ani na fatygi różne nie zważając. Często także unosiła go ludzka duma. Podnosił palec do góry, uśmiechał się szeroko i w zwykły sobie, powolny sposób mówił.

— *Ciepier*, jak *toj kazau*, ja *tut* pierwszy *jezdem* i ze wszystkich *najwyższejszy*...

Starszemu synowi także czasem perory prawił.

— Patrzaj Klemens, bądź taki jak ja, a Pan Bóg przenajświętszy da tobie panowanie ziemskie i królestwo niebieskie. Nie pij, cudzego nie żądaj, co do ciebie należy rób, a w moc czartowską nie oddawaj się. W moc boską oddaj się, a w moc czartowską nie oddawaj się, bo jak *toj kazau*, gospodarstwo zginie i duszę zgubisz. Ot co.

Ważny wypadek zostania *starostą* wiejskim, zaszedł w życiu Piotra w parę lat po weselu Michałka Kowalczuka z Pietrusią, a wkrótce potém, roztrząsaniu mieszkańców wsi nastręczyła się sprawa wielkiéj dla nich wagi. *Magazyn* wiejski, w którym mieściły się zapasy zboża, przeznaczone dla wspomagania lat nieurodzajnych, tak już był starym, że całkowitym upadkiem groził, *Stanowy* (policyjny urzędnik) kilka razy zapowiadał konieczność zbudowania innego i mieszkańcy Suchéj Doliny konieczność tę czuli sami, ale z przystąpieniem do roboty z roku na rok zwlekali. Wiadomo, kosztów lękali się, a i nowego kłopotu nie bardzo żądali. Teraz jednak przyszedł już kres ostateczny zwlekania. Magazyn trzeba było budować, chcąc nie chcąc, bo tak stanowczo i nieodwołalnie przykazano z góry. W chacie starosty, aż ciemno zrobiło się od ludzi, którzy zeszli się tam dla narady o téj kosztownéj i dość skomplikowanéj sprawie. Piotr Dziurdzia przewodniczył naradzie ze zwykłą sobie powagą i roztropnością, doradzając jak i kiedy pieniądze na ową budowę zebranemi być mają, gdzie i jakie drzewo kupić na nią należy, kogo i za jaką cenę wezwać do wymierzenia ziemi, którą budynek na inne miejsce przenoszony zająć musiał. We wszystkich tych rozważaniach i wyliczeniach, skutecznie pomagał mu stryjeczny jego brat Stepan, mający jedną z najlepszych głów we wsi ilekroć nie był pijanym, albo nie wpadał w pasyą. Miał on nawet tę nad drugimi wyższość, że biegle liczyć umiał. Nikt go tego nigdy nie uczył, ale z natury już tę zdolność posiadał i nauczył się sam. Że zaś tym razem trzeźwym był i nie gniewał się na nikogo, a przytém, kroił sobie koniecznie na najbliższych wyborach sędzią wiejskim zostać, siedząc tedy obok Piotra, szeroko i roztropnie prawił, biegle różne cyfry dodawał i mnożył, słowem, zapominając o tém co gryzło go i dręczyło w życiu prywatném, sprawom publicznym oddal się całkiem. Przy téj czynności, rozjaśniła mu się nieco i wypogodziła twarz przedwcześnie pomarszczona i najczęściéj ponura a gniewna. Pomimo jednak roztropności i powagi dwóch Dziurdziów, w izbie wybuchała często wrzawa taka, że ludzie jedni drugich zrozumiéć nie mogli. Wszyscy tam jednocześnie mówić zaczynali, łokciami i ramionami odpychali się wzajem od stołu, za którym siedział starosta, o każdy grosz zawodzili kłótnie, na każdą propozycyą odpowiadali zaprzeczeniami. Piotr cierpliwie to znosił, kilku uważniejszym słuchaczom swoje prawił, a czasem, kiedy sąsiedzi łajać go już i przeklinać zaczynali, pomrukiwał.

— Pan Jezus więcéj cierpiał!

— Bydło! *praklatoje* bydło! *Kab na was chalera*—wykrzykiwał popędliwy Stepan i najnatarczywszych pięścią od stołu odpychając,

zaczynał już w paroksyzm złości wpadać, gdy nagle, kłótliwą wrzawę męzkich głosów, niby ostrzem noża przerznął piskliwy a rozpaczliwy krzyk niewieści. Była to Piotrowa, która z komory wypadłszy, ręce łamała i z boku na bok przechylając się, w niebogłosy krzyczała i zawodziła.

— Jazu mój! Jazu! O Jazuż mój, Jazu najmiłosierniejszy!

Tu i dziewka, która w zastępstwie Pietrusi, w gospodarstwie jéj dopomagała, tuż za nią także z komory wypadła, włosy sobie z głowy wyrywając, a po chacie téż biegając; jeszcze donośniéj i piskliwiéj wtórzyła.

— O matko boska przenajświętsza! zmiłuj *sia*, zmiłuj *sia*, zmiłuj *sia* ty nad nami nieszczęśliwemi!

Mężczyzni rozprawiać i kłócić się przestali i z gębami pootwieranemi, jak słupy stojąc, błędnemi wzrokami wodzili za niewiastami, które jakby w konwulsyach rzucały się po izbie. Sporo czasu upłynęło zanim gospodarz chaty, zrazu perswazyą, a potém groźbą spuszczenia im pięści swych na plecy dopytać się u niewiast zdołał, co się stało. Stała się istotnie rzecz zasmucająca: z komory zginęły dwa sadła, 12 par kiełbas, i dziesięć *ścian* świéżo utkanego płótna. Wszystko to ukradzione zostało nie wiedziéć kiedy, przez kogoś, kto odpowiedniém narzędziem wewnętrzną okienicę przepiłował, zamykającą ją zasuwę usunął, przez okno do komory wlazł i tyle dobra z niéj wyciągnął. Okno komory wychodziło na ogród, w téj późnéj jesiennéj porze pusty i tylko błotem pokryty, noce jesienne długie są i ciemne.... Piotrowa rozpaczała; Piotr stratę poniesioną mniéj żywo do serca biorąc, zmartwił się jednak i nadewszystko oburzył się przeciw nieznanemu złoczyńcy. Ludzie, którzy tu obradowali i obrady swéj nietylko nie skończyli, ale po razy kilka jeszcze kończyć nie mieli, rozeszli się zwolna; w izbie pozostał Piotr, w zamyśleniu na ławie siedzący i łokciami na stole rozparty i trzy kobiety, które przed ogniem żywo płonącym w piecu, głośno o zaszłym wypadku rozprawiały. Były to trzy Dziurdziowe, żony Piotra, Stepana i Szymona Dziurdziów. Były to także trzy zupełnie różne z sobą typy chłopek i trzy wyraźnie różne dole kobiece. Niemłoda już i schorowana, ale spokojna i jeszcze dość urodziwa Piotrowa, żona męża dobrego, gospodyni chaty dostatniéj i matka dwóch dorastających synów, skrzyżowała na piersi ramiona i smutnie już tylko nad stratą swoją głową kiwała, z cicha powtarzając.

— *Jakije* złe ludzie! aj, *jakije* nie godziwe!

Zwinna jak żmijka, czarnooka, śniada i ognista Stepanowa, sławna na całą okolicę złośnica i plotkarka, o któréj zresztą wszyscy wiedzieli, że mąż jéj cierpiéć nie mógł i że wiecznie biła go lub przez

niego bitą była, na pierwszą wieść o tém co się w chacie Piotra przytrafiło, porzuciła niedawno urodzone, a przez 4 lata małżeńskiego pożycia jedyne dziecko i przyleciawszy tu, krzyczała, złodziejów przeklinała i miotała się tak srodze i hałaśliwie, jakby ją samą i stokroć od téj większa strata spotkała. Szymonowa przeciwnie przywlekła się zwolna i z dzieckiem na ręku, które już było szóstem czy siódmem. Nie starą była jeszcze i nie brzydką, ale strasznie wymizerowaną z czołem zmarszczonem i wiecznie skrzywionemi usty. Piotrowa, choć starsza i schorowana. daleko lepiéj od niéj wyglądała. Wiadomo, żona pijaka, siedzącego po uszy w długach u żyda arendarza zaciągniętych, mająca chatę kurną jeszcze i drobnych dzieci pełną a komorę prawie pustą, tyć i wesoło sobie *bajdurzyć* nie mogła. Na Agacie wyraźnie odbijały się spokój i dobrobyt, na Rozalii Stepanowéj charakter zapalczywy a złem pożyciem małżeńskiém do stopnia prawie wściekłości rozjątrzony; na Parasce, żonce pijaka Szymona—skłopotanie i nędza. Tuląc i kołysząc dziecko, które w piersi matczynéj mało znajdowało pokarmu i rozkrzyczało się w niebogłosy, z podziwém, pełném świętobliwego jakby poszanowania, wciąż powtarzała.—Dwa sadła i dziesięć *ścian* płótna! oj, Bożeż mój Boże! dwa sadła, dziesięć *ścian* płótna i dwanaście par kiełbas... oj, Bożeż mój Boże!...

Bogactwu takiemu, które aż tyle rzeczy bez ostatecznego ogłodzenia poszkodowanych z komory ukraść pozwalało, dosyć nadziwić się i nalubować nie mogła! Nie zazdrościła, owszem, żałowała krewniaków że im się taka szkoda stała, ale oczy jéj zachodziły łzami. Dawało to jéj miarę i żywne uczucie biédy własnéj. Zaś, czarne oczy Rozalki rozpalały się coraz bardziéj, błyskały i latały jak u oszalałéj, a język, szybciéj jeszcze latał niż źrenice. Przekleństwa najstarszliwsze na nieznanego złodzieja miotała, lecz wiadomem to już było, że zawsze coś lub kogoś przeklinać musiała; podobno sprawiało to ulgę nieustannéj zgryzocie, która u innych roztopiłaby się w łzy, a ją napełniała warem i płomieniem.

Zasmucony lecz już ułagodzony głos Piotrowéj, przebił się przez wrzaskliwe zawodzenia Rozalki.

— Żeby tam niewiem co, rzekła, ja taki będę wiedziéć kto to ten złodziéj.

Zwróciła się do Piotra.

— Pietruk, rzekła głosem, który objawiał zgodny i przyjacielski stosunek jéj z mężem; *idzi* do Akseny... *popytaj sia*, może ona zna co takiego, żeby tego złodzieja odkryć...

Nad wszelkie spodziewanie niewiast, Piotr ani jednêm słowem nie sprzeciwił się temu żądaniu, wstał, na głowę czapkę baranią włożył i z chaty wyszedł.

Wieczór to był jesienny, ciemny; wiatr szumiał w ogrodach i miotał drzewami; pod niebem szmaty chmur, lecąc jak ciężkie ptaki, przysłaniały to znowu odsłaniały gwiazdy. Błotnistą ścieżkę wijącą się pomiędzy ścianami obór i gumien, a opłotkami ogrodów, wysoki, barczysty, chłop, w kożuchu i baraniéj czapce, z grzbietem nieco przygarbionym, szedł szerokim i ciężkim krokiem w kierunku zagrody kowala. Zdala już widać było kuźnię, buchającą czerwoném światłem i słychać turkot odjeżdżających wozów. Przed tą kuźnią, zawsze jak na odpuście albo jarmarku. Z całéj okolicy ludzie do Michałka Kowalczuka przyjeżdżają, bo takiego jak on kowala nigdzie nie ma. Ale teraz już wieczór i ci co tu dziś konie podkuwali, obręcze na koła i siekiery robić a pługi i wozy naprawiać kazali, jadą do domów, drogą pomiędzy wierzbami i bzami, w których puszczyki i lelaki gnieżdżą się i skomlą. Przed otwartemi drzwiami kuźni nie ma już nikogo, tylko leży szeroko błoto straszne, kołami wozów i kopytami końskiemi rozbite i pogłębione. Piotr Dziurdzia w błocie tém stanął i przez chwilę, we wnętrze kuźni wpatrywał się z przyjemnością niejaką. Czerwoném światłem napełnione, jaskrawo odbijało ono, od ciemności panujących na zewnątrz. W tém świetle, pięknie przedstawiała się postać młodego kowala, który pracować jeszcze nie przestał. W majtkach i koszuli z wysoko odwiniętemi rękawami, silny i zgrabny chłop, żwawo podnosił żylaste ramię, co siły bił młotem po rozpaloném żelastwie, skry z pod młota sypały się w dół deszczem a słupem tryskały w górę, śniada twarz z czarnym wąsem i czarna jego czupryna stały w czerwonym blasku. Żwawo pracował i wesoło. Nadewszystko wesoło. Co chwilę zagadywał coś do pomagającego mu chłopaka, czasem i przyśpiewywał sobie, albo, gdy uderzenie silniejszém czy zręczniejszém być musiało, podnosząc i opuszczając ramię, niby do tańca wykrzykiwał sobie.—Hu, ha! Piotr z zadowoleniem niejakiém na tę raźną i wesołą pracę popatrzawszy, uszedł jeszcze ze dwadzieścia kroków i wszedł do chaty kowala.

Izba tam była takaż prawie jak u Piotra, obszerna, z drewnianą podłogą i wolna od dymu, który przez komin uchodził, tylko spostrzegać się w niéj dawały pewne wymysły, jakich u *dzidów* i *pradzidów* nie bywało. Oprócz stołów i ław stały tam trzy drewniane krzesła, u sporych okien zieleniało w wazonach kilka nizkich roślin, na małéj szafce z dwoma szybkami połyskiwał blaszany samowar. Wymysły te, przywiózł z sobą Kowalczuk z szerokiego świata, a może téż zapoznała się z niemi i Pietrusia, w tym szlacheckim dworku, w którym za dziewkę folwarczną służyła. Wymyślność ta jednak nie doszła do tego stopnia, aby gdzieindziéj umieścić ogrom-

ny piec z okopconém wnętrzem, w którym, jak o téj porze w każdéj z chat chłopskich, palił się ogień wielki. Nie dosięgła téż ta wymyślność ani świéc, ani lampy; pomiędzy cegły pieca wetknięte łuczywo, paląc się czerwonawym i dymnym płomieniem oświetlało postać staréj Akseny w ten sposób, że komuś wchodzącemu do izby, musiała ona naprzód rzucać się w oczy. Według starego swego zwyczaju, kościana babka siedziała na piecu i w dostatniéj siermiężce, w czarnym czepcu, wyprostowana, jedną ręką wyciągała z kądzieli nić lnianą, w drugiéj kręciła wrzeciono. Pietrusia nosiła po izbie roczne dziecko, kołysaniem i półgłośném śpiewaniem uśpić je usiłując. W drzwiach izby, poważnym i uprzejmym głosem wymówione, zabrzmiało pozdrowienie Piotra.

— Niech będzie pochwalony...

— Na wieki wieków... z uradowaniem widoczném odpowiedziała Pietrusia i z dzieckiem na ręku, z rozbłysłemi od zadowolenia oczami, ku gościowi podbiegłszy, w rękę go pocałowała. Aksena, która od czasu oślepnięcia swego słuch miała ostry, poznała też Piotra po głosie i na chwilę prząść przestając, w znak powitania głową tak kiwać zaczęła, aż się jéj do koła czarnego czepca białe, siwe włosy rozwiały. Przytém chropowatym i z powodu braku zębów szepleniącym głosem, dziękowała mu za to, że sobie o nich przypomniał i chatę ich nawiedził. Pietrusia tymczasem, uśpione już dziecko położyła w kołyskę, jedno z trzech krzeseł fartuchem otarła i w radośnym uśmiechu ukazując białe zęby, zapraszała byłego gospodarza swego, aby na niém usiadł. Piotr popatrzał na krzesło tak jakby przekonać się chciał, że nie złamie się ono pod jego ciężarem i z ostrożnością niejaką na niém usiadł.

— Nu, zaczął oglądając się po izbie, po pańsku tu u was, pięknie... *Kresła* sobie wymyślili i samowar... oho!

— Po pańsku, nie po pańsku, podchwyciła Aksena, któréj zaledwie widzialne wargi z wielkiego ukontentowania rozciągnęły się od ucha do ucha, ale chwała Bogu, niczego nie brakuje... wszystko jest... i chleb jest i zgoda święta jest... jak Pan Bóg przykazał...

— I syn jest... dodał Piotr, z żartobliwą dobrotliwością na Pietrusię patrząc. Ona, zawstydziła się trochę i spuściła oczy, ale wesoło wciąż uśmiechając się, odpowiedziała.

— A jest, dziadźku...

— I drugi zaraz będzie... żartował daléj starosta.

Tym razem młoda mężatka zaczerwieniła się jak burak, odwróciła trochę twarz i z cicha zachichotała. Aksena ze swéj strony śmiała się na piecu swoim starym śmiechem, który suchy klekot drewnianéj grzechotki przypominał.

— Czy jeden jeszcze...... oj, oj, czy jeden jeszcze będzie! mówiła.

— Daj Boże szczęśliwie, z życzliwością zakończył Piotr, a tu i kowal wszedł do izby. Przed opuszczeniem kuźni włożył był na siebie szary spencer sukienny, zieloną taśmą oszyty, i wyglądał w nim bardzo zgrabnie. Twarz miał zaognioną i spoconą od pracy; na widok Piotra ucieszył się bardzo i w obadwa ramiona go ucałował. Ani on, ani Pietrusia nie zapominali o tém nigdy, że stara Aksena i jéj wnuczka przez lat wiele w Piotrowéj chacie chleb jadły. Nie darmo wprawdzie go jadły, ale był on dobrym i omastą życzliwości obojga gospodarstwa przyprawionym. Że tam potém stało się inaczéj i na tułaczkę znowu iść musiały, w tém już winy Piotra nie było.

— Pietrusia! zawołał do żony kowal, zrób no dla *dziadźka* herbaty...

Piotr poprawił się na krześle. Lubił bardzo herbatę, choć pijał ją tyle tylko, co czasem w miasteczku, kiedy na odpust albo na targ przyjechał, we własnéj chacie samowaru mieć nie chciał, bo go *dzidy pradzidy* nie miewali.

— Oho! zauważył, wy jak pany... *harbatę* sobie pijecie...

— Codzień nie pijem, ale czasem pijem, odpowiedział kowal, a co robić? wódki do gęby nie bierzem, to czasem trzeba czém innén *żywot* rozegrzać... I staréj babuli ziele to życie przedłuża i jak gość *trapi się*, potraktować dobrze...

— Dobrze, czemu nie dobrze? potwierdził Piotr i zaczął kowala wypytywać się o różne różności, których on mnóstwo wiedział, bo i kawał szerokiego świata zchodził i teraz ciągle z mnóstwem ludzi, zwyczajnie jako rzemieślnik, do czynienia miał. Michałka nie trzeba było długo do rozmowy zachęcać, bo z natury był on wielomównym i wesołym. Więc téż szeroko i długo opowiadać zaczął gościowi o jakiémś wielkiém mieście, w którém jako żołnierz lat parę przebywał, a tymczasem Pietrusia z pośpiechem zagotowała wodę w samowarze i po kilku minutach z glinianego *czajnika* nalała herbatę do trzech szklanek z grubego zielonawego szkła i do każdéj z nich włożywszy cynową łyżeczkę, na białym spodku kilka kawałków cukru położyła. Naczynia i cukier z szafki wyjmowała, zwijała się po izbie bosemi nogami żywo i zgrabnie, szklanki i łyżeczki, jak wesołe dzwonki w ręku jéj dzwoniły. Dwie szklanki z herbatą postawiła na stole przed gościem i mężem, trzecią, na ławę wskoczywszy, na piecu umieściła i gdy dwaj mężczyzni bezprzestannie gawędzili z sobą, ona gorącą herbatę na spodek wylewała i wydymając policzki, z całéj siły i głośno na nią dmuchała. Potém końcem palca dotykała

płynu a przekonawszy się, że już był ostudzony, brzeg spodka do ust babki przykładała, mówiąc.

— *Piej*, babulo, *piej*! Siedziała na brzegu pieca i ślepą babkę herbatą poiła. Chustki na głowie w domu nie nosiła. Ciemne włosy rozrzuciły się trochę do koła jéj twarzy a czoło miała takie gładkie i pogodne a oczy tak od wesołości błyszczące, że choć tam w kołysce usypiał roczny już chłąpak, na dziewczynę wyglądała. Michałek z Piotrem rozmawiając. spojrzał na żonę raz, drugi, a potém, opowiadanie jakieś przerwał i zapytał.

— Pietrusia! a ty *znou harbaty* nie pijesz?

Wydęła trochę wargi i bosemi stopami po ścianie pieca bębniąc, odpowiedziała.

— *Nie chaczu*! *nie lublu*! *paskudnoje ziele.* Mnie lepsza zaciérka z sadłem.

To wspomnienie o sadle przypominało Piotrowi cel dzisiejszych jego odwiedzin. Wsparł tedy łokieć na stole, twarz na ręku i wypadek, który chatę jego nawiedził, opowiadać zaczął. Obecni dziwili się i bardzo ubolewali. Zajęło ich nadewszystko pytanie: kto to taki—ten złodziéj? Kowal przypomniał sobie, że wczorajszéj nocy wracał właśnie z sąsiedniéj wsi, do któréj za interesem był chodził, i widział jakiegoś człowieka, który z workiem na plecach prędko szedł pod płotami.—A jakże on wyglądał, ten człowiek? ciekawie zapytał Piotr. Kowal odpowiedział że był to człowiek chudy, małego wzrostu i zdaje się, że siwy zarost miał do koła twarzy. Tego ostatniego na pewno nie utrzymywał, bo noc była, ale że widział go dość zblisko i gwiazdy świeciły, więc zdaje mu się, iż miał siwy zarost do koła twarzy. Piotr zadumał się a potém rzekł.

— To zupełnie tak jakby Jakób Szyszko...

W podejrzeniu wyrażoném względem Jakóba Szyszki nic nieprawdopodobnego nie było. Nie raz już on w życiu swojem na złodziejstwie był złapanym, a ot, dwa lata temu, za wdarcie się przez dach do stodoły dworskiéj pół roku w turmie przesiedział. Jednak było to tylko podejrzenie, Piotr wlepił oczy w ślepą twarz Akseny.

— Ja do was prośbą, ciotko, rzekł. Może wy znacie jaki sposób, żeby tego złodzieja odkryć...

Baba milczała chwilę, potém, chropowatym swym i bezzębnym głosem, ale powoli i z namysłem, mówić zaczęła.

— Czemu mam nie znać? znam. Weźcie sito, wbijcie w nie nożyce i niech dwoje ludzi podłoży palce pod ucha nożyc, a *drugie ludzie* niech mówią różne nazwiska, różne jakie sobie tylko *wspomną*... Na czyje nazwisko sito zakręci się, ten złodziej... I to

jest taka pewna prawda, że ja nie raz ale sto razy na własne oczy widziała...

Umilkła, wyciągnęła ramię i parę razy w żółtych palcach wrzeciono pokręciła. Kowal zaśmiał się głośno.

— Głupstwo! rzekł.

— Michałek! z przerażeniem prawie zawołała Pietrusia; ty zawsze taki! tobie wszystko głupstwo! ej, niedowiarek paskudny!

Aż zaczerwieniła się cała, tak ją niedowiarstwo męża oburzyło. On pobłażliwie wymówkę jéj przyjął i tylko zcicha jeszcze zamruczał.

— Oj, baby, baby *durnyje*!

Ale Piotr z nadzwyczajną uwagą i powagą słuchał słów Akseny, która, rękę z wrzecionem opuściwszy, dodała jeszcze.

— Można na sito złodzieja wywróżyć, można i na Ewanelję. To już jak gdzie... w jednych stronach na sito wróży się, a w drugich na Ewanelję wróży się... To już wszystko jedno... jak kto woli...

Piotr rękę do włosów podniósł.

— To już ja na Ewanelję wolę, rzekł a po chwili dodał.—Zawsze to Boska rzecz jest i Boska siła...

— No, to tak samo w Ewanelję nożyce wbić... nauczała baba.

— Głupstwo! zaśmiał się znowu kowal, a Pietrusia skoczyła i ręką mu usta zamknęła. On ją wpół pochwycił, dwa razy się z nią w kółko okręcił, a potém tak załaskotał, że zachodząc się głośnym śmiechem, na ławę upadła. Piotr na te swawole młodych żadnéj uwagi nie zwracał. Jemu ważniejsza sprawa na sercu leżała i przytém wszelkie rozmowy o wróżbach, cudach i czarach przejmowały go na wskróś tajemniczą i trwożliwą uroczystością. Wstał z krzesła i z niejakiém zakłopotaniem zaczął.

— *Dziakuju* wam Aksena za waszą radę... Tylko, jak to zrobić... trzeba, żeby to kto *znający* robił...

— Ja wam to, dziadźku, zrobię... Zrywając się z ławy zawołała Pietrusia; czemu nie! Tyle lat chleb wasz jadłam a terazbym téj przysługi wam nie zrobiła?.. Ot już idę...

I już na nogi trzewiki wkładała. Nigdy do wioski bez trzewików nie chodziła. Mąż, który miał w tém przyjemność i ambicyą swoję, wszelakie stroje dla niéj kupował a i jéj podobało się to bardzo, że szczęściem swém popisać się mogła przed ludźmi, pośród których kiedyś najuboższą i najpośledniejszą była. W trzewikach tedy, w kupnéj perkalowéj spódnicy, w zgrabnéj, nowiutkiéj siermiężce i kwiecistéj chustce na głowie, w kilka minut potém, weszła do chaty starosty i przed dawną gospodynią swą pokłoniwszy się

nizko, w rękę ją pocałowała. Dwom innym kobietom za to, ledwie głową kiwnęła. Wiedziała dobrze, że dla obydwóch jest tém samém, co sól w oku. Jedna jéj swą małżeńską niedolę przypisywała, druga zazdrościła dostatku. Teraz przecie, na chwilę o urazach swych zapomniały, ciekawość przemogła nad nienawiścią. Skupiły się dokoła przybyłéj i zarzuciły ją pytaniami, ale ona, z dwoma niedorosłymi jeszcze chłopcami gospodarstwa zaraz gwarzyć i chichotać zaczęła. Znała ich niemal od niemowlęctwa; Klemensa w czerwony policzek uszczypnęła a Jasiukowi palec włożyła w usta, które najczęściéj gapiowato otwierał. Oni ją za to za nogi tak pochwycili, że jak długa na środku izby upadła. Baby i dzieci aż za boki brały się od śmiechu i wiadomém to już było, że gdzie Pietrusia wpadła, tam pełno być musiało gadania, śpiewania i śmiechu. Jedna tylko Rozalka ani myślała śmiać się. Na klocku drzewa przed piecem usiadła, ręką brodę podparła i zadumała się ponuro. Wtém, jakby makiem posiał, zrobiło się w izbie cicho. Piotr wyszedł z komory, niosąc w ręku niewielką książeczkę w podartéj oprawie i ze zżółkłemi kartami. Była to Ewangelia, którą z poszanowaniem chował on na dnie skrzyni od lat wielu, odkąd mu ją po sobie w sukcesyi zostawił dziad bardzo stary, który z nią od dworu do dworu i od wsi do wsi chodził, aż nakoniec w Suchéj Dolinie, w Piotrowéj chacie umarł. Piotr dziadowi trumnę własnemi rękami z 4-ch desek zbił, uczciwie go pogrzebał a książkę starego żebraka, jako rzecz świętą uważając, w chacie swéj pozostawił. Nie otwierał jéj nigdy, bo czytać nie umiał, ale obecność jéj na dnie skrzyni za niejakie ubezpieczenie chaty od nieczystéj siły uważał, a ot teraz, z poszanowaniem z komory ją wyniósłszy, w milczeniu Pietrusi podał. Ona, z kieszeni siermiężki wyjęła nożyce, które z sobą przyniosła i w tém mgnieniu oka tak spoważniała, że aniby w niéj poznać wesołą mołodycę, która tylko co po izbie, z niedorosłymi chłopcami uganiała się i koziołki wywracała. Spoważniała, czoło trochę zmarszczyła, a wzniesione w górę jéj oczy wyraz modlitewny przybrały. Westchnęła głośno, westchnęły za nią i inne kobiety, nawet Rozalka, Piotr przeżegnał się, naśladowali go synowie obaj, rosły i czerstwy Klemens z rozbłysłemi od ciekawości oczami i blady, chuderlawy Jasiuk z gębą, szerzéj niż kiedykolwiek otwartą. Nagle, jednym zamachem, Pietrusia rozwarte nożyce w grzbiet książki wbiła i pod jedno ucho nożyc palec wskazujący podkładając, drugie Piotrowéj wskazała.

— Trzymajcież, ciotko!

Piotrowa uczyniła, co jéj rozkazano. Książka na ostrzu nożyc wisząca, szeroko ku dołowi rozwierała swe stare, pożółkłe karty.

— Gadajcież teraz, zadysponowała Pietrusia, różne a różne nazwiska, gadajcie. Na czyje nazwisko Ewangelia pokręci się, ten złodziéj... Rozalka pierwsza wyskoczyła z pytaniem.

— Anton Budrak? pytającym tonem wymówiła a pragnęła, aby książka uczyniła owe zapowiedziane poruszenie, bo wczoraj właśnie, nad stawem, przy płukaniu bielizny pobiła się z Budrakową. Ale książka ani drgnęła.

— Lewon Kuziauka? cienkim dyszkantem zapytała Szymonowa, był to albowiem jeden z najdokuczliwszych wierzycieli jéj męża. Ale książka pozostała nieruchomą. Nazwiska za nazwiskami wypadały z ust kobiet i chłopców, uszczęśliwionych tém, że w tak ważnym akcie niejaką rolę grać mogą. Książka jednak wciąż nie odpowiada nic. Nakoniec, Piotr, który dotąd żadnego jeszcze nazwiska nie wymieni, basowym i przytłumionym swym głosem rzekł.

— Jakób Szyszko.—Nie darmo przed półgodziną u kowala wyrażono podejrzenie na człowieka, który się tak nazywał. Palec Pietrusi drgnął tak lekko, że drgnięcia tego nietylko nikt nie spostrzegł ale ona sama nie uczuła, a książka powolném i zaledwie téż dostrzegalném poruszeniem, dokonala mały półobrót.

— Aha! zawołało chórem głosów siedm. Pietrusia ostrożnie i z uszanowaniem z grzbietu książki ostrza nożyc wyciągnęla i pochyliwszy się nabożnie starą okładkę ucałowała. Za przykładem jéj poszli inni. Całowały książkę wszystkie z kolei kobiety, całowali tak, że aż prawie smoktać ją zdawali się dwaj chłopcy; długim i skruszonym pocałunkiem usta swe do niéj przyłożył Piotr i natychmiast łuczywem sobie świécąc, do komory ją znowu poniósł. Potém, kobiety i chlopcy wymówili znowu chóralne.—Aha! w którém mieściły się uczucia różne: oburzenia, uradowania i wdzięczności dla tego czegoś, co im złodzieja odkryć pozwoliło. Czém było to coś, nie zapytywali o to i ani dorozumiéć się mogli. Czuli tylko i myśleli, że była to jakaś siła, która usługę im oddała za pośrednictwem Pietrusi. Tego wieczora jeszcze ognista Rozalka latała po wsi a zgnębiona Paraska ze skwiérczącem dzieckiem swém na ręku od chaty do chaty łaziła, a obie, na wyścigi, jedna prędko i zapalczywie, druga powoli i mazgajowato, rozpowiadały o wszystkiém, co działo się i stało w chacie starosty.

Potém głuche już tylko chodziły wieści o tém, co pomiędzy Piotrem i Jakóbem zaszło. Podobno pierwszy, w rzadko u niego zdarzającym się ale gwałtownym przystępie gniewu, zbił Jakóba we własnéj jego chacie i pociągnięciem go przed sąd zagroził, jeżeli nie przyzna się do winy i skradzionych rzeczy nie odda. Jakób wiedział już z doświadczenia, że od sądu nie zawsze bezpiecznie wykręcić się

można, a na stare lata nie chciało mu się po raz trzeci turmę nawiedzać. Przytém, gdy synowe i córki z małemi dziećmi na rękach rzuciły się do nóg staroście, prosząc, aby gospodarstwa ich nie rujnował, winowajca rozpłakał się, wszystko przed Piotrem wyznał i zwrócił mu dwa sadła i pięć ścian płótna. O reszcie płótna utrzymywał, że gdzieściś je zgubił, a o kiełbasach, że je jakimściś przypadkiem psy zjadły. Płakał, bił się pięścią w piersi i na zbawienie wieczne zaklinał się, że tak było. Synowe i córki, wiedząc dobrze, że tak nie było, skupiły się w kącie izby i milczały. A nuż Piotr uwierzy a pięć ścian płótna i kiełbasy w chacie pozostaną! Piotr nie uwierzył, ale gniew odszedł mu nieco i widział zresztą, jak ubogą była ta Jakóbowa chata i jaka ją napełniała gromada. Było tam dusz ze trzynaście, starych, młodych i małych. Tyle ludzi za winę jednego gubić i samemu nie małych kłopotów nabrać się. Ręką tedy machnął, to co oddano mu zabrał, a o tém, czego nie oddano, przez zęby mruknął.

— Pan Bóg przenajświętszy tę moję krzywdę w królestwie niebieskiém wynagrodzi...

I sprawy zaniechał, ale inni mieszkańcy wsi długo zapomnieć o niéj nie mogli. Nie zapomniał o niéj przedewszystkiém Jakób, który odtąd ilekroć Pietrusię spotykał, spluwał na stronę i z gniewem mruczał.

— Zgiń, przepadnij *nieczystaja siła*!

Nic w świecie nie zdołało-by zachwiać w nim przekonania, że téj kobiecie moc jakaś tajemnicza i jéj saméj tylko znana, postępek jego wyjawiła. Nienawidził jéj i zarazem lękać się zaczął. Lękać się jéj téż zaczęły niektóre z niewiast, a przecież były i takie, co przepadały za nią. Młodéj Łabudowéj na przykład, gdy sroga febra nią trzęsła, doradziła ona na pierwszą wiosnę wylęgnięte kurczę, albo kaczę spójrzéć i w téjże chwili, co prędzéj, węzeł na fartuchu lub chuście zawiązać. Jak ręką odejmie! upewniała. Istotnie ujęło jak ręką. Łabudowa, która już schnąć, szpetnieć i siły tracić zaczęła, febrę utraciła, że zaś miała męża młodego, świekrę gderliwą i roboty wymagającą, wdzięczność jéj dla Pietrusi była wielką. Inną znowu kobietę, w ciężkim połogu będącą napoiła płynem, z dziesięciu gatunków ziół przyrządzonym, a zwanym *dziewięcioranką*, który także okazał się wielce skutecznym. Miała zawsze w chacie pełno suszonych ziół, z których każde służyło na chorobę inną. Od gardła dawała brunelkę, od kaszlu ślaz i dziewannę, od bolów krzyża krwawnik, od ściskania *w żywocie* czomber i miętę. Przeciw chorobom jednym doradzała koniczynę białą i wiśniową korę w dół z drzewa zeskrobywaną, przeciw chorobom innym koniczynę różową i takąż korę, tylko w górę z drzewa zeskrobywaną. Dzieci, które dostawały

konwulsyi, kładła na desce pośród koła zarysowanego krédą, a te, które koklusz męczył, poiła sokiem rzepowym, nie z czego innego dawanym, tylko z saméjże rzepy, w formę kielicha wydrążonéj. Słowem, nieprzebraną była w środkach, zaradzających cierpieniom, najpospoliciéj dolegającym mieszkańcom wsi. I nie tylko znała je, ale ich udzielała zawsze z uprzejmością i chętnością wielką. Inna brałaby za to jaja, len, płótno, kury, miarki zboża i Bóg wié co jeszcze. Ona nie. Nigdy niczego w zamian rad swoich nie żądała, a gdy która z niewiast i przyniosła jéj kiedy cokolwiek w fartuchu lub pod chustką, nie przyjmowała. Rękę wyciągającą się z dodatkiem odpychała, mówiąc.

— Nie chcę, nie trzeba, na co mnie to? ja z życzliwości....

I była ludziom życzliwą istotnie. Bywało, gdy przez wieś idzie, a jaką biedną kobiecinę, albo znędzniałe dziecko zobaczy, staje i zapytuje się. — A co to? A gdzie boli? a może to ze zgryzoty jakiéj? a jaka to zgryzota? Wypytawszy się, czasem jakie ziółko albo inny sposób na ludzką biédę doradzi, a jeżeli żadnéj rady nie wymyśli, to z dorosłym o biédzie jego pogada i głową pokiwa, dziecko w ramionach pokołysze, w chude ciałko pocałuje i potém już w swoję drogę idzie. Stara Aksena słysząc ciągle, że ludzie do niéj po radę przychodzą, z rok czy ze dwa milczała, ale potém, zaniepokoiła się czegoś i wnuczkę gderać zaczęła. Z wysokości pieca swego mówiła do niéj.

— A czego ty, jak ta suka, ciągle przed ludźmi język wywieszasz? To i to pij, tak i tak zrób! Będziesz ty za to podziękowanie miała, jeszcze cię wiedźmą zrobią...

Pietrusia, na miotle łokieć wsparła i zamyśliła się. Po chwili, z namysłem zaczęła.

— Ot widzicie, babulo, mnie zdaje się, że kiedy mnie Pan Bóg szczęście dał, to ja ten świat bardzo już polubiłam... i wprzódy ja jego lubiłam, ale kiedy Michałek ze mną ożenił się, polubiłam jeszcze więcéj... A teraz co? Michałek coraz lepszy... i dostatku wszelkiego przybywa i dzieci przybywa i ciągle mnie na świecie lepiéj i lepiéj a ja ten świat lubię więcéj i więcéj i wszystko co jest na świecie lubię... i słoneczko to Boże ciepłe i gwiazdy te boże jaśnieńkie, i drzewa te szumiące i kwiaty pachnące i ludzi wszelakich i każde żywe stworzenie... Wszystko lubię... i kusego lubię... kusy! kusy! na masz!

Brzydkiemu kundlowi w czarne i białe plamy kromkę czerstwego chleba rzuciła, po twardéj sierści go pogłaskała i daléj izbę zamiatając, na całą chatę zaśpiewała:

„Tam na dole, na pryhore,
Posiejali proso,
Oj tam chodził Jasiuleńko,
Do dziewczyny boso!

Aksena chciała jeszcze gderać.

— Oj maładaja, durnaja! szeptała, lecz promień słońca przez okno padający, łagodnie ogrzewał starą jéj głowę, a izbę napełniał zapach skwarzącéj się w piecu słoniny i wesoły, rozgłośny śpiew wnuczki. Co tam było szczęśliwéj tej roztrzepanicy napomnienia jakie prawić, albo złe wróżby gadać? Sama więc w uszczęśliwionym uśmiechu rozciągnęła wązkie swe wargi od ucha do ucha i na bok nieco przechyliwszy głowę, pilnie nasłuchiwala, czy nie zbudzi się czasem i w kołysce swéj nie zaskwierczy malutka Krysieńka. A to już ręce od przędzenia zabolały i błogo byłoby na kolanach potrzymać prawnuczkę!...

(*d. c. n.*) *Eliza Orzeszkowa.*

POZYTYWNA POLITYKA REFORMY SOCYALNEJ

WEDŁUG SCHÄFFLEGO.

(Die Aussichtslosigkeit des Socialdemokratie. Drei Briefe an einen Staatsmann, zur Ergänzung der „Quintessenz des socialismus“ von dr. Albert L. Fr. Schäffle. Tubingen. 1885).

Wśród wszystkich gatunków socyalizmu, na jakie specyalizują się już dzisiaj ekonomiczne i socyologiczne teorye téj kategoryi, coraz wyraźniéj zarysowuje się i przybiera coraz poważniejsze kształty socyalizm państwowy; pomagają mu w tém bowiem: z jednéj strony nauka prawa publicznego, w któréj uczeni niemieccy ciągle wyżéj podnoszą znaczenie idei państwowéj w życiu historycznem narodów, wskazując potrzebę ciągłego rozrastania się organów władzy i mnożenia ich zadań; z drugiéj strony statyści, kierujący dzisiaj polityką państw europejskich, zajmują się żywo najrozmaitszemi projektami reformy społecznéj, chętnie poddają je studyom i dyskusyi publicznéj, szukając w nich chociażby zarodka pomysłu praktycznego, któryby dawał nadzieję, że to ziarno, rzucone na pole życia społecznego, zakiełkuje i z czasem przyniesie owoc uspokajający burzliwe prądy dzisiejsze.

Liberaliści prawdziwi, wzrośli i wykształceni wśród tradycyi ekonomii angielskiéj i prawa francuskiego, dla których, rozwój wszechstronny osobistości ludzkiéj w społeczeństwie i równowaga organów władzy w państwie są podziś dzień ideałem najwyższym, nie mogą sympatyzować z teoryami socyalizmu, które wszystkie są dla nich niemal jednakowo wstrętne, a których odcienia zlewają się w ich oczach w jedno jaskrawe widmo nadchodzącego despotyzmu czy to z demagogią u postaw czy z absolutyzmem u góry, albo, co się im także prawdopodobném wydaje, z jakimś mniéj lub więcéj

trwałym kompromisem obu rzeczonych żywiołów, połączonych przeciwko swobodnemu i samodzielnemu rozwijaniu się jednostek. Kiedy jednak mrzonki demokracyi socyalnéj, wysnute z marzeń filantropów ideologów, albo z metafizycznych kategoryj socialistów filozofów, zdają się być liberalistom poprostu niemożebnemi w praktycznêm przystosowaniu i dlatego mniéj niebezpiecznemi, projekta socyalizmu państwowego, oparte na poważnych studyach ekonomicznych, popierane cyframi statystycznemi, a nadewszystko patronowane przez ludzi władzę mających, o wiele bliżéj stykają się z życiem i zdają się grozić natychmiastowem niemal zalaniem wielu kanałów życia gospodarczego, na których dzisiaj jeszcze odbywa się ruch swobodny ścierających się z sobą interesów i powstają wśród niego coraz to nowe siły. Tutaj więc niebezpieczeństwo bliższe, tu władza zorganizowana i ciągle czynna może chłonąć w siebie życiodajne soki, krążące w organizmie społecznym i spowodować w nim różne choroby, na które, wedle najgłębszego przekonania liberalistów, nie znajdzie się skutecznego lekarstwa w zapasach apteki administracyjnéj.

Liberaliści, którzy w Europie stanowią jeszcze siłę bardzo poważną, bronią się energicznie od wszelkich prób rządowych reformy społecznéj, jednakże, wobec nacisku opinii publicznéj, ustępują powoli krok za krokiem. Przy tych walkach, niechęć i nienawiść nawet, właściwe stronnictwom politycznym, rozwijają się coraz silniéj pomiędzy obozem liberalnym z jednéj a reformatorsko-zachowawczym z drugiéj strony; nie szczędzą one sobie wzajemnie zarzutów, którym za temat najczęściéj służą utarte już hasła: egoizmu szkoły manczesterskiéj, lub ucisku socyalistycznego.

Podobne zarzuty spotykały nieraz jednego z najgorętszych stronników reformy społecznéj, dr. Alberta Schäffle'go. Poważny ten uczony, pisarz niezmiernie płodny, były minister austryacki w chwilowym gabinecie hr. Hohenwartha, kiedy przez laty ośmiu czy dziesięciu chciał przekonać zachowawców o całém niebezpieczeństwie gromadzącéj się wśród proletaryatu fabrycznego burzy rewolucyjnéj, przedystylował wszystkie pragnienia, projekty i myśli socyalizmu, przez logiczno-naukowy aparat i otrzymaną w ten sposób „Kwintesencyą socyalizmu“ podał światu ku nauce i pożytkowi praktycznemu. Jakkolwiek w téj książce nie przyznawał on prawdy zasadniczemu dogmatowi socyalizmu o wytwarzaniu wartości przez pracę jedynie i mierzeniu jéj czasem potrzebnym na wytworzenie; jakkolwiek podawał w wątpliwość, aby szeroko zakreślane plany socyalistów mogły dać ludziom większą dozę szczęścia niżli ta, która im się dostaje w stosunkach dzisiejszych; przy rozbiorze jednak

szczegółów projektowanych urządzeń, wykazywał niejaką możebność przeprowadzenia ich w życiu, szczególnie jeżeli się tego podejmie władza silnie zorganizowana i działająca bezwzględnie. Książeczka ta zjednała Schäfflemu sympatye socyalistów, szczerą niechęć liberalnych, a pomiędzy zachowawcami podała go w podejrzenie o zbyt już serdeczne sprzyjanie socyalizmowi i dążenie do reform zbyt radykalnych. On nie oglądał się na to, pisał i drukował daléj, rozbierał najróżnorodnicjsze kwestye społeczne, opracował szczegółowo kilka projektów reformy—ale nie poruszał kwestyj zasadniczych. Obecnie, czy zniecierpliwiony posądzeniami o socyalizm czystéj wody, czy téż w przeczuciu lub przewidywaniu, że może się przed nim na nowo odkryć droga do teki ministeryalnéj, uczuł widać potrzebę zbliżenia się do zachowawców, rozmówienia, się z nimi na seryo i wytłómaczenia im, że rewolucya jest dlań zawsze antypatyczną, socyalizm demokratyczny wstrętnym, liberalizm niemiłym; że będąc tylko nauczycielem na polu pozytywnéj polityki społecznéj, wskazuje konieczność zmian, możebność ich przeprowadzenia, ale nie zaznacza nawet czasu kiedy program jego będzie mógl wejść w życie, bo czas sam przy rozwoju prawidłowym wskaże, które kwestye już do rozwiązania dojrzały.

Takie wyznanie wiary, taką apologią własnych przekonań spisał Schäffle i ogłosił w formie trzech listów do przyjaciela, męża stanu, w których podaje charakterystykę socyalizmu, krytykę jego i zarys programu tego, co nazywa polityką pozytywną reformy społecznéj.

Charakterystyka socyalizmu bardzo dobitna i w najwyższym stopniu nieprzyjazna, ale oryginalném w niéj jest to, że autor jednym cięciem uderza w obu nieprzyjaciół i dowodzi, jako teorye socyalizmu są tylko dalszym ciągiem doktryn liberalnych, podniesionych do potęgi wyższości. Chcąc być sprawiedliwym, podnosi on zasługi liberalizmu a mianowicie wskazuje, że liberalizm wykrył i zapewnił ludzkości posiadanie prawdy najcenniejszéj o niewyczerpanych korzyściach spływających na ogół ze swobodnego rozwijania się czynności osób. Czémże jednak był i jest liberalizm?—Jest to kierunek krytyczny indywidualizmu. Potężnym był on, kiedy owiany duchem swobody, szedł do walki ze zwietrzałemi formami społecznemi starego porządku rzeczy, kiedy zrywał jedne po drugich pęta średniowieczne, krępujące rozrost organizmu społecznego i domagał się praw równych dla wszystkich, wołając: dajcie nam wolność, nie przeszkadzajcie, my sami sobie damy radę—wtedy hasło jego, *laissez faire, laissez passer*, miało znaczenie żywotne, a krytyka jego była brzemienną wielkiemi następstwami. Ale kiedy osiągnął to, czego żą-

dał, kiedy pod panowaniem wolności politycznéj i ekonomicznéj zaczęła się rozwijać produkcya do niewidzianych dawniéj rozmiarów, zwycięski liberalizm wygłosił, że całkiem dobrze jest na świecie i że nic zmieniać nie należy, bo ludzkość weszła na drogę prowadzącą do szczęścia, na któréj *wszyscy* będą wolni i równi. Rzeczywiście działo się dobrze, a przynajmniéj lepiéj niż dawniéj ludziom bogatym, wykształconym lub szlachetnie urodzonym; ale równość idealna nie zadowolniła umysłów, których usposobienie krytyczne sięgało daléj; zaprzeczyli oni liberalistom prawa do twierdzenia, że *wszystkim* dobrze się dzieje, bo ogromna większość ludzi nie miała dogodnych warunków życia, brakło równości w używaniu, we wpływach społecznych, brakło im wolnego przystępu do władzy. Rozpoczął się zwrot radykalniejszy tego samego kierunku krytycznego, w obec którego liberalizm grał już tylko rolę doktryny broniącéj się rezonowaniem od krytyki ostréj, opierającéj się na fakcie ogólnéj nędzy klas roboczych, któréj zaradzić nie zdołały zasady liberalne. Radykalizmowi krytycznemu przyszła w pomoc nowa filozofia: na pniu liberalizmu zaszczepiono płonkę spekulacyi heglowskiéj. Proudhon, Lassale, Marks wykształcili się w szkole Hegla, zbadali tam wszystkie tajemnice dyalektycznego wysnuwania rzeczywistości z logicznych kategoryj rozumu ludzkiego i wnieśli na pole ekonomiczne zapatrywanie na świat zarazem niezmordowanie niszczące i budujące samowolnie, wedle podmiotowych upodobań czy urojeń, na mocy wszechwładzy rozumowania osobistego. Właśnie tego potrzeba było socyalistom, ażeby ułożyć teorye naukowe; krytyka ich niszczy cały porządek społeczny, fantazya buduje świat nowy.

Demokracya socyalna domaga się: równego dla wszystkich udziału w używaniu dóbr materyalnych, pod rządem demokratycznym z uprawnionym dla każdego przystępem do władzy. Pozornie więc tylko, zdaniem Schäfflego, staje ona w sprzeczności z liberalizmem bo wspólnym ich ojcem jest indywidualizm, zasadniczo to te same wymagania; kolektywista tak samo jak liberalny uważa społeczeństwo, naród, państwo za środek do osiągnienia korzyści osoby; tylko że kolektywista idzie daléj, naród nie jest w jego oczach uosobieniem trwałości zasad, przekonań i interesów wśród zmieniających się osób i pokoleń, ale środkiem do łatwiejszego, na ograniczonéj przestrzeni, zorganizowania jednostajnego dla wszystkich dobrobytu. Lassale powiadał w swéj zjadliwéj krytyce, że liberalni chcą widzieć we władzy państwowéj nocnego stróża, któryby pilnował worka kapitalistów; dla demokracyi socyalnéj państwo jest tylko mechanizmem ułatwiającym używanie dóbr materyalnych, nie chodzi im nawet o dobre obsadzenie organów rządu, lecz jedynie o stwierdzenie prawa

każdéj pojedynczéj osobistości do panowania; zwie się ona humanitarną, kosmopolityczną, chce objąć ludzkość całą w uczuciu niby braterstwa, ale ta ludzkość nie jest dla niéj organizmem złożonym z członków narodowych, lecz tylko gromadą osób używających o ile można najwięcéj, pracujących o ile można najmniéj; jest to więc ten sam liberalny indywidualizm, jeno podniesiony do potęgi najwyższéj. Liberaliści zawsze chcieli być jaknajmniéj rządzeni, skrajny odłam socyalistów—anarchiści, widząc że absolutna równość i wolność nie możebne są pod władzą rządową, po prostu władzę tę chcą skasować, w ich oczach ona na świecie niepotrzebna. Trafili tu na drogę błędną, z któréj nie ma wyjścia, chyba do wojny wszystkich ze wszystkiemi. Doktorowie socyalizmu zatrzymują się więc na téj drodze, ale tu ironia losu każe im wykonywać skok śmiertelny: z najwyższego szczytu zasady indywidualizmu muszą się przerzucać w projekta organizacyi społecznéj, wpadają więc prosto z mostu we wspólność, bez podstaw w przeszłości, bez gruntu trwałego do założenia fundamentów, nie możebną do urządzenia i trwałego utrzymania, ale koniecznie w imię wolności i równości absolutnéj.

Socyalizm, ostry i często miewający słuszność w krytykowaniu dzisiejszego porządku społecznego, opartego na podstawie liberalnego kapitalizmu, w programie swym pozytywnym stawi jednę tylko zasadę wyraźną, którą można zrozumiéć i o któréj można rezonować, mianowicie kolektywizm. Jest to zniesienie własności prywatnéj, dziedzicznéj, a ustanowienie własności wspólnéj wszystkiego co może służyć jako środek do produkcyi a więc być źródłem pobierania dochodu bez pracy fizycznéj. Z tego już wynika organizowanie pracy wytwórczéj w gminnych i państwowych grupach fachowców, zarządzanych przez urzędników publicznych; podział wytworzonych bogactw na zasadach prawno-publicznych, w stosunku do wytworu pracy osobistéj—wedle demokracyi socyalnéj, w stosunku do potrzeb każdego—wedle grubszego komunizmu; obok tego nie mogłoby istniéć gospodarstwo prywatne, bo resztki kapitalizmu niszczyłyby zbiorowość i wspólność. Więc produkcya w całéj swéj objętości i we wszystkich gałęziach musi być zcentralizowana i to jednocześnie, wyłącznie, ogólnie, na zasadzie czysto demokratycznéj, w celu równego albo przynajmniéj ściśle ustosunkowanego rozkładu zarówno pracy jak używania.

Jestto materyalizm praktyczny, uważający życie fizyczne, wygodne, za punkt najważniejszy a nawet jedyny, na którym szczęście ludzkie może się urzeczywistnić. Bebel powiadał, że socyalizm—to ateizm w religii, republikanizm demokratyczny w państwie, kolektywizm w gospodarstwie. Schäffle dodaje, że to: optymizm w etyce,

materyalizm naturalistyczny w metafizyce, rozluźnienie rodziny w domu, wychowanie przez państwo w pedagogice, oświecanie ogólne w nauce. Ludzie zapominając o duchowéj stronie życia, zdają się mieć za jedyne zadanie urządzenie się jaknajwygodniejsze pod względem tylko materyalnym. Każdy więc śmiało brać się może do rozwalenia obecnego ustroju społecznego, tego owocu tysiąców lat historycznego żywota ludzkości, a to na mocy swego osobistego na świat poglądu, opartego na zupełnéj nieznajomości historyi, na błędnéj psychologii i złudnéj nauce ekonomicznéj. Bo nigdy i nigdzie nie będzie możebną produkcya zbiorowa, oparta na własności wspólnéj, ale wyłączna, ogólna i to rządzona na zasadach demokratycznych, a więc improwizująca, bez władzy w rządzie, bez odpowiedzialności osobistéj, a więc bez zainteresowania materyalnego wszystkich biorących w niéj udział. Tego zaś właśnie żądają kolektywiści, bo to przyjemnie łechce niejasno wyrobione u proletaryatu pojęcia o wolności i równości w indywidualizmie przesadzonym do karykatury.

Błędne te pojęcia dochodzą szczytu nierozumu w anarchizmie, który uważa mord i pożogę za prawowity protest pierwszéj lepszéj osobistości przeciwko niedogodnemu dla niéj porządkowi społecznemu. To już najwyższe przecenianie osoby, zbrodnicze ubóstwianie „wolności wedle własnego jéj pojmowania“, szalony bunt jednostki przeciwko ogółowi i przeciwko historyi — indywidualizm doprowadzony do potęgi niebywałéj.

Po charakterystyce tak dosadnéj, Schäffle ostro prowadzi krytykę socyalizmu.

Kolektywizm zapowiada urządzenie ogólne produkcyi siłami wspólnemi w tym celu, żeby znikający po zniesieniu własności prywatnéj zysk kapitalisty, nie był już wydzielany z sumy wytworzonych wartości, a przytém obiecuje, że przy nowéj organizacyi potrafi zapobiedz przesileniom handlowym i przemysłowym i uwolni robotnika od stosunku jego z przedsiębiercą, który dzisiaj utrzymuje całą klasę roboczą w zależności bardzo zbliżonéj do niewoli. Chodzi więc tu wyłącznie o interesa gospodarskie jednego tylko proletaryatu fabrycznego, którym w ofierze ma się przynosić, razem z obecnym ustrojem kapitalistycznym przemysłu, cały dzisiejszy ustrój społeczny, wynik przebiegu życia historycznego narodów cywilizowanych.

Cel, do którego dąży kolektywizm i który obiecuje osiągnąć, to wydzielenie każdemu człowiekowi biorącemu udział w produkcyi, całkowitéj wartości wytworzonéj przez jego pracę. Obietnica tak

pożądana dla robotników łatwo jedna ich sympatye dla nowéj nauki; ale żaden z doktorów ani proroków socyalizmu nie wynalazł jeszcze formuły wydzielania „sprawiedliwego“ dochodu, któryby pokrywał całkowicie udział robotnika w wartości produktu. Każdy wyrób jest wynikiem niepodzielnym trzech czynników: pracy, kapitału i sił przyrody; wprawdzie socyalizm zamierza dokonać zuchwałego cięcia i wyrzucić z procesu produkcyi dwa czynniki—kapitał i siły przyrody, po czém pozostanie do wynagrodzenia tylko jedna praca. Ale jeżeli pojąć można gwałt na prawie własności do wykonania możebny, jakże zniszczyć różnice pomiędzy siłami przyrodzonemi, rozmaitość urodzajności gleby, klimatu, dogodność spadów wodnych, i wszystkie te do wyliczenia nawet niemożebne dogodności lub niedogodności miejscowe, które stanowią o mniejszym lub większym dochodzie z przedsiębierstwa. Czy każdy z robotników przyszłości, dzierżący w swych ręku, a przynajmniéj w swém *votum*, cząstkę władzy najwyższéj, zrzecze się tych korzyści miejscowych, zapewniających jego pracy większą wydajność, a to dla pożytku innych, nieznanych mu ludzi? O tém wątpić wolno. Przypuszczając jednakże, iż i to możebne, jakie środki znaleść można na „sprawiedliwy“ wymiar udziału pracy robotnika w produkcie? W każdym przedmiocie zlewa się praca co najmniéj dziesiątka, a nierzadko i setek osób, a każda z nich pracuje inaczéj, to zręcznéj to powolniéj, nie jeden psuje i niszczy, inny znowu przemyślnością, bystrością lub umiejętnością techniczną nieraz zwiększa wydajność pracy ogólnéj, albo ratuje wyroby od straty wartości; jakże tu, chociażby w przybliżeniu „sprawiedliwie“, wynagrodzić każdego w stosunku do danéj przezeń cząstki wartości do przedmiotu niepodzielnego? Czyż normowanie tych udziałów wedle miary czasu przeciętnie koniecznego do wyrobienia przedmiotu nie będzie największą niesprawiedliwością dla wielu osobiście. Czy nareszcie ów przeciętny, czy społecznie konieczny czas roboty, który opisać można, da się kiedykolwiek obliczyć, wymierzyć i ocenić. Tego nie dowiodła cała literatura socyalizmu. Zresztą sprawiedliwość nie może polegać na wyszukiwaniu niemożebnych formuł, a zależy poprostu na staraniu około polepszenia bytu robotników, których praca fizyczna wyświadcza społeczeństwu ogromne dobrodziejstwo, którzy więc za to powinniby żyć w warunkach pozwalających im utrzymać się na stopie siły dzielnéj, ku pożytkowi ogółu pracującéj, czerstwi i zdrowi zarówno fizycznie jak moralnie i umysłowo.

Projektowane w kolektywizmie wynagrodzenie roboty udziałem w dochodach, odpowiednim przeciętnie potrzebnym ilościom czasu roboczego, nietylko nie zwiększy nigdy produkcyi, ale i utrzy-

mać jéj nie potrafi na stopniu dzisiejszym; a to dla tego, że razem z innemi wielu rzeczami zniszczy téż odpowiedzialność osobistą każdego za jego robotę, czyli dokaże tego, że nikt nie będzie widział swojéj korzyści w pracy dobréj i pi' éj, a przecież zwiększać wydajność pracy może tylko oszczędzenie materyału i mądre zużytkowanie siły roboczéj. Tępiąc bodziec interesu osobistego, można jedynie zmniejszyć produkcyą, zobojętnić człowieka nie tylko do pracowitości, ale i do przemyślności, i zamknąć drogę wszelkim nowym udoskonaleniom.

Cała rewolucya ekonomiczna i społeczna, uplanowana przez kolektywizm, ma się dokonać gwoli niedopuszczania kapitału do wyzysku pracy, ale jakże potrafią usunąć wyzyskiwanie ludzi jednych przez drugich; robotnicy pomiędzy sobą wyzyskiwać się zawsze będą mogli, chytry na prostaczka, zuchwały na cichego i pokornego, leniwy na szczerze pracowitego, zawsze potrafią zwalić część pracy swojéj i zabrać przeto należny im dochód. Jakież przestronne pole do wszelkiego rodzaju nadużyć i faworyzowania odkryje się przy samém obliczaniu owych ilości koniecznego czasu roboczego. W demokratycznie zorganizowanéj administracyi nie zabraknie nigdy zbieraczy głosów, pochlebców wszechwładnego ludu, uganiających się za popularnością, którzy tu będą mieli ułatwienie niezmierne dla swych zabiegów.

Zastój w przemyśle, bezrobocie—to prawdziwa groza życia robotników, od któréj ich uwolnić przyrzeka kolektywizm, żywiąc nadzieję, że mu się uda uregulować produkcyą, uporządkować ją i przezto zapanować nad konjunkturami handlowemi, dostarczając wyrobów ilość odpowiednią do obliczonéj potrzeby. Ale zmienność zapotrzebowania zależy nie od jednych tylko stosunków społecznych, w znacznéj części przyczyniają się do tego przyczyny naturalne: różnice w urodzajach, zmiany w temperaturze, niejednostajność wzrostu ludności, wynalazki techniczne i rzeczy tym podobne, na które wpływu nie mają ustawy ludzkie; a jeżeli zwrócimy uwagę na przyczyny społeczne tego nieprawidłowego ruchu, jak nieregularność w przenoszeniu się ludności z miejsca na miejsce, wolny wybór powołania i miejsca pobytu, swobodne stanowienie o zaspokojeniu potrzeb własnych, nad któremi do pewnego stopnia mógłby zapanować rząd silnie zorganizowany i sprężysty w działaniu; toż takiemu porządkowaniu trzebaby przynieść w ofierze najcenniejsze dobro ludzkości, wolność osobistą człowieka, którąby się ostać nie mogła w obec despotycznego nakazu postępowania wedle wskazówek.

Zależność robotnika od pracodawcy „niewola zarobkowa“ bywa ciężką dla robotników, szczególnie dla tych, którzy wśród ogółu

wyróżniają się zdolnościami i charakterem; ale nie jest zgoła rzeczą dowiedzioną, ażeby dzisiejsze stosunki fabryczne nie mogły się poprawiać, wśród nich zaś jeszcze zdolności wyższe mają zawsze drogę otwartą do stanowisk wyższych. Jednakże kolektywizm przyrzeka, że zapewni wszystkim pozycyą urzędników płatnych, pracujących dla ogółu. Można tu zapytać, czy jest na świecie jakikolwiek ustrój, w którymby uleganie woli przełożonych nie było koniecznością. A urzędnicy dzisiejsi? Jakąż masą uległości i przykrości osobistych, muszą okupywać zapewnienie stałego i mniéj więcéj dostatecznego utrzymania, jak często muszą spełniać rozkazy niemądre i znosić nawet kaprysy naczelników, nieraz faworem a nie zasługą osobistą wyniesionych na stopień wyższy. Przeciwko faworyzowaniu nieudolnych pochlebców kolektywizm żadnych gwarancyj przedstawić nie jest w stanie, a zależność rozumnego od głupiego, najuciążliwsza ze wszystkich, nie będzie miała szans zniknięcia nawet przy obiecywanych rozkoszach organizacyi kolektywnéj.

Ale, czy produkcya kolektywna wspólnemi siłami wszystkich da się urządzić ogólnie, powszechnie, wszędzie i na zawsze na gruncie czysto demokratycznym rzeczypospolitéj z ludem wszechwładnym i urzędami wybieralnemi? Jeżeli plany takiéj organizacyi dają się obmyślać lub w części na papierze projektować, pierwszym ich warunkiem być musi władza silna i trwała organów przewodniczących i kierujących, do których trzeba odwoływać się co chwila; bez tego, zarówno w warsztacie na dole, jak w biurze fabryki lub w kancelaryi wydziałowéj czy ministeryalnéj rozpoczną się ciągłe zmiany, próby, doświadczenia, a za niemi wstrząśnienia i zamieszanie w całym olbrzymim mechanizmie, a wtedy cóż się stanie z produkcyą, z jéj ciągłością i trwałością, jak potrafi ona odpowiedzieć ściśle obliczonym potrzebom. Zresztą władza centralna zupełnie stała, spokojna o swe istnienie, rozporządzająca licznym zastępem urzędników, bezwarunkowo od siebie zależnych, nie mogłaby istnieć bez szerokiéj podstawy żywiołów czysto zachowawczych, a więc natury arystokratycznéj; a wtedy cóżby się stało z republiką demokratyczną, z wolnością, równością, z usunięciem środków i powodów do nadużyć i wyzyskiwania. Jeżeliby, rozpoznając niemożebność produkcyi kolektywnéj bez władzy silnéj, demokracya zdecydowała się jéj ulegać, już tém samém przestałaby być demokracyą socyalną.

Nie potrafi więc socyalizm uporządkować po swojemu interesów gospodarskich społeczeństwa, a jeżeli przez wybuch rewolucyjny pogrąży całą produkcyą w nieład chaotyczny, będzie musiał chwytać się jedynéj deski zbawienia—władzy despotycznéj, która niewątpliwie okaże się o wiele gorszą od dzisiejszych stosunków społecznych.

Mamiąc ludzi obrazami znikomemi przyszłéj niby szczęśliwości, wzywa on do rozbicia społeczeństwa dzisiejszego, nie wahając się zniszczyć w niém tych warunków szczęścia, jakie dzisiaj istnieją i chce wyrwać z gruntu cały historyczny rozrost narodów.

Przemawia zaś socyalizm do nas w imię interesów proletaryatu fabrycznego, tj. pewnéj, wszędzie mniéj licznéj, części ludności. Dbać o poprawę losu téj części jest niewątpliwie rzeczą ważną, a nawet konieczną, ale przynosić jéj w ofierze wszystko, co stanowi treść życia całego narodu, byłoby już niedarowanym obłędem. Gospodarstwo narodowe musi nastrajać się do harmonii ze wszystkiemi wymaganiami życia narodowego, interesa materyalne są bardzo szanowne, ale nie są przecież wszystkiém dla człowieka i narodu. Widzimy w historyi, że pełne rozwijanie się narodu wymaga: rządu dla utrzymania ładu w społeczeństwie, wojska dla obrony, kościoła dla życia idealnego, nauki dla wyjaśnienia warunków wśród których żyjemy, związku rodzinnego, jako kolebki przyszłych pokoleń, kapitału jako środka zwiększającego produkcyą, instytucyj dobroczynnych dla ulżenia nędzy przypadkowéj lub bezwinnéj, rozlicznych instytucyj dla kształcenia myśli i uczuć człowieka; wszystko to mamy dzisiaj, musi to pozostać i rozwijać się daléj; a jeżeli dla tego potrzeba, ażeby w podziale wytwarzającego się bogactwa pobierane były dochody przez ludzi nie biorących udziału w produkcyi przemysłowéj, czyż mamy narazić byt tych wszystkich najpotrzebniejszych rzeczy dla niemożebnego urzeczywistnienia wymarzonéj przez socyalizm wolności i równości. Wymarzonéj, mówimy, bo wolność ta polega na niekrępowaniu żadnych zachcianek człowieka, a równość na równości dochodu i używania wygód życia materyalnych. Wygody życia nie stanowiły i stanowić nigdy nie mogą o szczęściu ludzkiém, czego każdy na sobie doświadcza. Chyba obłędem indywidualizmu hiperkrytycznego nazwać można szukanie w materyalnych warunkach bytu—równości, której nie ma w materyi, nie ma w naturze. Możebna jest równość tylko idealna w używaniu praw i w pełnieniu obowiązków, do niéj ludzkość dąży od dawna i spełnia w tém swe powołanie, ale nie powinna i nie może poddawać się fantazyom metafizyki materyalistycznéj.

Obrońcy proletaryatu przemysłowego zapatrują się na świat cały ze stanowiska interesów gospodarskich, a poglądy swe wygłaszają z taką stanowczością i absolutyzmem, że zanadto już ulegamy im wszyscy, sprobujmy wyrwać się z ciasnego koła interesów materyalnych, a demokracya socyalna okaże się jedynie zbiorem twierdzeń przesadnych.

Społeczeństwa muszą się opierać niszczącym wpływom krytyki dokonywanéj przez liberalizm i socyalizm, muszą bronić się od niéj, ale obrony takiéj nie przeprowadzi polityka stronnictw wstecznych, liczących tylko na siłę materyalną, ani staro-zachowawcy, noszący się z marzeniami o powrocie do zużytych i przeżytych form starego porządku. Dzisiejsza polityka socyalna musi chwytać się środków pozytywnych, któreby społeczeństwom ludzkim otworzyły drogi dalszego doskonalenia w wierze, w obyczaju, w prawie i gospodarstwie narodowém, nie ścieśniając jednak swobody osobistéj, ani równouprawnienia, a kierując raczéj swobodną czynność człowieka ku pożytkowi ogólnemu. Reforma dążyć musi do podnoszenia i wzmacniania osobistości przez ogół, a ogółu przez siły pojedyńczych osób; musi ochraniać wolność i porządek, i starać się związać organicznie inicyatywę osobistą z opieką prawną, gospodarstwo prywatne z publicznem, samoistność z wzajemnością. A polityka taka tém konieczniejszą jest obecnie, kiedy system demokracyi socyalnéj, jakkolwiek do przeprowadzenia nie możebny, budzi jednak sympatye licznych mas proletaryatu, i ułudnemi obietnicami jedna sobie wielu stronników w innych sferach ludności; nie można twierdzić, że się nie uda prędzéj lub późniéj zarządzenie wybuchu rewolucyjnego, któryby potrafił szeroko roznieść zniszczenie. Nie trudno zniszczyć lub zmarnować kapitały, nagromadzone w urządzeniach fabrycznych, ale tém trudniéj będzie odtwarzać je nanowo; a w dzisiejszym ustroju ekonomicznym nic nie potrafi zastąpić potęgi kapitału, którą Schäffle wyraźnie uznaje.

„Kapitał, powiada on (str. 52), podejmuje urządzenie i kierownictwo zakładów wytwórczych; siebie samego, istnienie swoje stawi w zakład jako porękę gospodarności w produkcyi bogactw i w ich obrocie; kieruje więc wszystkiém ku wytwarzaniu skrzętnemu i użytecznemu; siły robocze organizuje i utrzymuje w ładzie należytym; ponosi koszta wszelkich zmian technicznych i straty z upadku cen przy okolicznościach niepomyślnych; wypłaca naprzód zarobki, nakłady, podatki itd.; niesłychanie zawikłany proces wytwarzania, przemieszczania i zamiany bogactw, a także podziału dochodów snuje w sposób stosunkowo prosty, nie gmatwając innych funkcyj społecznych. Zupełnie słusznie pobiera za to zyski, jeżeli zręcznie i szczęśliwie umié służyć ogółowi. Zysk kapitału to premia sprawiedliwa i nader skuteczna, przyznawana za gospodarność w prowadzeniu całéj operacyi wytwórczéj i podzielczéj. Nadużycia najwstrętniejsze, zdarzające się na polu działania kapitału, a wypływające z popędów egoizmu bezwstydnego i bezgranicznego, nie mogą jeszcze usprawiedliwić usiłowań zniszczenia kapitału, ani uzasadnić

nadziei zastąpienia go niemożebną produkcyą kolektywno-demokratyczną. Winne one jednak być powodem dostatecznym do starań około porządkowania samego użycia środków produkcyi i sprowadzania kapitalizmu do równowagi, a nawet harmonii z istniejącemi już urządzeniami gospodarstwa zbiorowego, opartego na wspólności lub wzajemności".

Do takiego porządkowania i równoważenia Schäffle czuje się specyalnie powołanym. Wyraźny stronnik, a nawet jeden z filarów kierunku zwanego socyalizmem państwowym, opierając się na licznych swych dziełach, na które się ciągle powołuje, w krótkiém streszczeniu podaje tu na 60 stronicach projekty, a raczéj rzuca myśli całych szeregów reform, możebnych, jego zdaniem, teraz lub w przyszłości, które wszystkie noszą cechy prawno-publiczne, bo wszystko ma się tam wykonywać w korporacyach, w gminie, w okręgach administracyjnych, a zawsze pod wyższym kierunkiem i kontrolą władz państwowych.

Żeby jednak swobodniéj poruszać się na tém polu, poddaje uprzednio krytyce szczegółowéj, zdaniem naszém, słusznéj próby i projekty przeprowadzenia reformy społecznéj w granicach prawa dzisiaj obowiązującego, z rozwinięciem tylko niektórych jego artykułów. Istnieją już dzisiaj spółki wytwórcze robotników, zwane stowarzyszeniami spółdzielczemi, i praktykują się umowy o udział robotników w zyskach przedsiębierstwa. Oba te gatunki umowy nie mają przed sobą przyszłości. Jeżeli socyalizm błądzi, uważając kapitał za robotę wykonaną w przeszłości, skrystalizowaną niejako, i dla tego nie przyznaje mu praw innych, ani natury odmiennéj, jak saméj robocie, to spółki wspomniane wpadają w błąd odwrotny i pracę chcą uważać za kapitał, dla niéj domagają się praw takich, jakie ma kapitał. Oba te pojęcia sprzeczne są z naturą rzeczy i stosunków ludzkich i dla tego nie mogą być przez ogół uznane za prawdziwe, ani w prawidłowym obrocie bogactw zająć miejsca pierwszorzędnego.

Udział w zyskach zarówno jak towarzystwa spółdzielcze w niczém nie są szkodliwe społeczeństwu, wyjątkowo mogą nawet mieć powodzenie; ale o tyle tylko są dobre, o ile wynikają z umowy dobrowolnéj stron interesowanych i w każdym pojedyńczym wypadku oznaczają szczegółowo warunki, jakich strony obowiązane są trzymać się. Oba te rodzaje umowy, mało rozpowszechnione właśnie dla tego, że przedstawiają ogromne trudności w dostateczném zrównoważeniu praw uczęstników, łatwo prowadzą do sporów, a zatém otwierają drogę do procesów, które przy dzisiejszym stanie procedury cywilnéj naraziły-by na tak znaczne koszta, że nie można liczyć na rozpowszechnienie podobnych form produkcyi. Jeżeliby zaś

władza prawodawcza, chcąc tutaj przyjść w pomoc reformie społecznéj, podjęła rozszerzenie samego kodeksu i procedury, musiałaby zabłąkać się i utknąć w labiryncie przepisów, taks, orzeczeń biegłych, uwzględnić tysiące najrozmaitszych warunków, zmieniających się zarówno w czasie jak w przestrzeni, tak iż nigdyby nie potrafiła doprowadzić tego wszystkiego do jasności i dokładności, koniecznéj w orzeczeniach prawa obowiązującego.

Proponowane bywają jeszcze na polu prawa cywilnego ograniczenia w pobieraniu dochodów: przy pożyczkach, wynajmie lub dzierżawie, bo właściciel kapitału przy tych umowach może wyzyskiwać i to nie tylko robotników najemnych, ale i przedsiębierców, np. zadłużonego rzemieślnika, albo robotnika włościanina. Nie wystarczą tu jednak same ograniczenia, ani nawet mogą być prawdziwie użyteczne; prawo cywilne zarówno jak publiczne musi rozwijać się daléj i przystosowywać do wikłających się stosunków, trzymając wysoko pomiędzy nimi sztandar sprawiedliwości; ale przepisy prawa prywatnego nie otworzą pola, na którémby można rozwinąć politykę pozytywną reformy społecznéj.

Do tego lepiéj się nadaje prawo publiczne. Tutaj Schäffle wpada na przedmiot ulubiony, a pisząc w swobodnéj formie listu do przyjaciela, puszcza wodze swéj bogatéj fantazyi i przesuwa przed czytelnikiem nieskończone pasmo naszkicowanych od niechcenia myśli o tém, co by dało się zrobić; wybiega daleko po za granice praktyczności, roztropnéj wstrzemięźliwości, cechującéj zwykle plany i projekta poważnych statystów, nie krępuje się nawet oględnością uczonego i nie dba o powiązanie w całość wszystkich cząstek planu, który nietylko spełniać ale i układać jeszcze będzie musiał polityk, chcący pójść za jego wskazówkami. Wspomina o wszystkiém, o czem myślał i o czém pisał w ciągu lat kilkudziesięciu pracy naukowéj; od pieczołowitości o los drobnego handlarza wędrownego, do urządzonych w wioskach kosztem gmin motorów elektrycznych, któreby przenosiły do chat włościańskich ruch mechaniczny, od opieki nad dziećmi nieuczciwych rodziców do projektu traktatów międzynarodowych, do stosunku kościoła katolickiego z protestanckim, wszystko tu wzmiankowano. Ciekawe to kartki, których streścić niepodobna, bo one same są już jaknajkrótszém streszczeniem kilkunastu tomów dzieł uprzednio przez autora napisanych. Sprobujemy tylko zaznaczyć kierunek, w jakim myśli jego biegną, a może i wskazać granice, przy których muszą się zatrzymać.

Schäffle opracował już pierwéj szczegółowo kilka projektów instytucyj społecznych; pomiędzy nimi zdaje się największą wagę przywiązywać do dwóch: do *korporacyi robotników*, któreby pobie-

rały składki, mające służyć za premium ubezpieczenia od wszelakich przypadków, chorób, braku roboty, niezdolności do niéj, a zarazem jako kasy emerytalne, w których to składkach przedsiębiercy braliby udział w stosunku do ilości zajmowanych w ich fabrykach robotników; i do *inkorporacyi kredytu hipotecznego*, co miałoby znaczyć, że księgi hipoteczne byłyby spisywane nie dla pojedyńczych drobnych właścicieli, ale dla gmin całych, a gminy dopiero według swego rozumienia i pod swoją kontrolą szafowałyby kredytem na korzyść oddzielnych udziałów gruntowych, czerpiąc na to środki w ogólno - państwowéj instytucyi kredytowéj hipotecznéj. Dwie te instytucye nie istnieją jeszcze; Schäffle widzi początki pierwszéj w niedawno ustanowionych w Niemczech kasach ubezpieczenia robotników od nieszczęśliwych wypadków; ale w myśli jego oba projekty tak są, a raczéj będą płodne w skutki dobroczynne, że nie waha się wskazywać na nie jako na źródło ratunku i środek rozwiązania najróżnorodniejszych trudności.

Polityka pozytywna musi najprzód dbać o produkcyą i nie naruszając jéj skuteczności, pamiętać o dostatecznéj opiece nad osobą robotnika. Tutaj Schäffle przypisuje największe znaczenie usiłowaniom samychże robotników, domagając się dla nich faktycznego zapewnienia wszelkiego rodzaju swobód, jak wolności wyboru rzemiosła, zmiany miejsca zamieszkania, i stowarzyszenia się wszelkiego rodzaju aż do wolnéj zmowy na bezrobocie, która ostatecznie jest jedynéni poważniejszém narzędziem obrony w ręku robotnika. Tu należą: zakres działania inspekcyi fabrycznéj, prawa i przepisy o pracy kobiet i dzieci, opieka sądowa dla krzywdzonych wymaganiami niesłusznemi lub złém obejściem się, prawne oznaczenie godzin dnia roboczego, świątowania dni niedzielnych; tutaj także otwarte pole szerokiéj czynności dla towarzystw opieki nad ludźmi, które już powinnyby się ukonstytuować w całéj Europie, a które bardzo skutecznie mogłyby wglądać w warunki, w jakich są obowiązani pracować robotnicy, pojedyńczo lub w małych grupach rozrzuceni, naprzykład wiejscy lub w warsztatach drobnych rzemieślników. Takie towarzystwa mogłyby rozpatrywać skargi, sprawdzać ich zasadność, starać się o załatwienie spraw polubownie, a dopiero rzeczy ważniejsze i niedające się naprawić, oddawać na drogę sądową. Wszystko to w niczém nie byłoby podobne do urządzeń kolektywnych, a mogłoby w znacznéj mierze uporządkować produkcyą.

Ale właściwa akcya socyalizmu obiecuje rozwinąć się głównie przy podziale a nie przy produkcyi. Tutaj, jakkolwiek bajką jest pochłanianie przez kapitał zwyżki produkcyi z pracy robotnika, a niezmiernie dużo jest przesady w żelaznéni prawie zarobku, je-

dnakże zarobki mogą zniżać się do rozmiarów minimalnych i to nie tylko u robotników najemnych pracujących w fabrykach, ale i u rzemieślników pracujących na własny rachunek i u chłopów-właścicieli. Chodzi o to, żeby się te zarobki podnosiły wyżéj nad normę nieodbicie potrzebną do utrzymania fizycznego procesu życia.

Poradzić w tém może wolny odpływ nadmiaru ludności i możność zatrzymania dla siebie całego wytworu pracy własnéj, któréj to możności nie ma człowiek oplątany sieciami lichwy. Więc z jednéj strony rozumna polityka kolonialna, przygotowująca grunta swobodne, które emigranci mogliby uprawiać,—z drugiéj, jako środek przeciwko lichwie, hipoteka gminna, regulująca kredyt i samę cenę ziemi—obronią chłopa-właściciela od wyzysku kapitalisty. Podniesienie dobrobytu chłopów i pozycya ich zabezpieczona od wyzysku, będzie najskuteczniejszą bronią przeciwko demokracyi socyalnéj.

Nie mniéj téż zająć się winno społeczeństwo losem rzemieślników robotników, trudniących się przemysłem domowym i drobnych handlarzy; tych wszystkich wyzyskują agenci kapitalistów; bronić ich trzeba od wyzysku ale nie należy niszczyć kapitału, bez którego oni obejść się nigdy nie będą mogli. Tutaj bieda i nędza pochodzi nie tyle z braku kapitału, ile ze złych nałogów, upartego trzymania się sposobów tradycyą przekazanych, domatorstwa, marnowania czasu i roboty nieudolnéj. Zupełna swoboda ruchów, rozgatunkuje z czasem tych ludzi w sposób naturalny, jedni wyemigrują, inni przejdą na robotę do fabryk, inni znowu mogą się wykształcić na rzemieślników artystycznych. Do tego potrzebne są odpowiednie urządzenia w gminach; przymusowy udział wszystkich w kasach wsparcia i ubezpieczenia, ułatwienia w nabywaniu zbiorowém materyałów i w sprzedaży wyrobów, nauka rzemiosł w szkołach wiejskich, która w należyty sposób prowadzona ułatwi w wysokim stopniu rozmaitość zajęć wedle zdolności i usposobień.

Punkt ciężkości reformy socyalnéj leży w sferach polityki kolonialnéj, agarnéj i rzemiosłowéj, bo ta oddziaływać może zbawiennie na żywioły z natury swojéj więcéj zachowawcze, ale nie należy téż zaniedbywać żywiołu nadewszystko ruchomego; proletaryatowi fabrycznemu dopomagać można w kierunku podwyższania zarobków i bezpieczeństwa od przesileń sprowadzających bezrobocia.

Prawodawstwo może w tém okazać ważne usługi, działaniem pośredniém, wpływając na polepszenie warunków, a tém samém stale podnosząc stopę życia robotników; w tym kierunku działa przy-

mus szkolny, policya fabryczna wymagająca dla warsztatów pomieszczenia bezpiecznego i zdrowego, policya budowlana niedopuszczająca wynajmu mieszkań zbyt nędznych. Tu najważniejszą rolę grać będą korporacye, czyli ogólne stowarzyszenia ubezpieczeń wszelkiego rodzaju, bo takie instytucye najłatwiéj łączą pojedyńczych ludzi w całość zbiorową, najprędzéj doprowadzają ich do zrozumienia interesu ogólnego; wszakże angielskie stowarzyszenia robotników nie tylko wspierają chorych lub chwilowo pozbawionych roboty, ale i wśród ogólnych bezroboci umiały dzielnie się trzymać, pomagając sobie nawzajem. Przy gromadzeniu się kapitałów korporacyjnych, można je lokować w nieruchomościach, nabywać grunta i domy i wydzierżawiać je tymże robotnikom, którzy w ten sposób sami będą zwiększać dochód kas swoich.

Na przesilenia w przemyśle lekarstwa radykalnego nie obmyślono ani wynaleziono dotychczas, ale dopomódz tu w znacznym stopniu mogą kasy korporacyjne i odpowiedni w nich udział przedsiębierców, gdyż to zainteresuje ich jeszcze bardziéj w możliwém strzeżeniu się od przesileń, a przytém zjednoczy producentów każdego fachu, którzy zapoznając się bliżéj przy administrowaniu wspólném kasą, lepiéj będą wiedzieli o swoich siłach i środkach, o samém natężeniu produkcyi i trafniéj będą mogli kierować własnemi interesami. Przesileniom ogólniejszym zaradzić by mógł związek państw europejskich handlowy i monetarny, jednostajne cła fiskalne, któreby nie wykluczały protekcyi umiarkowanéj; powszechne usunięcie przymusowego obrotu waluty papierowéj, do czego jednak niezbędnym warunkiem byłoby sformowanie kapitału wojennego, któryby mógł służyć do mobilizacyi wojsk w razie potrzeby; mogłoby jeszcze i bardzo zaradzić stowarzyszenie międzynarodowe robotników, jeżeliby chciało wyłącznie zajmować się interesami, zamiast marzyć o rewolucyjnych przewrotach.

Głównem zadaniem reformy socyalnéj jest i będzie rozpowszechnianie ustawiczne własności dającéj dochód; udostępnienie jéj dla jaknajwiększéj liczby osób, a to w przeciwieństwie wyraźném do dążeń socyalizmu, który znosząc własność, usiłuje wydziedziczyć całe masy ludności na korzyść mniéj licznéj grupy proletaryatu fabrycznego. Dzisiaj już w procentach kas oszczędności proletaryat czerpie cokolwiek ze źródeł dochodu, kasy takie miejscowe, szkolne a nadewszystko pocztowe są instytucyą doskonałą, zachęcają do oszczędności, i ułatwiają gromadzenie się kapitału; szczególniéj ostatnie odpowiadają dążeniom nowoczesnym, bo nie krępują swobody ruchu osób. Kasy oszczędności, korporacyjne i gminne kasy ubezpieczeń, kredyt szafowany przez gminy, wszystko to znakomi-

cie dopomoże do skupienia się małych sum pieniężnych w znaczniejsze masy kapitału, a te, lokowane w nieruchomościach, część własności ziemskiéj oddadzą w ręce proletaryatu, lokowane w akcyach przedsiębierstw korzystnych część wysokich dywidend obrócą także na korzyść ludu.

Pewna część kapitałów korporacyjnych będzie mogła być użyta na udzielanie pożyczek, jeżeli obok tego ustanowimy przymusową amortyzacyą wszelkich należności wieczystych, spłatę nieumarzalnych długów państwowych, sformowanie skarbca wojennego, któryby na przyszłość pożyczki państwowe zrobił niepotrzebnemi, organizacyą kredytu hipotecznego korporacyjną; wszystko to razem musiałoby spowodować ogromną podaż kapitału i usunąć radykalnie lichwę, uwolnić od niéj właścicieli ziemskich średnich i małych, rzemieślników i drobnych handlarzy. Dobre ustawy akcyjne, mądre prawa giełdowe, policya handlu mogłyby ostatecznie nie dopuszczać wyzyskiwania źródeł dochodu na korzyść nielicznéj grupy ludzi—a dać do nich dostęp szerokim kołom zarówno robotników jak i tych, co pracować rękami nie mogą.

Dalszą poprawką podziału bogactw będzie rozumne urządzenie pobierania podatków, których podstawą główną powinien być podatek bezpośredni państwowy i gminny, a dopełnieniem i wyrównaniem podatki pośrednie, byleby obciążały przedmioty zbędne. Tytoń i trunki wszędzie mogą być obłożone, ale oprócz nich ileż to jest innych potrzeb zbytkownych, na które wcale nie trudno ustanowić podatek, a które dotąd nim niedotknięte, chociaż służą głównie do uprzyjemnienia życia bogatych; mieszkania wykwintne, odzienie strojne, meble, ozdoby, jedzenia wymyślne—wszystkoby dało się opodatkować z łatwością.

Innym jeszcze naprawianiem podziału jest dobroczynność, niosąca pomoc prawdziwie potrzebującym; powinna się ona ciągle doskonalić i uszlachetniać, dzisiaj dzieje się to już we wszystkich krajach cywilizowanych, ale droga do ulepszeń i tutaj szeroko odkryta.

Komunikacye, transport towarów na drogach żelaznych i statkach parowych dzisiaj już przechodzą w zawiadywanie rządowe, i niezawodnie ruch w tym kierunku pójdzie daléj jeszcze. Robotnicy i oficyaliści, pracujący tutaj pod kierunkiem władz rządowych, powinni być wynagradzani słusznie, mieć zapewnione utrzymanie i mieszkanie porządne, a to przy wzrastaniu ich liczby musi coraz skuteczniéj oddziaływać na cenę pracy robotników w ogóle.

Wychowanie potrzebne dla każdego odpowiednie jego stanowisku i charakterowi. Powinno ono—rozwijać osobistość, kształcić

człowieka; jednakże oświata ludu nie zwalcza demokracyi socyalnéj, dzisiaj owszem daje jej więcéj zwolenników. Owóż wychowanie nie powinno być oświecaniem ogólném, dającém tylko powierzchowne o rzeczach pojęcie, zadaniem jego nauczyć robić umiejętnie to, co robić potrzeba. Najcięższe do zwalczenia przyczyny nędzy tkwią w panowaniu lenistwa, niedbalstwa, kastowego przywiązania do nawyknień miejscowych, do nędznych sposobów wyrabiania produktów w podlejszych gatunkach, do trzymania się progu domowego jako jedynego przytułku.

Od tych wad tradycyjnych wychowanie może i powinno wyswobadzać ludzkość, a każde pokolenie wznosić się będzie na wyższy stopień wykształcenia. Już ogródek freblowski uogólniony i urządzony na wzór tego, co dzisiaj robią we Francyi, może być szkołą dla każdego rzemiosła bardzo odpowiednią elementarną, w któréj małe dziecko nawykać będzie do lepszego używania narzędzi i do roboty sprawniejszéj; nauka rzemiosł w szkołach gminnych umiejętność tę podniesie wyżéj, a zapewnione każdemu prawo i ułatwione środki wolnego wyboru powołania i miejsca osiedlenia ostatecznie mogą ratować rzemieślników i rolników. Dla zdolniejszych trzeba ułatwiać dostęp do wykształcenia wyższego naukowego; kościół, szkoła, wojsko zawsze otwierały drogę wznoszenia się talentom wyższym, idąc w ich ślady należałoby zachować w wyższych zakładach naukowych miejsca na koszt publiczny, któreby, rozdawane z konkursu, mogły być zajmowane przez młodzież rzeczywiście uzdolnioną.

W korporacyach prawnie zorganizowanych umysły kształcić się będą praktycznie i dojdą do jasnego pojmowaaia idei państwowéj, do wyborów stawać będą wtedy z pełną świadomością ich celu. Głosowanie powszechne należy utrzymać, nie dla tego, żeby ono być miało organem władzy ludu wszechwładnego, ale że to jest sposób najprostszy porozumiewania się władzy z ludem. W izbach doradczych, przemysłowych, handlowych, w radzie ekonomicznéj a nawet w radzie stanu należałoby zapewnić udział warstwom chłopskim, rzemieślniczym i proletaryatu, bo to ułatwi praktyczne rozwiązywanie wielu trudności.

Rząd silny i sprężysty, kościół nauczający i niosący pociechę, wojsko karne, wychowanie praktyczne, nauka swobodna, a obok tego samorząd administracyjny w korporacyach—to są potęgi, których nigdy przemódz nie potrafi demokracya socyalna. Ale ona żyć będzie i wzmacniać się nawet aż do czasu, póki nie zmusi społeczeństwa, do energicznego i poważnego podjęcia na całéj linii pozytywnéj polityki reformy społecznéj.

Oto w głównych zarysach podany przez Schäffego program zwalczenia socyalizmu. Stojąc pośrodku pomiędzy skrajnym indywidualizmem a wspólnością absolutną, domaga się on realnéj swobody dla wszystkich, przez zlanie osobników w korporacye, ustanowienie wspólności nie ogólnéj lecz korporacyjnéj dla pewnych celów, działającéj w granicach więcéj zacieśnionych, a więc dostępniejszéj, która mogłaby wchłonąć w siebie, nawet przymusowo, samotnie dzisiaj stojące do walki o byt indywidua a przez to, spowodować postęp ogółu przez wolną pracę jednostek.

Program to tak szeroki, że na opracowanie go w szczegółach potrzebaby kilkunastu lat pracy, na przeprowadzenie w praktyce bodaj czy i kilka setek lat by wystarczyło. To téż i autor nie podaje go do wykonania lecz tylko wskazuje do czego dążyć należy. Nie jedna z myśli tu wyrażonych może się okazać bardzo płodną w skutkach, ale rzucanie ich masami i stawianie jako zadanie polityki pozytywnéj, pozwala nam nazwać Schäffego doktrynerem socyalizmu państwowego. Przywiązuje on znaczenie przesadne do skuteczności działania przepisów prawnych na stosunki społeczne; zdawałoby się, iż dość napisać ustawę, żeby się wedle niéj wszystko już działo. Tak na rzeczy nie patrzy mąż stanu, ani nawet uczony, trzeźwo studyujący naturę człowieka i społeczeństwa. Przepis, wskazujący co mam robić, wtedy tylko okaże się praktycznym, jeżeli ja do téj roboty mam uzdolnienie i skłonność. Wprawdzie Schäffle co chwila powtarza, że nie chce ścieśniać w niczém swobodnego działania jednostek, ale mimo to nakazuje im łączyć się w korporacye. W oczach jego przymus to zupełnie naturalny, w tym rodzaju co przymus należenia do gminy lub państwa, w którém się człowiek urodził a nawet zastrzeganiem kilkakrotném prawa wolnego przesiedlania się przymus ten zdaje się być zobojętnionym. Jednakże rozszerzenie zakresu prawnego działania gminy i państwa wszędzie i na każdém miejscu spęta człowieka, pomimo przesiedleń; a przymus taki, rozciągniony do ułatwień kredytu a przez nie do ścieśnień w rozporządzaniu własnością nieruchomą, do składek na ubezpieczenie od przypadków, nieszczęść osobistych lub ogólnych, od niedołęstwa starości nawet, a więc pochłaniający bardzo poważną część dochodów każdego robotnika, przymus taki o tyle tylko mógłby nawet w oczach reformatora być usprawiedliwiony, o ile byśmy mieli dowody dotykalne, że gmina i korporacya potrafią tém wszystkiém rozporządzać rozumnie, praktycznie, skutecznie.

Nie możemy wypowiadać zdania stanowczego o tém, czy gminy wiejskie niemieckie żdolne są do kierowania sprawami i interesa-

mi osobistemi swoich członków, ale z licznych opisów wiemy, o ile niezaradne i mało żywotne są stowarzyszenia rzemieślników i robotników niemieckich w rozlicznych *gewerkszaftach*. Wszakże każda korporacya i stowarzyszenie o tyle może działać zbawiennie o ile składające ją jednostki są dzielne i rozwinięte, dla tego to zawiązywanie dobrowolne jest dotąd najlepszą gwarancyą ich powodzenia. Pod wpływem nauk socyalizmu pojęcie o stowarzyszeniach przymusowych szerzy się ciągle, i wchodzi w zwyczaj przypisywać im znaczenie to samo, co i dobrowolnym. Schäffle przytacza przykład stowarzyszeń robotników angiel. które wytrzymały dzielnie próby gwałtownych przesileń przemysłowych i handlowych, ale zapomina przy tém, że te stowarzyszenia powstały samoistnie, bez żadnych nakazów z góry, że egzystencyą prawną wywalczyły sobie bojowaniem dlugiém i wytrwałém, i że skutecznie działać zaczęły dopiero wtedy, kiedy wyrzekły się wszelkiego przymusu, pozwalając każdemu usuwać się ze swego grona i same zachowywując prawo usuwania tych, co im bruźdźą. Siła tu leży nie w formie stowarzyszenia, ale w doborze stowarzyszonych; czyż w obec przymusu ogólnego dobór taki jest możebny?

W korporacyach przymusowo związanych, których przykładów dużo wskazuje historya, kierunek spraw ogólnych zależy od przypadkowego zgrupowania się osób; albo panuje tam mierność i głupota liczebnie silniejsza ku pognębieniu kilku wybitniejszych osobistości, albo te ostatnie biorą górę, co się najczęściéj kończy na wyzyskiwaniu ogółu; w nader rzadkich wypadkach zdolności poważniejszych obywateli łączą się z sumiennémi pojmowaniem obowiązku i siłą charakteru do spełnienia go dostateczną, wtedy naturalnie sprawy mogą iść jak najlepiéj, ale czyż zbieg takich okoliczności nie jest wszędzie wyjątkowym.

Piękna to zasada: wzmacniać jednostki siłami wspólnemi ogółu i podnosić ogół energiczniejszém działaniem jednostek; ale ażeby ją zrobić praktycznie skuteczną, należy w każdéj danéj kwestyi rozpatrzyć, ile bezpiecznie, można ofiarować ze swobód osobistych dla osiągnięcia wskazanego celu; bo inaczéj, ścieśniając wolność jednostki, zmniejszamy jéj odpowiedzialność za następstwa jéj czynności, łamiemy, a przynajmniéj osłabiamy, sprężynę najsilniéj pobudzającą do pracy i czynności i zamiast skutków zbawiennych, możemy otrzymać w rezultacie ostatecznym martwotę i bezwładność.

Samorząd administracyjny w gminach i korporacyach jest rzeczą bardzo pożądaną, jako gwarancya dbałości o interesa miejscowe i jako zabezpieczenie przeciwko nieoględnemu szafowaniu groszem

publicznym, a więcéj jeszcze może jako szkoła kształcąca pojęcia i charakter obywateli; ale reformator nasz znacznie rozszerza zakres samego pojęcia administracyi. W projektach Schäfflego gmina i korporacya występują jako opiekunki przydane każdemu z osobna chłopu właścicielowi, każdemu rzemieślnikowi i wyrobnikowi; mają one szafować kredytem, kontrolować przechodzenie własności nieruchoméj z rąk do rąk, bodaj nawet stanowić o udziałach przy spadkach, brać od każdego nie małą część jego dochodu, zapewne mało co mniéj nad to co pozostanie od opędzenia potrzeb życia, żeby zabezpieczyć każdego od wypadków nieszczęśliwych i zapewnić mu środki utrzymania na starość. Ubezpieczenia tak ogólne, żeby mogły odpowiadać swemu celowi, będą musiały być rozciągnięte na wielkie masy osób, zatém sumy pobierane będą się centralizowały z dużych obszarów kraju, bodaj z całego państwa; w takim razie ów samorząd w gminie i korporacyi ograniczy się do egzekwowania składek i wysłuchiwania rachunków, jeżeli je do gmin przesyłać zechcą instytucye państwowe finansowo-administracyjne. Inkorporacya kredytu hipotecznego czy nie będzie zwrotem wstecz do czasów ograniczeń w prawie własności i czy da się pogodzić z niezależnością gospodarską każdego właściciela? Czy łudzi tutaj autor sam siebie, a w owém przymusowém wzmacnianiu jednostki wspólnemi siłami ogółu, czy nie odzywa się tylko jakieś echo atawistyczne patryarchalnych obyczajów średniowiecznych? Kiedy w stowarzyszeniu dobrą wolę zastąpi przymus, czy nie zaginie przytém w jednostkach świadomość celu, dla którego siły się łączą, a w ślad zatém czy nie osłabnie i tych sił natężenie? Na téj drodze, jak się nam zdaje, nieprędko dojść można do skutków pożądanych.

Utrzymanie drobnéj własności ziemskiéj w stanie kwitnącym leży niewątpliwie w interesie każdego państwa, zbytnie drobienie działów chłopskich uważane jest powszechnie za szkodliwe, a jednak kiedy szło o powstrzymanie tego drobienia, politycy parlamentu niemieckiego nie chcieli narzucać w tém przymusu, a zapisali tylko w prawie pozwolenie każdemu chłopu wycofać na przyszłość swoję własność z pod ogólnego prawa dzielenia spadków; kanclerz niemiecki przystał na to, zapewne nie z poszanowania dla zasad liberalnych ani z obawy w obec kroku zbyt stanowczego, powodował nim tutaj instynkt praktyczny prawdziwego statysty, bo w ten sposób łatwiéj dojść do zamierzonego celu.

Ale może nie mamy prawa domagać się praktyczności w programacie, wypisanym przez Schäfflego dla wykazania, w czém się poglądy jego różnią od zapatrywań socyalistów. Różnica nie wątpliwie

ogromna, zupełnie dostateczna dla odstręczenia od niego wszelkich sympatyj demokratów socyalnych; różnica ta jednak nie powstrzyma liberalistów od nazywania go socyalistą chociażby państwowym, a wątpimy, ażeby mogła mu zjednać czy przywrócić zaufanie zachowawców, nawet najświeższego autoramentu. których postępowość wstrzemięźliwa bodaj czy się nie ulęknie téj mnogości reform, przesuwających się przed nią w kalejdoskopie stylu nader ciężkiego, na tle obłoku, fantastycznie skłębionego z mięszaniny swobody i przymusu, nigdzie dostatecznie nie rozgraniczonych.

A. Oskierka.

ZARYSY
RUCHU LITERACKIEGO RUSINÓW.

VIII.

Żaden z wielkich poetów słowiańskich nie pozostawił tak mało utworów jak Taras Szewczenko, a rzadko który dorówna mu bogactwem treści. Dwa tomy nieduże (wydanie r. 1876 w Pradze) zawierają najpiękniéj wypowiedziane idee braterstwa, równości, miłości i swobody, bez których urzeczywistnienia nie może być szczęścia na ziemi. Dla tego to imię Szewczenki i poezye jego tak są popularne na Ukrainie i w ziemi Halickiéj. Śpiewa on językiem swojskim dla każdego Ukraińca, a śpiewa o rzeczach tkwiących głęboko w sercu każdego Słowianina, każdego człowieka. Utwory Szewczenki doczekały się nie tylko dwunastu już wydań w oryginale, lecz i cały świat słowiański zwrócił uwagę na wieszczą muzę śpiewaka ukraińskiego; poezye jego tłómaczono na wszystkie języki słowiańskie, najwięcéj jest przekładów na język rosyjski, ale na nieszczęście z całéj masy tych tłómaczeń w żadném nie zachowano świeżości i wdzięku oryginału. Gładsze daleko i z większém wykonane artyzmem są tłómaczenia polskie, szczególnie Kondratowicza (Przekłady z małoruskiego, Kobzarz Szewczenki. Warsz. 1872). Nie dziw, że przekłady różnią się między sobą, bo różne bywają talenta i zdolności tłómaczów. Tylko prawdziwy poeta może tłómaczyć poetę, tak samo jak malarz bez talentu nie skopiuje Madonny Rafaela. Na język rosyjski tłómaczyli Szewczenkę poeci nieudolni, a przytém nie znający Ukrainy, jéj natury, zwyczajów i zapatrywań ludności miejscowéj.

Pisarze niemieccy, francuscy, włoscy i angielscy zaznajamiali swoję publiczność z poezyami i z życiem Szewczenki. Sam spis artykułów i autorów, którzy pisali o nim, mógłby zająć pół arkusza z górą ścisłego druku. Najlepsze sądy o Szewczence znajdujemy u pisarzy galicyjskich jak Omeljan Partyćkyj („Prowidni idei Szewczen-

ka". Lwów, 1872) i prof. uniwersytetu lwowskiego Emilian Ogonowski, który w piśmie „Prawda" ogłosił cały szereg monografij krytycznych o Szawczence i jego utworach.

Zresztą chronologicznie pierwszy rozbiór poezyi Sz. z podaniem dokładniejszych wiadomości o jego życiu napisał po polsku Battaglia p. t. „Taras Szewczenko, życie i pisma jego" Lwów, 1865.

W r. 1882 M. Czałyj wydał w Kijowie dość dużą książkę „Żizń i proizwiedienja Tarasa Szewczenka", ale, zdaniem samego autora, książka ta jest tylko materyałem surowym do biografii, zgoła bez krytycznego opracowania.

Pomimo więc obszernéj literatury o Szewczence nie ma dotąd jego życiorysu pełnego i dokładnego, a podobno, nie można nawet spodziewać się go prędko, szczególnie takiego, któryby zawierał krytyczną ocenę jego utworów. Możemy więc tylko wspomnieć tutaj o ważniejszych chwilach z życia naszego genialnego poety.

Urodził się Taras Szewczenko 25 lutego (9 marca) 1814 r. we wsi Moryńcach, powiecie Zwinogrodzkim, guberni Kijowskiéj; rodzice jego byli poddanymi obywatela Engelhardta, ludzie naturalnie ubodzy, nieoświeceni i żadnych praw nie mający. O całém otoczeniu fizycznem i moralném, wśród którego ubiegły dziecinne lata poety, możemy wnosić ze słów jego własnych, które wyjmujemy z prześlicznego poematu, pisanego w roku 1850 „*Jakby wyznały panyczi*". Oto słowa poety:

Ja w chati muczywsia kołyś,
Moi tam słozy prolilyś
Najperszi słozy! Ja ne znaju
Czy jest u Boha lute zło,
Szczob w toi chati ne żyło?
Ne nazowu jiji ja rajem
Tij chatynoczki u haj
Nad czystym stawom kraj seła.
Mene tam maty powyła
I powywajuczy śpiwała
Swoju nud'hu perelywała
W swoju dytynu; w tim haju
U tij chatyni, u raju
Ja baczyw pekło!.. Tam newola,
Robota tiażkaja, nikoły
I pomołytyś ne dajut'!
Tam matir dobruju moju,
Szcze moloduju, u mohyłu
Nużda ta pracia powałyły!
Tam bat'ko płaczuczy z dyt'my
(A my mali buły i holi)

Ne wyterplw łychoi doli,
Umer na panszczyni!... a my
Rozlizłysia meży ljud'my,
Mow myszeniata. Ja do szkoly
Nosyty wodu szkolaram,
Braty na panszczynu chodyły,
Poki łoby im pohołyły
A sestry?...
. . . .
Wy w najmach wyrosły czużyj,
U najmach kosy pobilijut'
U najmach sestry pomrete!!...

'Nie ma w tém przesady. Matka Szewczenki zmarła dość młodo jeszcze, kiedy chłopiec liczył lat siedem; miał on dwóch braci i dwie siostry; brak gospodyni w domu, biéda chłopska i pięcioro dzieci znagliły ojca Szewczenki do powtórnego małżeństwa. Druga żona, także wdowa, miała dzieci z pierwszego męża; dla małego téż Tarasa począł się szereg różnych przykrości, macocha biła nieraz chłopca. Wkrótce ojciec oddal go na naukę czytania do mieszczanina Hubskiego. Uczeń był zdolny, ale nauczyciel nie mógł z nim dać rady. Taras był dzieckiem swawolném i figlarném, nauki i groźby ojca mało téż wpływały na żwawego chłopaka; na nieszczęście i ojciec umarł prędko, a Taras osierocony w jedynastym roku życia, został na opiece macochy, która go nie lubiła, ani była przezeń lubioną. Ostatnie słowa umierającego ojca sprawdziły się Tarasowi· Starzec mówił przed śmiercią. „Synowi Tarasu z moho chozjastwa nyczoho ne treba, win ne bude aby jakim czołowikom, z joho wyjde abo szczoś dobre, abo wełyke łedaszczo".

Po zgonie ojca, macocha oddała Tarasa na naukę do dziaka Buhorskiego, u którego on przebył dwa lata. A jaka to była szkoła? sam poeta opowiada o niéj w swéj krótkiéj autobiografii: „Dziecięce serce moje milion razy obrażał ten wyrodek despotyzmu seminaryjskiego; zakończyłem z nim (Buhorskim) jak zwykle kończą ludzie wyprowadzeni z cierpliwości, zemstą i ucieczką. Znalazłszy raz dziaka pijanego bez pamięci, użyłem nań jego narzędzia—rózeg. Ile mi starczyło sił dziecinnych, odpłaciłem się mu za wszystkie okrucieństwa" (1). Wtedy to rozwinął się u Szewczenki namiętny pociąg do rysunku, o którym w liście do swego przyjaciela, Kozaczkowskiego mówi: że zdarzało się czasem, iż

......w uczytela diaka
Harneńko wkradu piataka,

(1) Czasopismo „Narodnoje cztienje" 1860. Zesz. 2-gi.

(Bo ja buło trochi ne hole
Take ubohe) taj kuplu
Paperu arkusz i zroblu
Małeńku knyżeczku. Chrestamy
I wizerunkamy z kwitkamy
Okruh łystoczki obwedu,
Taj spysuju „skoworodu“
Abo „try caryje so dary“,
Ta sam sobi u burjanl,
Szczob ne poczuw chto, ne pobaczyw,
Wyśpiwuju o łyn, ta płaczu!....

Po Buhorskim Taras długo szukał odpowiedniego nauczyciela, powracał do domu,

„Pas jahniata za sełom“.

Nakoniec w 15-m roku życia Dmytreńko, rządca majątku Engelhardta, wziął go na kozaczka pokojowego. „Pan mój Engelhardt, opowiada Szewczenko, był bardzo czynny, ciągle jeździł to do Kijowa, to do Wilna lub Petersburga, i woził mnie z sobą, dla siadywania w przedpokoju, podawania fajek i tym podobnych usług. Dostrzegłszy w chłopcu zdolność i popęd do malowania, a chcąc mieć z czasem z niego „własnego“ malarza, Engelhardt oddał Szewczenkę na naukę w Warszawie, najprzód do malarza ściennego, a potém do portrecisty Lampiego. W tym peryodzie życia swego poeta poznał po raz pierwszy „kochanie“, zakochał się w panience z innéj sfery. Ale jako poddany nie mógł się żenić, nie mógł ulubionéj prowadzić w niewolę poddaństwa, którego okrucieństwo widział koło siebie i doświadczał nieraz na własném ciele. Stanęło więc przed nim pytanie bolesne i palące: „Czomu i nam krepakam ne buty takymiż wilnymy lud'my jak inczy?“ Engelhardt tymczasem przeniósł się do Petersburga i zawiózł tam z sobą Szewczenkę, a przekonawszy się o niezdatności jego do służby lokajskiéj, przystał na usilne prożby i oddał go na lat cztery do malarza Szirajewa. Szewczenko miał wtedy lat 19, przypadkiem poznał się tu ze swym ziomkiem, artystą Soszenką, który serdecznie się losem jego zainteresował i zapoznał go z pisarzem małoruskim Hrebenką. Starania nowego opiekuna zwróciły na Szewczenkę uwagę ówczesnych znakomitości: poety Żukowskiego i malarza Briułowa. Ten ostatni wymalował portret Żukowskiego, puszczono go na loteryą, z któréj zebrano 2500 rub. i za te pieniądze d. 22 kwietnia 1838 r. geniusz małoruski wykupiony został z poddaństwa.

Briułow zaraz wziął Szewczenkę na naukę do siebie do akademii sztuk pięknych; z tego czasu pochodzą pierwsze jego poezye. „Surowa muza Ukrainy“—powiada o sobie poeta—długo nie przypa-

dała do mego smaku, zepsutego życiem w szkole dziaka i w pańskich przedpokojach, po zajazdach, lub apartamentach wielkomiejskich; ale kiedy swobodny oddech powrócił uczuciom moim czystość lat dziecinnych, spędzonych pod ubogą strzechą ojcowską, ona, dzięki jéj za to, wzięła mnie w swe objęcia i w stronie obcéj pieszczot nie szczędziła. Z pierwszych moich prób nieudolnych, pisanych w Letnim ogrodzie, drukowana jest tylko jedna balada „Pryczyna“.

Poezye Szewczenki ukazały się poraz pierwszy w 1840 roku w niewielkiéj książeczce, zatytułowanéj „Kobzar“. W wydaniu tém zamieszczono jeden z najlepszych jego poematów, „Kateryna“ i kilka prześlicznych „dumek“ lirycznych; krytyka jednak przyjęła w ogóle te utwory drwinkami nie tylko z saméj poezyi, ale i z języka i narodowości autora. Krytycy nie rozumieli myśli Szewczenki, ale i nie bardzo mogli rozumiéć, czytając „Kobzarza“ bez tłómaczenia; lecz co najdziwniejsza, że krytycy drwili z Szewczenki jako z „poety chłopskiego“ (mużickij poet). Pojęcia poddaństwa i niewoli panowały jeszcze tak silnie, że na Północy ludzie, przodujący nawet innym, nie pojmowali idei demokratycznych narodowości i swobody.

Krytyka nie przestraszyła Szewczenki, dzielny temperament poety nie dbał o nią: „nechaj ja budu mużyczyj poet, mini bilsz niczoho i ne treba“, powiadał i *tworzył* daléj. Pieśni i dumy zrozumiano nad Dnieprem i po roku wyszło wydanie drugie „Kobzarza“, zwiększone nowym poematem „Hajdamaky“. Sława Szewczenki obiegła całą Małoruś, siła nieprzezwyciężona ciągnęła go w strony rodzinne, gdzie pod brzemieniem poddaństwa cierpiały miliony braci i siostr jego, gdzie „mużićki duszy aż pyszczat'“:

„A patriot, ubohich brat,
Doczku i telyczku odnimaje
U mużyka...“
gdzie „Łatanu swytynu z kaliki znimajut'
Z szkuroju znimajut'“ (Kobzar 1876, str. 15).

Poeta pojechał w strony rodzinne i tutaj poznał się z wielu ludźmi z pośród wykształconych Małorusinów. Objechawszy Ukrainę, osiadł w Kijowie jako malarz przy komisyi archeologicznéj; tutaj zaznajomił się z Kuliszem, Kostomarowem i innymi.

Kostomarow był wtedy profesorem historyi rosyjskiéj w uniwersytecie kijowskim i pracował nad epoką Bohdana Chmielnickiego; młody uczony żył tu w towarzystwie ludzi wykształconych, w kółku tém grupowali się: Szewczenko, Kulisz, Białozierski, Hułak-

Artemowski, Nawrocki, Markowicz. „Pierwszego dnia świąt Bożego Narodzenia r. 1846 siedzieliśmy, opowiada Kostomarów (1), u Hułaka, rozmawialiśmy o sprawach Słowiańszczyzny; wyrażano nadzieje połączenia się w przyszłości narodów słowiańskich w federacyą grup państwowych, a ja mówiłem, jakby użytecznêm było słowiańskie towarzystwo naukowe, któreby się podjęło wielkiego celu zbliżenia i urządzenia wzajemnych stosunków pomiędzy plemionami słowiańskiemi, tak sobie mało znanemi. Myśl, o któréj już nieraz rozprawialiśmy, i wtedy obudziła gorące spółczucie. Rozmowa jednak się urwała i przeszliśmy na przedmiot inny, o historyi kraju małoruskiego a szczególnie o czasach Chmielnickiego."

Poeta musiał zamilknąć właśnie w epoce najpełniejszego rozwoju swego talentu. Najlepsze utwory Szewczenki przypadają na lata 1841—1847; z tego czasu pochodzą poematy: „Najmyczka," „Kniażna", „Chołodnyj jar," odezwa (poslanije) „Do żywych, mertwych i nenarożdennych zemlakiw moich." W téj odezwie poeta gorzko się żali na nieuctwo i demoralizacyą inteligencyi małoruskiéj, napada na bezmyślne naśladownictwo wszystkiego co obce, na niedbalstwo o interesa ludu materyalne, moralne i umysłowe, i z głębi serca zaklina:

Obnimyteż, braty moi,
Najmeńszoho brata,
Nechaj maty usmichnietsia,
Zapłakana maty...
I zabudetsia sramotnia
Dawniaja hodyna,
I ożywe dobra sława
Sława Ukrainy;
I świt jasnyj, neweczernij
Tycheńko zasłaje...
Obnimytsia-ż braty moi
Molu was, błahaju" (Kobzar, str. 41)

Po ośmnastu miesiącach los Szewczenki ulżył się nieco: zarządzono ekspedycyą dla zbadania morza Aralskiego pod dowództwem Butakowa, który za zezwoleniem głównego naczelnika kraju, zabrał z sobą Szewczenkę dla rysowania widoków nadbrzeżnych. Wyprawa wróciła w jesieni r. 1849, ale podróż po stepach kirgiskich i morzem nie bardzo pocieszała poetę. Kochał on namiętnie pełną poezyi naturę ukraińską a tu zamiast stepów pokrytych aksamitną zielonością, zamiast szumiącego Dniepru i wiosek otulonych wiśniowemi sadami, przed oczami jego stały:

(1) Ruskaja starina 1880 r. Zesz. III str. 599.

I nebo newmyte i zaspani chwili
I po nad berehom het'-het'
Nenacze pjanyj oczeret....
Tut burjan, piski, tały,
I chocz-by na śmich de mohyła
O dawnim dawni howoryła;
Nenacze lude ne żyly.,.. (Kobzar 107)

Na wygnaniu spędził Szewczenko lat dziesięć. Po wstąpieniu na tron cesarza Aleksandra II. za staraniem hr. Teodora Tołstoja i jego żony, został uwolniony ze służby i pozwolono mu zamieszkać gdzie zechce, oprócz stolic; ale wprędce i to ścieśnienie usunięto. Opuścił fort Nowopietrowski 9 sierpnia 1857 r.; zatrzymany czas jakiś w Niżnim-Nowogrodzie, napisał tu jeden z najpiękniejszych poematów „Neofyty."

Zabawiwszy czas jakiś w Petersburgu, poeta w r. 1859 wyjechał w strony rodzinne; znalazł tu starą biédę, która go dręczyła całe życie. Rodzeni jego bracia i siostry na równi z całą masą wiejskiego ludu byli jeszcze w poddaństwie; boleść swą gryzącą wypisał wtedy w wierszu „Do sestry" w Czerkasach 20 czerwca 1859. Odwiedzając Ukrainę, poeta poczuł chętkę do ożenienia i zamieszkania nad brzegiem Dniepru; ani jedno ani drugie pragnienie nie ziściło się, a on sam wskutek czyjejś denuncyacyi o mało znowu nie trafił do kozy. Na szczęście generał-gubernatorem w Kijowie był wtedy człowiek rozumny, książe Wasilczyków; wezwał on do siebie Szewczenkę i radził mu wracać do Petersburga: „tam, powiadał, ludzie więcéj wykształceni, nie czepiają się do drobnostek w nadziei wysłużenia się kosztem bliźniego" (1).

Po powrocie do Petersburga Szewczenko zamieszkał w akademii sztuk pięknych, zajął się malarstwem i pisał daléj. Ale prędko zły los najsroźéj go dotknął, w jesieni r. 1860 zachorował i zmarł na dni kilka przed ogłoszeniem manifestu o zniesieniu poddaństwa w lutym 1861 r. Zwłoki Szewczenki, wedle jego ostatniéj woli, przyjaciele odwieźli na Ukrainę i pochowali w okolicy Kaniowa na samym brzegu Dniepru w wysokiéj górze „Czerneczéj", skąd rzeczywiście widać:

„I łany szyrokopoli
I Dnipro i Krucz!".

Czytelnik zapewne nie wymaga od nas szczegółowego krytycznego rozbioru utworów genialnego poety i zechce zrozumieć przyczyny, dla których zrobić tego nie możemy; musimy tu ograniczyć się krótkiemi słowami.

---

(1) Żyzń Szewczenka. Kijów, 1882, str. 143.

Najlepsze rzeczy Szewczenko napisał albo przed wygnaniem, jak poematy: „Kateryna“, „Najmyczka“, „Kniaźna“, albo po powrocie. jak „Neofyty“, „Wid’ma“, „Maria“. Z poematów historycznych najsłabszy „Hajdamaki“—silniéj natchnione i pełne pięknych obrazów: „Iwan Pidkowa“, „Hamalija“, „Tarasowa nicz“ i „Czerneć“.

„Kateryna“ to pełen artyzmu obraz losów dziewczyny-matki, zakochanéj, oszukanéj i opuszczonéj. W „Najmyczce“ znowu matka-dziewczyna podrzuca swe dziecko zamożnemu, a bezdzietnemu chłopu, sama najmuje się u niego do służby, a gdy już wyhodowała i ożeniła swego syna *bezbatczenki*, umierając, dopiero w ostatnich chwilach przyznaje się przed nim, że jest jego matką. W „Wid’mie“ zarysowany silną ręką obraz dziwnie dramatyczny cierpień matki, obłąkanéj z miłości do dzieci a nienawiści ku panu. Kiedy była młodą, pan wziął ją z sobą, wstępując do wojska, przebrał za deńszczyka i spłodził dwoje dzieci bliźniąt. Kiedy dzieci wyrosły, pan skusił się pięknością własnéj córki i romansował z nią, syna zaś oddał gdzieś na służbę lokajską. Matka z boleści straciła rozum i poszła na wędrówkę po Ukrainie, w Besarabii przyczepiła się do taboru Cyganów. Cyganka ziołami wyleczyła wiedźmę i nauczyła ją leków tajemniczych; wiedźma wraca do domu w nadziei widzenia dzieci, lecz niestety! Pan wywiózł Nataszę do Moskwy i tam ją porzucił, a Iwana oddał w sołdaty; samego pana wiedźma znalazła umierającym, probowała ratować go swemi lekami, a kiedy umarł, ona:

...Za joho
Bohu pomoliłaś.

W „Neofitach“ poeta przenosi się w pierwsze wieki chrześciaństwa i opiewa męczeństwo neofitów pod rządami cezarów rzymskich. W prologu zwraca się do Matki Boskiéj, prosząc ją o natchnienie:

Molu rydajuczy: poszli,
Podaj duszy ubohyj sylu,
Szczob ohnenno zahoworyla,
Szczob słowo płamenem wzjałoś,
Szczob ludiam serce rostopyło
I po Ukrajni pronesłoś.
I na Ukrajni śwityłoś
Te słowo czysteje, kadyło
Czystijszyj istyny.
. . . .

Podobne żądania wyraża poeta w odezwie swéj do Szafarzyka, mówiąc, że „nimota“ (niemcy):

Semju Słowian rozjedynyła
I tycho, tycho upustyła

Usobić lutuju zmiju..
Połylysia rlki krowi...
Pożar pohasyły,
A nimcziki pożaryszcze
I syrit podilyły...

Poeta zanosi modlitwę do Boga,

Szczob usi Sławianie stały
Dobrymi bratami
I synami soncia prawdy.... (Kobzar, str. 29).

Szewczenko próbował też pisać w narzeczu wielkorosyjskiém powieści prozą i wierszami, ale w utworach tych, wedle słów Kostomarowa (1): „Szewczenko wpada w melodramatyczność i nieraz jest zbyt rozwlekłym. Pisane są one niedbale; są to raczéj szkice aniżeli utwory wykończone, podobne do drogich kamieni w nędznéj oprawie; ale wszędzie widnieje tu ogromny talent poety: prawdziwość charakterów, głębokość i szlachetność myśli, bogactwo obrazów i pełne życia opisy; ostatnie te zalety zapewne dla tego tak wybitnie się rysują, że autor był z zawodu malarzem“.

Naturalnie Szewczenko zjawia się jako wynik rozbudzonego już ruchu literackiego na Małorusi, ale on a nie kto inny sprowadził tu przełom stanowczy, on stworzył i utrwalił na wieki literaturę małoruską. Cokolwiek się stać może z narodem małoruskim, jakikolwiekbądź przewrót sprowadzić mogą warunki historyczne, przypuszczając nawet najgorsze warunki, że narodowość małoruska przestanie istnieć, że się rozpłynie w jakiém „morzu“, zawsze jednak na kartach historyi pozostanie na wieki język ukraiński i wielki jego przedstawiciel Taras Szewczenko. „Jeżeli kiedykolwiek, powiada Kostomarów, potomkowie narodu długo nieszczęśliwego, poniżonego, umyślnie pozbawionego oświaty, dojdą do zażywania pełni swobody i używania owoców ludzkiéj cywilizacyi, losy, jakie przeżyli ich praojcowie, żyć będą we wspomnieniach wnuków, a przytém z uszanowaniem będą wspominać imię Szewczenki, który opiewał cierpienia ich przodków, szukał dla nich swobody rodzinnéj, społecznéj, duchownéj, razem z nimi i za nich cierpiał na duszy i ciele, cierpiał myślą i czynem“ (2).

---

(1) „Ruskaja Starina“, 1880, marzec, 610. (2) Poezija Slawlan“. Petersburg, 871, str. 159—161.

IX.

Jednocześnie z Szewczenką występuje na pole działalności literackiéj i jednocześnie trafia na wygnanie do Tuły Pantelejmon Kulisz. Urodzony w roku 1819 w miasteczku Woronežu, powiecie Gluchowskim, gubernii Czernihowskiéj, syn kozaka, z powodu braku środków, wykształcenie naukowe zakończyć musiał na kursie gimnazyalnym w Nowogrodzie Siewierskim. Kulisz próbował sił swoich w języku małoruskim jako poeta, powieściopisarz, etnograf i historyk, ale wyznać musimy, że za wyjątkiem etnografii na żadném polu pisarskiém nie zjednał sobie wielkiéj sympatyi publiczności, a to nie dla braku talentu, którego mu odmówić nie można, lecz z powodu zmienności w poglądach i ideałach. Trudno wskazać innego autora, któryby z taką łatwością przerzucał się od uwielbień do nagany, od zupełnego potępienia do wielkich pochwał.

Po powrocie z wygnania w r. 1856 Kulisz osiadł w Petersburgu i zajął się czynnie wydawnictwem dzieł własnych i cudzych. W roku 1861, po ukazaniu się „Osnowy“, Kulisz zajmuje w niéj swemi utworami niemal $^2/_3$ miejsca, a jednocześnie jest współpracownikiem w kijowskiém wydawnictwie Ksenofonta Howorskiego „Wiestnik Jugozapadnoj Rossii“, którego kierunek był wręcz przeciwny dążeniom „Osnowy“. Było to powodem, że stracił zupełnie popularność, jakiéj zażywał na Małorusi w latach 1857—1861. Po zamknięciu „Osnowy“ w r. 1865, Kulisz zajmuje w Warszawie urzędowe stanowisko w wydziale oświecenia, które zresztą prędko opuszcza; w literaturze nie słychać o nim niemal siedm lat, dopiéro w r. 1874 wydaje „Istoria wozsojedinienija Rusi“, gdzie wyrzeka się wszystkich dawniejszych ideałów, rzucając błotem na dążenia literatury ukraińskiéj, którym hołdował w latach młodszych. Do roku 1870 był Kulisz czcicielem fanatycznym niemal przeszłości ukraińskiéj, w „Historyi“ występuje z fanatyczném jéj potępieniem, dowodząc, że kozacy byli tylko rozbójnikami, zepsutemi złoczyńcami, zasługiwali na wzgardę, a rządy panów na Ukrainie były największém dobrodziejstwem dla kraju i jego kultury. Krytyka z obozu ukraińskiego nazwała tę pracę nieumiejętną, a krytyka kierunku przeciwnego także jéj nie pochwaliła. W pięć lat późniéj Kulisz, nie osiągnąwszy zamierzonego celu, zjawia się w Galicyi, wydaje we Lwowie 1-y tom prześlicznego swego tłómaczenia Szekspira na język ukraiński, a następnie „Chutorną poezyę“. W poezyi téj widnieją odblaski Kulisza z czasów „Osnowy“, tutaj wysławia on znów język ojczysty, który w „Wozsojedinieniu“ skazał już na śmierć; składa hołdy geniuszo-

wi Szewczenki, któremu tam urągał, mianem „pijanéj muzy“. Obok „Chutornéj poezyi“ pomieścił prozą pisany „Zazywnyj łyst do Ukrainśkoi inteligencii“, wzywając ją do pracy wspólnéj dla dobra Ukrainy i jéj ludu i rozwoju literatury. Nowa ta metamorfoza zdziwiła Rusinów, jednakże nie dowierzając autorowi, przyjęto ją nieprzyjaźnie; poczém Kulisz zajął się propagowaniem myśli wydawania we Lwowie gazety rusińskiéj z pomocą Polaków. Polacy bardzo słusznie zechcieli najprzód dowiedziéć się: kto składa stronnictwo Kulisza? a kiedy się okazało, że on nie ma stronników, odmówili dostarczenia środków. Potém zjawiła się „Kraszanka“, za pośrednictwem któréj chciał Kulisz pozdrowić Polaków na wielkanoc, a którą oni przyjęli dość chłodno; kiedy „Kraszanka“ publicystyczna dostała się do Rosyi i tam była potępioną „Moskowskije Wiedomosti“ nazwały autora zdrajcą; „Wiestńik Ewropy“ i „Zaria“ Kijowska wspomniały o niéj ironicznie; a jeden z pisarzy ukraińskich, Daniło Mordowcow, odpowiedział Kuliszowi w osobnéj broszurze, zatytułowanéj „Pysanka“. Tutaj bezlitośnie roztrząsa on stronę psychologiczną Kulisza, niby trupa w prosektorium anatomicznem, kraje go nożem krytyki chłodnéj, i na mocy własnych listów autora zdawało się, że pogrzebał go już na wieki. Ale natura Kalisza tak jest sprężystą i pełną życia, że nazwawszy Rusinów galicyjskich „cielętami“, spokojnie wrócił on do Rosyi, przystał do pisma charkowskiego „Jużnyj Kraj“ i drukuje w niém dotąd swe wiersze, w których wszystkich pisarzy ukraińskich mianuje „hajdamakami literackimi“.

Nie możemy badać szczegółowo ciekawych metamorfoz psychicznych Kulisza, przytoczymy tylko słowa Pypina, wyjaśniające poniekąd przyczyny tych przeskoków. „Kulisz, powiada Pypin, nie był nigdy ani prawdziwym etnografem, ani prawdziwym historykiem; do historyi lub etnografii miesza on pobudki publicystyczne, albo i poetyczne, a brak artystyczny poezyi czystéj dopełnia namysłem sztucznym. Pod wpływem uczucia chwieją się w nim poglądy teoretyczne i nie raz wpadał on w sprzeczne ostateczności. Tak np. po pełnym zachwytu panegiryku Gogola idzie potępienie jego powieści z życia ukraińskiego, sąd zupełnie nie słuszny“. (1) Dodać musimy, że ten sąd o Kuliszu pisany był na trzy lata przed jego przemianami galicyjskiemi.

Z utworów ukraińskich Kulisza najlepszym niezawodnie „Czorna Rada“, kronika powieściowa z czasów hetmańśtwa Brzuchowieckiego; niezłe wcale, chociaż w innym rodzaju, „Łysty z chutora“ drukowane w „Osnowie“. Poezye drukowane oddzielnie „Doswitki“

(1) Ist. slow. liter. I. 375.

(Petersburg, 1862) i „Chutornaja poezya“ (Lwów. 1882) ciekawe są dla bibliografa, ale poetycznego nie ma tam nic, ani rymu, ani uczucia, ani ciepła, nie mówiąc już o natchnieniu, gdyż wieje z nich chłód jak od mrozu zimowego.

Lepiéj i pożyteczniéj użył Kulisz swego talentu na tłómaczenie pisma św. na język ukraiński. W r. 1871 wydał w Wiedniu tłómaczenie Pięciu Ksiąg Mojżesza, i osobno Ewangelii, potém we Lwowie przekład Psalmów Dawida i Księgi Hioba, w roku zaś 1880 wydano we Lwowie jego przekład całego Nowego Testamentu, dokonany wspólnie z dr. Palujem.

O „Hramatce“ (elementarzu) Kulisza wspomnimy późniéj, kiedy przejdziemy do pedagogiki; nie mamy zaś potrzeby mówić o powieściach pisanych w narzeczu wielkorosyjskim, chociaż treść ich czerpana z życia małoruskiego, ponieważ nie wchodzą w zakres niniejszego szkicu.

AFGANISTAN

I JEGO STANOWISKO GEOGRAFICZNO-DZIEJOWE.

(*Dokończenie*).

V.

W związku z oro-i hydrografią kraju a po części i klimatem stoi *kwestya komunikacyi*, *kwestya dróg*, ważna wogóle dla stosunków strategicznych i handlowych, ważniejsza témbardziéj w kraju tak pełnym gór niedostępnych i pustyń trudnych do przebycia, jak Afganistan, który do tego jeszcze leży na drodze do bogatych Indyj i jest „baryerą“ między dwiema współzawodniczącemi potęgami. Dlatego zajmiemy się teraz kwestyą dróg, a to nietylko dróg w samym Afganistanie, ale i dróg doń prowadzących.

A) *Drogi* z *Turkiestanu i Persyi* idą albo od morza Kaspijskiego albo od Amu-Darii.

a) *Drogi od morza Kaspijskiego* idą albo od ujścia Atreku, albo od Krasnowodzka.

1. *Droga od ujścia Atreku* w górę téj rzeki przez Meszed (Persya) lub przez Merw (Turkiestan) do Heratu. Rosyanie od 1873 r. przedsiębrali wyprawy w górę Atreku, aby utrzymać w posłuszeństwie rozbójnicze plemię Teke-Turkomanów, które napadało często na Persyę i które wielce przeszkadzało Rosyi w usadowieniu się nad dolną Amu-Darią. Wyprawy te jednak nie mogły postępować daleko w górę Atreku, gdyż część jego środkowa i górna należą do Persyi.

2. *Droga od Krasnowodzka* nad morzem Kaspijskiém przez Turkomańskie stepy, przez Achal oazę i Merw do Heratu. Droga ta z początku tylko przechodzi przez pustynie solne, pozbawione wody, i napotyka pewne trudności terrenu (Wielki i Mały Bałkan), lecz da-

léj prowadzi przez kraj dobrze nawodniony i posiadający turkomańskie osady, wzdłuż północnego stoku gór Kiurrendagh do północnego stoku wyżyny Iranu, wzdłuż którego dosięga Merwu i Heratu. W ostatnich czasach Rosyanie przeprowadzili tędy kolej żelazną, która od morza Kaspijskiego sięga już do Aschabadu. Od téj drogi oddziela się na północo-wschód pod fortem Kisilarwat droga do Chiwy.

b) *Drogi od Amu-Darii* idą albo przez Merw, albo przez zachodnie wąwozy Hindukuh, albo przez wschodnie, to jest przez Pamir.

1. *Drogi idące przez Merw*, prowadzą do Heratu, jest ich dwie: jedna prowadzi z Chiwy, druga z Buchary. Obie one są uciążliwe z przyczyny pustyń, szczególniéj pierwsza: nieliczne cysterny zawierają złą wodę i to w tak małéj ilości, że karawana z 800 wielbłądów zużywa ją zupełnie; prócz tego pył i odblask powierzchni gruntu wywołują choroby oczów. Wojska Nadir Szaha (1739) i chana Chiwy (1832 r.) w wyprawie na Merw ucierpiały wiele na téj drodze i musiały kopać źródła. Chan Chiwy stracił przeszło 2.000 wielbłądów i musiał zakopać armaty. Obie te drogi schodzą się w Merwie, ztąd idą w górę rzeki Murghab i jéj lewego dopływu, Kuszki, przez niskie przejście w Paropamizie do Heratu. Na téj drodze właśnie, w oazie Pendżdeh, w pobliżu ujścia Kuszki do Murghabu Afganie zostali rozbici przez następujące wojska Komarowa.

2. *Drogi idące przez zachodnie wąwozy Hindukuh* do Kabulu; jest ich także dwie: jedna prowadzi z Chulm, druga z Kunduz. Pierwsza doliną rzeki Chulm prowadzi do wąwozów Bamiańskich, któreśmy poprzednio wymienili, a przez nie do Kabulu. Tędy przechodził Aleksander W., Dżengischan, Nadir Szah; tu dotarli Anglicy 1840 r., ścigając, ustępującego na Chulm, emira afgańskiego, Dost Mohameda; tędy szło rosyjskie poselstwo Stoletowa 1878. Droga ta od Bamianu może także zboczyć i przez Szibertu i dolinę Ghorbendu dosięgnąć Kabulu. Wyżyna Bamian jest kluczem całéj téj drogi i posiada z tego powodu ważne strategiczne znaczenie. Już Aleksander W. zbudował tu twierdzę Alexandria ad Caucasum (1), a gdyby Anglicy zajęli Afganistan i oparli swe „umiejętne granice“ od Turkiestanu o Hindukuh, to także musieliby silnie ufortyfikować przejścia Bamiańskie. Druga droga doliną rzeki Kunduz i Inderab prowadzi przez wąwóz Chewak, przez który przechodził zdaje się Aleksander

(1) Tak twierdzi Ritter, inni sądzą, iż twierdza ta była zbudowaną na półn. Kabulu, przy wyjściu Ghorbendu z gór.

W. na północ, a Timur na południe, lub przez wąwozy ku zachodowi leżące—do doliny Pandżiru i Kabulu.

3. *Droga przez Pamir* prowadzi z Kokandu przez wyżynę Pamir, przez wąwóz Barogil do doliny Kunaru (Czitral) i wzdłuż niéj do Dżellalabadu. Według nowszych badań angielskich można z doliny Kunaru (Mastodża) zboczyć i dostać się do doliny Gilgitu (Yassin), dopływu górnego Indu, a więc wprost do Indyj. Droga ta przez Pamir, z powodu jego znacznéj wysokości i pustynności, uciążliwa dla armii i dotąd nie praktykowana. Mimo to jednak Anglicy w 1879 obawiali się wkroczenia Rosyan z téj strony i polecili księciu Kaszmirskiemu strzedz téj drogi.

Wszystkie powyższe drogi, idące od Amu-Darii łączą się ze sobą drogą poprzeczną, idącą wdłuż doliny téj rzeki i mającą połączenia z Samarkandą i Taszkentem, tak iż Amu-Daria obok morza Kaspijskiego mogłaby stanowić podstawę operacyjną Rosyan w ich wyprawie na Afganistan.

B) *Drogi w Afganistanie* ciągną się wzdłuż dolin rzecznych i prowadzą ostatecznie do doliny Indu przez cztery wąwozy Solimanu: Khyber, Kurum, Guleri (Gomal), Bolan.

a) *Drogi z Heratu do Kabulu*; jest ich dwie: północna prowadząca wprost do Kabulu, i południowa, prowadząca przez Kandahar.

1. *Droga północna* idzie doliną rzeki Herirud ku wschodowi przez krainę Hazareh, między Sefidkuhem i Siahkuhem; pod Dauletiar dzieli się ona na dwie odnogi. Jedna przekracza Sefidkuh i wzdłuż północnego stoku Kohi Baby dosięga Bamianu, a ztąd albo przez Hadżiak, albo przez Szibertu i dolinę Ghorbendu—Kabulu. Druga przekracza Siahkuh, i idąc wzdłuż południowego stoku Kohi Baby, łączy się z pierwszą u jéj południowego wyjścia z Hadżiaku (pod Charsar). Droga północna jest niedogodna z powodu dzikości krainy Hazareh; wojsko może przechodzić tędy w odpowiedniéj porze roku, ale nie armaty. Drogą tą (przez Szibertu) wracał 1506 r. Baber z Heratu do Kabulu i ledwie nie zginął ze swą armią od zimna, głodu i walk z wojowniczymi góralami.

2. *Droga południowa* („Droga Królewska“) jest dłuższa (ma blisko 150 mil), ale dogodniejsza; otacza ona półkołem południowe gałęzie Siahkuhu i Kohi Baby, ciągnąc się przez wyżynę wzdłuż dolin rzecznych; przez Harud, Farehrud, Hilmend (warownia Giriszk, broniąca brodu) i Argandab dosięga Kandaharu prawie w połowie drogi (80 mil), a ztąd doliną Tarnaku i Ghusni przez miasto Ghusni i przejście Szeridana dostaje się na dolinę Logaru i wzdłuż niéj (20 mil) do Kabulu. Droga ta tylko w pierwszéj części między Heratem i Kanda-

harem, napotyka na pewne trudności z przyczyny małéj ilości wody i dlatego ta część posiada jeszcze drugą odnogę, która prowadzi przez południowe odgałęzienia Siahkuhu (Ghorat i Gasarman).

b) *Drogi odgałęziające się na wschód od „Drogi Królewskiéj"* i prowadzące przez wąwozy Solimanu do Indyj; jest ich cztery.

1. *Droga z Kandaharu* doliną Dory, przez wąwóz Kodżak (7.300') lub Gwadża w górach Amran, przez równinę Piszin, przez fort angielski Quettah (5600'), i wąwóz Bolan w Beludżystanie do Szikarpur nad Indem (przeszło 70 mil). Część téj drogi do Quettah (połowa drogi) tak w dolinie Dory jak na równinie Piszin jest dogodna, daléj wązki i długi wąwóz Bolan z nagłemi spadkami, pozawalany odłamami skał, poprzerzynany potokami, był uciążliwy, ale Anglicy zbudowali tu drogę dogodną dla artyleryi. Po wyjściu z wąwozu droga prowadzi przez żyzną okolicę beludzką Katsza Gundawa, a następnie przez piasczystą równinę do Indu. Tą drogą wkroczyli do Afganistanu Anglicy 1839, 1842 i 1878 roku.

2. *Droga z Ghazny* przez okolice jeziora Ab-istada, przez wąwozy Sargo i Sarwandi w górach Kohnak, wzdłuż doliny Gomalu przez wąwóz Guleri w Solimanie do Dera Izmaił Chan nad Indem. Drogą tą wracał do Kabulu przez Ghaznę Baber z wyprawy swéj na rozbójnicze góralskie plemiona Solimanu. Tędy głównie ciągną z Indyj do Ghazny i napowrót handlowe karawany (kafila) kupców wojowników, Powindah; to dziwne połączenie dwóch różnych stanów wynikło z niebezpieczeństwa, jakie grozi w Afganistanie karawanom od rozbójniczych plemion: karawany muszą być konwojowane przez eskorty walecznych i od stóp do głów uzbrojonych ludzi, którzy gotowi są każdéj chwili na odparcie łupieskiego napadu.

3. *Droga z doliny Logaru* (z Kabulu lub Ghazny) przez wąwóz Szutargardan na dolinę Kurumu i wzdłuż niéj przez wąwozy Peiwar i Derwaza, przez fort afgański Kurum (zajęty 1878 r. przez Anglików), przez wąwóz Kurum w Solimanie i pograniczne miasto angielskie Thal do Indu (do 60 mil). Droga ta idzie przez okolice dobrze nawodnione i żyzne i jest, podobnie jak droga poprzednia, dostępna dla wozów. Jestto najdogodniejsza ze wszystkich dróg do Indyj. Tędy 1878 r. wkroczyła środkowa kolumna angielska i tu w wąwozie Peiwar pod zasłoną silnéj pozycyi na skałach, pokrytych iglastemi lasami, na wysokości 9000' Afganie stawili najzaciętszy opór Anglikom; tylko brak dobrych oficerów wydarł mężnym góralom zwycięstwo.

4. *Droga z Kabulu* wzdłuż doliny Kabulu przez wąwóz Khyber do Peszaweru (przeszło 40 mil). Droga ta w pierwszéj części, to jest na wyższéj terrasie Kabulu, jest bardzo uciążliwa; nie mogąc bowiem

iść nad samą rzeką, do której przypierają strome skały, musi zdala od rzeki głównéj wić się dolinami jéj licznych prawych dopływów, i aby się dostać z doliny jednego dopływu do drugiego musi wspinać się na dzielące je odgałęzienia Sefidu, przez które prowadzą wysoko położone wąwozy. Takiemi wąwozami są Kurd Kabul (7000') (klęska Anglików 1842 r.) i Karkacza (7.500') (broniony przez warownię Tessin), przez które przechodzi południowa gałęź drogi z Kabulu, oraz Latabund i Jugdullak, przez które prowadzi północna gałęź tejże drogi. Obie gałęzie łączą się ze sobą w dolinie rzeki Surkhrud, wzdłuż której droga dosięga warownego miasta Dżellalabadu (połowa drogi); ztąd droga idzie bez przeszkód w pobliżu rzeki głównéj przez równinę Dżellalabadu do Daki, gdzie napotyka góry Khyberu. Tutaj nie może już iść daléj wzdłuż rzeki, gdyż ta, przedzierając się przez góry, płynie bezpośrednio między ścianami skał, droga zbacza więc w kierunku południowo-wschodnim przez wąwóz Khyber (przeszło 3.000'), który się ciągnie od Daki do angielskiego fortu Dżamrud na 8 mil. Wśród tego wąwozu, tam gdzie on najbardziéj się zwęża (do 50'), wznosi się na szczycie stroméj skały, jak „orle gniazdo," fort afgański Ali-Muszid, który jednak za pomocą obejścia po ścieżkach górskich można zdobyć (Anglicy 1839, 1842, 1878 r.). Daléj ku wschodowi wąwóz się rozszerza i wychodzi pod Dżamrudem na równinę Peszaweru, który jest wielką warownią, broniącą Indyj od najścia z Afganistanu, tak jak Dżellalabad broni Afganistanu od najścia z Indyi; ostatni prócz tego, jak wiemy, panuje nad drogą do Afganistanu przez Pamir. Wąwóz Khyber ma w historyi wojen i wędrówek ludów ogromne znaczenie: tędy zapewne dostali się do Indostanu Aryowie i zawojowali pierwotne tamtejszy ludy, następnie wszyscy wielcy zdobywcy Indyj, jak Aleksander W., Seleucus, Mahmud, Timur, Baber, Nadir Szah, nie licząc częstych najść Afganów, przechodzili przezeń i przeprawiali się następnie przez Indus pod Attokiem, gdzie prąd rzeki wolnieje i umożliwia przeprawę. W obecném stuleciu już cztery razy wkraczali tędy Angicy (1839, 1842, 1878 i 1879). Jak pod względem strategicznym, tak i pod względem handlowym droga przez Khyber utrzymała swe znaczenie od najdawniejszych czasów do chwili obecnéj. Prócz tego miala ona niegdyś ważne znaczenie dla rozszerzenia się buddyzmu z Indyj do Azyi północnéj (Stupas, But-Bamian), a potém islamu do Indyj. W naszém stuleciu stała się ona niestety drogą cholery, która ze swéj ojczyzny, Indyj, doszedłszy do Kabulu, rozgałęziała się ztąd przez Hindukuh do Turkiestanu, a przez Herat do Iranu, zkąd przeszła i do Europy. W przyszłości może tą drogą rozszerzy się w Afganistanie z Indyj europejska cywilizacya.

Linia rzeki Indu, gdzie zbiegają się wszystkie drogi Afganistanu, jest dla Anglików taką samą podstawą operacyjną przeciw Afganistanowi, jak Amu-Daria dla Rosyan. Lecz linia Indu ma pod tym względem wielką wyższość nad linią Amu-Darii, bo najprzód leży bliżéj wschodniego afgańskiego walu (Soliman), niż Amu-Daria północnego (Hindukuh), powtóre drogi i przejścia od niéj do Afganistanu są daleko dogodniejsze niż od Amu-Daryi, i nakoniec wzdłuż téj linii idzie kolej żelazna, połączona z siecią kolei indyjskich, podczas gdy linię Amu-Darii oddzielają od Rosyi europejskiéj rozległe, trudne do przebycia stepy.

VI.

Dopiero po obznajomieniu się z drogami Afganistanu możemy dostatecznie ocenić *strategiczne i handlowe znaczenie trzech głównych centrów osiadłego życia w Afganistanie*: Heratu, Kandaharu i Kabulu (każdy około 60.000 mieszkańców).

W *Heracie* krzyżują się cztery drogi: jedna prowadzi z Turkiestanu (Merw), druga z Persyi (Meszed), trzecia do Kabulu, czwarta do Kandaharu i Kabulu. Droga z Persyi, oddzielonéj trudnemi do przebycia pustyniami od Afganistan , jest prawie jedyną komunikacyjną arteryą między dwoma krajami; Herat więc dla Persów jest kluczem Afganistanu. Ztąd jego strategiczne znaczenie, ztąd ciągłe walki oń z Persami (1508 r. zdobyli go Persowie, 1715 odebrali go Afganie, 1731 zdobył go Nadirszach perski, 1749 odebrał Achmed król afgański, 1856 r. korzystając z wojen domowych, zajęli go znów Persowie, 1862 odebrał go Dost Mohamed, emir Afganistanu). Lecz i dla władców Turanu, w obec trudnych przejść przez Hindukuh, Herat, leżący już u znacznego obniżenia północnéj krawędzi Iranu (niski łańcuch Barkhut, zachodnie przedłużenie Sefidkuhu) i u wylomu rzek Turano afgańskich, ma także znaczenie owego „klucza“. Zdobywali go Dżengishan, Kulikhan, Tamerlan, w 1879 zagrażała mu rosyjska wyprawa Łomakina, a obecnie -Komarowa. Ze względu to na Herat Anglicy obawiali się zawsze zajęcia Merwu (zkąd w dziesięć dni marszu można stanąć w Heracie) 'przez Rosyan; Rosyanie zaś dążyli do jego zajęcia, by stać na straży Heratu. Gdyby bowiem Herat zajęli Anglicy, to zagrażaliby posiadłościom rosyjskim w Turkiestanie i rozpostarliby swój wpływ na Persyę, a podając tym sposobem rękę istniejącemu już wpływowi na Turcyę (dolina Eufratu, Azya Mniejsza i Cypr) odnowiliby z czasem państwo Aleksandra W. Gdyby zaś Herat zajęli Rosyanie, to obróciliby w ni-

wecz angielskie poszukiwania umiejętnéj granicy po za Solimanem i na seryo zagroziliby Indyom.

Kandahar ma prawie centralne położenie w przecięciu się przekątni afgańskiego czworoboku i prócz tego leży w połowie półkola, które tworzy „Droga Królewska". Stąd rozchodzą się drogi do Heratu, Kabulu i Quetty. Kandahar ma więcéj handlowe niż strategiczne znaczenie, gdyż okoliczne wyniosłości panują nad jego fortyfikacyami, a z Merwu można prędzéj stanąć w Heracie niż z Kandaharu.

W *Kabulu* lub w jego okolicach krzyżuje się 4—6 dróg. Najprzód dwie drogi z Turkiestanu, z których jedna idąca doliną Baranu jest zbiegowiskiem dróg prowadzących przez wszystkie zachodnie wąwozy Hindukuh od Chewak do Szibertu włącznie, druga zaś prowadzi wprost do doliny Kabulu przez wąwozy Bamiańskie. Powtóre dwie drogi z Heratu, jedna bezpośrednia, druga przez Kandahar i Ghaznę. Nakoniec dwie drogi do Indyj: jedna Khyberska wprost z Kabulu, druga Kurumska, oddzielająca się nieco na południe Kabulu od drogi prowadzącéj z tego miasta do Ghazny. Tym sposobem Kabul leży w najobfitszym węźle dróg (τριοδος u Strabona), w ognisku promieni górskiego amfiteatru (podobnie jak Turyn), a mając, jak wiemy, przewagę klimatyczną nad również korzystnie pod względem komunikacyjnym położoną Ghazną, najbardziéj nadaje się na stolicę kraju.

Powyższe punkta przecięcia się dróg w kraju, jakkolwiek nieposiadającym do wywozu wielu własnych płodów (wełna, owoce suszone, asafetyda), ale zajmującym stanowisko przejściowe, mają oddawna prócz strategicznego wielkie znaczenie handlowe. Herat na granicy z Persyą jest pośrednikiem w handlu między tém państwem a Indyami (przez Kandahar i Bolan); Heratczyk jest w Afganistanie uosobieniem celnika. Kabul jako leżący u zbiegu dróg z Turkiestanu jest pośrednikiem w handlu między tym ostatnim, a Indyami, z których do Turkiestanu idą przedmioty europejskiego przemysłu (stąd i we względzie handlowym krzyżują się w Afganistanie interesa rosyjskie z angielskiemi). Handlowe znaczenie Kabulu sięga odległéj starożytności: Nazwę jego (καβουρα u Ptolomeusza) wywodzą od wyrazu zendzkiego, oznaczającego emporyum. Kandahar, leżący po środku kraju i dróg jest pośrednikiem w handlu między Heratem i Indyami, oraz między Heratem i Kabulem. Ważne znaczenie tych miast, a w ogóle Afganistanu w tranzytowym handlu między Turkiestanem, Persyą i Indyami stanowi główne źródło jego państwowych dochodów, bądź w postaci cła od przewożonych towarów, bądź w postaci opłat od karawan za prawo pastwisk

VII.

Poznawszy fizyko - geograficzne stosunki Afganistanu, przejdźmy teraz do jego stosunków *etnograficznych i dziejowych*, które rozwinęły się na tle pierwszych.

Mieszkańcy Afganistanu, jako kraju przejściowego i górzystego, przedstawiają mieszaninę różnych narodów, podobnie jak np. mieszkańcy Kaukazu, leżącego na przejściu z Azyi do Europy. Już sułtan Baber dziwił się mnogości języków, któremi mówiono w tym kraju. Prócz głównéj masy ludności, Afganów, znajdują się tu jeszcze liczne, choć drobniejsze ludy, będące bądź autochtonami wypartymi w góry, bądź późniejszymi przesiedleńcami. Ci ostatni znowu są po części resztkami przeciągających tędy zdobywczych hord, po części przez nie zostali tu przesiedleni, po części przybyli tu dobrowolnie w celach handlowych. Ważniejsze z tych narodów są:

Kafiry albo *Siapusz*; pierwsza nazwa znaczy „niewierni“ i została im nadana z tego powodu, że nie dali się nawrócić na islam; druga znaczy „czarno odziani“, rzeczywiście bowiem dawniéj ubierali się oni przeważnie w skóry czarnych kóz. Kafiry mieszkają w północno-wschodniéj części Hindukuh na wschód od przejścia Chewak, w alpejskiéj krainie, zwanéj Kafiristanem. Podanie o pochodzeniu ich od legionów Aleksandra W. jest bajką. Już *a priori*, ze stanowiska geografii porównawczéj, jest to nieprawdopodobne, albowiem w niedostępnych górach znajdujemy zwykle ludy pierwotne, wyparte tam przez późniejszych zdobywców, nie zaś kolonie tych ostatnich; dość wspomnieć góry Walii, Szkocyi, Karpaty, Biskaję, Atlas itd. Zresztą prof. Trumpp, znakomity znawca języków wschodnich, który przebywał dłuższy czas w Peszawerze, owém etnograficzném muzeum Indyj, Iranu i Turanu i tam badał różne języki, sprawdził na podstawie lingwistycznéj, że Kafiry nie są bynajmniéj potomkami Macedończyków, lecz resztkami pierwotnego ludu Hindu, wypartemi w niedostępne góry. Pod względem cech fizycznych zbliżają się do europejskiego typu, zdarzają się u nich nawet jasne włosy i niebieskie oczy. Kobiety kafirskie, podobnie jak opiewane przez poetów Czerkieski i Gruzinki, słyną z piękności i stanowią również jak te ostatnie upragnioną zdobycz i dumę haremów; są one też powodem ciągłych wojen między różnemi pokoleniami kafirskiemi, praktykującemi egzogamię. Kafiry mówią językiem pokrewnym sanskrytowi i wyznaję religię pokrewną religiom wedyckim, pomięszaną z różnemi zabobonami. Odznaczają się niepospolitém męstwem, zamiłowaniem swobody i nienawiścią do mahometan;

moralnym obowiązkiem każdego Kafira jest ściąć głowę czterem wrogom; prawo nie wymaga większéj liczby, pochwala jednak tych co „dla własnéj satysfakcyi“ pozwalają sobie na więcéj. To téż Kafiry, raz ustąpiwszy w góry, nie dali się podbić, mimo ciągłych wypraw fanatycznych mazułmanów pod wodzą takich zdobywców, jak Timur, Baber, Akbar chan, Nadir szah. Kafiristan pozostał podobnie jak Abisynia, Biskaja i Czarnogóra wyspą śród muzułmańskiego morza, którego fale roztrącały się daremnie o te naturalne górskie warownie.

Tadżiki jestto naród perskiego pochodzenia, choć zresztą dość zmieszany z obcemi elementami; dla tego obok pięknych perskich typów napotykają się i inne. Mieszkają oni po miastach wzdłuż zachodniéj granicy Afganistanu (zwani tu Parsiwan, są autochtonami), w zachodniéj części Kohistanu (doliny Ghorbendu i Pandżiru) i w żyznych dolinach systematu Hilmendu. Mówią po persku, zajmują się przemysłem, handlem i rolnictwem, wyznają islam sekty szyickiéj; są chciwi i nie przebierają dróg, prowadzących do zbogacenia; służalczość, fałszywość, chytrość, pochlebstwo itp., są cechami ich charakteru. W ogóle zajmują oni w Afganistanie i krajach sąsiednich podobne stanowisko jak żydzi w Europie (1).

Hazareh i *Aimak*, ludy mongolskie, pozostałe z armii Dżengis-chana, zamieszkują góry Paropamizu (Hazareh na pn.-wschód od Aimak); za czasów Babera mówili jeszcze swym rodowitym językiem, obecnie mówią po persku, z wyjątkiem małéj cząstki, zamieszkałéj w najbardziéj niedostępnych górach. Jest to zjawisko zwane w etnologii lingwistyczną pseudo-morfozą (2). Ludy te wiodą życie pasterskie (kozy, owce, bydło, konie) i podobnie jak wiele ubogich górskich ludów (Sabaudya, Galicya, Dalekarlia itp.) wędrują za zarobkiem do miast afgańskich. Są to ludy miłujące wolność (tworzą demokratyczne respubliki) i waleczne, które dzięki niedostępnéj przyrodzie swych gór, podobnie jak Kafiry, zachowały swą niepodległość: pochody Babera i Nadira przez ich kraj były również jak

(1) Tadziki zamieszkują także prowincye na pólnoc od Hindukuh wraz z Uzbekami, plemieniem tureckiém, które prowadzi częścią koczujące, częścią osiadłe życie.

(2) Mineralogowie, mówi Peschel, odkryli, że czasami części składowe kryształu bywają uniesione przez wodę, a w opróżnione miejsce wciska się obcy minerał i przybiera przeciwną jego naturze maskę kryształu; taki łudzący kształt nauka nazywa pseudomorfozą. Podobny proces w zjawiskach językowych odkrył Fallmerayer. Język grecki utrzymał się w swéj dawnéj siedzibie, ale etnograficzny materyał hellenizmu został rozłożony i uniesiony, a na jego miejsce osadziły się obce, mianowicie słowiańskie składniki i utworzyły lingwistyczną pseudomorfozę (Peschel - Ruge, Geschichte der Erdkunde 1878, str. 802).

i Aleksandra W. (wówczas kraj Paropamizadów) bardzo uciążliwe, tak z powodu przeszkód naturalnych, jak i waleczności mieszkańców. Nawet między sobą ludy te z powodu różnic religijnych (Hazareh są szyici, Aimak sunici), prowadzą, podobnie jak Maronici i Druzowie na Libanie, zacięte walki.

Kisilbaszi, plemię tureckie, przesiedlone przez Nadira do Kabulu, mówią po turecku, wyznają islam sekty szyickiéj, stanowią kawaleryę emira, oraz klasę urzędniczą.

Prócz tych, są jeszcze w Afganistanie w nieznacznéj ilości *Ormianie*, *Żydzi*, *Persowie*, *Hindki* (z Indostanu) itd. osiedleni jako handlarze lub przemysłowcy.

Przeważną jednak część ludności Afganistanu stanowią *Afganie*, mieszkający głównie na południe linii Herirud-Kabul, którą przekraczają tylko we wschodniéj części. Prócz tego część Afganów wywędrowała po za naturalne granice kraju na wschodzie i mieszka między Solimanem i Indem, szczególniéj na dolinie Peszaweru. Nazwa Afgan, etymologicznie nie objaśniona, jest tylko konwencyonalno-literacką (1), sami Afganie nazywają siebie Pasztunah lub Paktunah i według zwyczaju muzułmańsko-azyatyckich narodów wywodzenia swego rodu od biblijnych znakomitości (np. Turcy od Jafeta) uważają się za potomków Izraela. Podanie to jest bajką, mimo to, że niezbyt dawno znaleźli się, według wyrażenia Vambery'ego, „mocni w biblii“ (bibelfest) Anglicy, którzy zapisywali całe kolumny „Timesa“ w obronie żydowskiego pochodzenia Afganów; na szczęście bowiem znaleźli się téż „mocni“ w innéj gałęzi wiedzy, a mianowicie w lingwistyce, którzy dowiedli, że w języku Afganów nie ma ani jednego wyrazu hebrajskiego (prof. Trumpp) i że w ogóle język ten nie ma nic wspólnego z językami semickiemi. Według tych lingwistycznych badań, Afganie należą do aryjskiego szczepu i są narodem przejściowym między Persami i Indusami—narodem indo-perskim. Rzeczywiście zachodni Afganie pod względem fizycznym, pod względem zwyczajów, obyczajów i języka, mają wiele wspólnego z Persami, wschodni—z Indusami. Wschodni Afganie, zwani wogóle Berduranami, zamieszkują wschodnie góry graniczne Soliman i odnogi Hindukuh i dzielą się na wiele pokoleń, z których ważniejsze są: Jusufsaj, zamieszkujący dolinę Kunaru, Pandżikory i Swatu, daléj na południe plemiona Khyberu (np. Afrydzi) i plemio-

---

(1) Niektórzy jednak wyprowadzają tę nazwę od sanskryckiego wyrazu Asvaka (Assaka), co znaczy jeździec (Ob. Vivien de St. Martin. Nouveau dictionnaire de Geogr. Univers., str. 25).

na właściwego Solimanu (np. Wasiraj). Plemiona zachodnie zamieszkują zachodnią część kraju od rzeki Farehrud do Solimanu i od gór Hazareh i rzeki Kabul prawie do południowéj granicy. Do plemion tych należą Durani, najliczniejsze ze wszystkich plemion afgańskich, zamieszkujące zachodnią część kraju od rzeki Farehrud do Tarnak i Gilsaje—na wschód od nich.

Co do cech fizycznych, to Afganie są smukli, lecz dobrze zbudowani, szczególniéj Durani i Gilsaje odznaczają się niezwykłą siłą. Włosy mają ciemne i bujne, oczy czarne i pełne ognia. Nosy orle i gęste brody nadają ich fizyonomii wiele powagi. Kolor skóry u wschodnich plemion (Berdurani), podobnie jak u Indusów ciemny, u zachodnich oliwkowy. Piękność ich powierzchowności podnosi jeszcze obfitość uzbrojenia i strój malowniczy, o który więcéj dbają niż o swe mieszkania, składające się z namiotów ze skóry baraniéj lub domów z niepalonéj cegły.

Język Afganów zwany Paszto albo Pakto, należy do pnia indoeuropejskiego; nie jest on dyalektem perskiego lub indyjskiego, lecz stanowi mowę samodzielną, mającą pewne cechy wspólne z obydwoma powyższemi językami i dzieli się według tego na dyalekt wschodni i zachodni. Z biegiem czasu, gdy powstawały nowe pojęcia, nowe potrzeby, a do ich wyrażenia nie było w ubogiéj i nieokrzesanéj mowie afgańskiéj wyrazów, weszło do niéj wiele wyrazów perskich i arabskich. Dźwięki afgańskiéj mowy są twarde i gardłowe „jak gdyby zimny wicher, pędzący ze śnieżnych szczytów Hindukuh, zmuszał mówiących do przymykania ust“. To téż Persowie żartują sobie z nieokrzesanéj mowy Afganów: Burnes opowiada, iż w czasie jakiéjś uroczystości w Kabulu pewien dowcipny Pers występował jako komik i improwizator. Chcąc przedstawić charakterystyczne cechy różnych narodów, obrał sobie temat: jak umarli każdego z nich będą przyjmowani przez proroka u bram raju (na straży których umieścił Heratczyka, jako przebiegłego i chciwego urzędnika celnego). Otóż, gdy między innymi zapukał Afgan, Prorok nie zrozumiał jego barbarzyńskiéj mowy, uznał, że jest mową piekieł i że dla mówiących nią nie ma miejsca w niebie. Dykteryjka ta przypomina podobne o niektórych trudnych do wymawiania europejskich językach: o czeskim np. istnieje dykteryjka, że gdy przesłano pierwszą telegraficzną depeszę po czesku, drut telegraficzny porozrywał się. O biskajskim zaś powiadają, że dyabeł uczy się go w Bilbao przez lat wiele, lecz w końcu uciekł biedak, nie mogąc nauczyć się więcéj nad trzy słowa itp.

Przemysł i handel stoją u Afganów na niskim stopniu; zajęcia te pozostawiają oni Tadżikom, sami zaś prowadzą życie koczujące,

pasterskie; tylko ci, co zamieszkują żyzne doliny nadrzeczne, np. dolinę Hilmendu, także niektóre doliny Solimanu, a głównie doliny Kunaru, Pandżikory i Swatu (Isufsai), zajmują się rolnictwem. Koczujące ruchliwe życie Afganów wpłynęło na rozwój poczucia swobody, niezależności i odwagi—cech charakteru, któremi Afganie różnią się wybitnie od swych niewolniczych i tchórzliwych sąsiadów, osiadłych Indusów i Tadżików. Mimo ciągłych przejść zdobywców przez ich kraj, Afganie nigdy nie byli zupełnie podbici. Odwaga jednak w obec ubogiéj górskiéj lub pustynnéj przyrody, łatwo wyradza żądze rabunków i mordów. a kontrast ubogiéj pustyni z bogactwem, sąsiednich oaz jeszcze bardziéj podsyca tę żądzę: „inni mają ziemię, a my-- siłę“, powiadają Afganie. To téż zdaniem Vambery'ego, żądzą tą Afganie odznaczają się bardziéj nawet, niż na równym stopniu kultury z nimi stojący Semici i Altajczycy; „Bóg niech cię strzeże od zemsty słonia, węża i Afgana“, mówią mohometanie indyjscy. Szczególniéj słyną z odwagi i żądzy rabunków Gilsaje, którzy w 1842 r. zniszczyli całą armię angielską w Khur Kabulskim wąwozie, a 1870 r. wymordowali angielskie poselstwo w Kabulu; także Wasirai w Solimanie i Afrydzi, którzy trzymając w swych ręku wąwozy Khyberskie, pobierają opłatę za wolny przepust karawan lub wojsk. Wszyscy władcy Afganistanu, nawet tacy wojownicy jak Nadir szah, musieli im się opłacać; a jakkolwiek Anglicy po zawładnięciu Indyami, chcąc położyć koniec wycieczkom rozbójniczych górali na dolinę Indu, pobudowali u wyjść z ważniejszych dolin Solimanu (podobnie jak Rosyanie na Kaukazie a Francuzi w Algierze) szereg fortów, to jednak dla bezpieczeństwa muszą się także uciekać do opłat i podarków, a i to nie pomaga, jak tego dowiodły liczne napady górali na tyły angielskich kolumn tak khyberskiéj jak i kurumskiéj w 1878 r.

Owo poczucie wolności. będące wybitną cechą charakteru Afganów, odbija się także w stanowisku kobiety, jak i w ogóle w stosunkach społecznych i politycznych. Kobiety afgańskie nie żyją bynajmniéj w takiém odosobnieniu jak w ogóle na wschodzie i mają daleko więcéj wolności, mają nawet pewne przywileje, przypominające czasy średniowiecznéj szwaleryi: Afganka, która pośle jakiemuś, choćby zupełnie nieznajomemu, mężczyznie swą zasłonę, może być pewną jego pomocy i obrony w potrzebie. Poligamia trafia się rzadko i to tylko u bogatych. Wprawdzie mężczyzni kupują sobie żony, to jest płacą ojcu za córkę pewną sumę, lecz to nie tylko nie wpływa ujemnie na stosunki małżeńskie, ale owszem uszlachetnia i wzmacnia wzajemną sympatyę, wymagając często obopólnéj ofiary. Młody człowiek, nie mogąc często złożyć wymaganéj przez ojca sumy,

udaje się w dalekie strony, nawet do Indyj, na czas dłuższy i tam zebrawszy sobie pieniądze, powraca do oczekującéj nań kochanki, aby osiągnąć cel upragniony. Przysłowie afgańskie oddaje pochwały tamtejszym kobietom: „po bogactwa idź do Indyj, po uciechy do Kaszmiru, po dobrą żonę do Khorossanu“. Według prof. Trumppa, Afganie są jedynym (?) narodem Azyi, u którego wyraz miłość („minah“) pojmowany jest w naszém wyższém znaczeniu.

Zamiłowanie wolności odbija się i w formie rządu: Afganie wyznają pod tym względem też same zasady liberalne, co w ogóle nomadzi azyatyckich stepów. Jak Turkomanie mówią o sobie: „my nie potrzebujemy książąt, myśmy wszyscy równi, u nas każdy królem“, i chwalą się dumnie, że „nie spoczywają ani pod cieniem drzew ani pod opieką króla“; tak podobnież pewien Afgan odpowiedział posłowi angielskiemu, który przedstawiał mu korzyści z porządnie uorganizowanego rządu: „My jesteśmy zadowoleni z naszych kłótni, rozruchów i krwawych zatargów, lecz nie ścierpimy nad sobą żadnéj zwierzchności“. To téż rzeczywiście Afganistan jest zbiorem wielu respublik, po większéj części demokratycznych; Afganie bowiem dzielą się na pokolenia (ulus), a te na podpokolenia, czyli klany (kheil), tych pokoleń i podpokoleń ma być według rachuby afgańskich genealogistów aż 395. Na czele pokolenia stoi chan, na czele klanu malik; maliki zależą od chanów, a ci od emira rezydującego w Kabulu. Jednakże władza tych naczelników jest bardzo słaba: chanowie niewiele zależą od emira, a maliki—od chana. Pojedyńcze jednostki również nie wiele zależą od malików i chanów i ogólne sprawy rozstrzyga zebranie ludowe (dżerga), nieraz bardzo burzliwe. Podpokolenia w częściach kraju górzystych, złożonych z odosobnionych dolin, stoją w bardzo słabym związku z pokoleniem i często odosobniają się powoli, tworząc samodzielne pokolenia; wszystko dąży tu do jaknajwiększéj decentralizacyi. Niektóre pokolenia górskie nie mają nawet chana (Jusufsai, Khyberowie, pokolenia Solimanu) i składające je podpokolenia łączą się ściśléj tylko w czasie wojny. Tylko w zachodniéj części kraju, gdzie rozciąga się szerzéj nieprzerwana górami wyżyna (u Duranów), panuje większa łączność między podpokoleniami; tam też rozwinęła się arystokracya rodowa i władza chana jest nieco silniejsza, zawsze jednak jest on, jak się wyraża Trumpp, tylko „primus inter pares“.

Afganie wyznają religię mahometańską przeważnie sekty sunickiéj, nie są oni jednak zbyt fanatyczni i koran nie ma dla nich takiego uroku, jak dla innych mahometan (szczególniéj w kwestyach prawnych nie posługują się koranem, lecz swém dawném prawem zwyczajowém: „pasztunwal“). Religia jest dla nich tylko płaszczy-

kiem, jeżeli chcą wywrzéć swą osobistą zemstę, wykonać mord lub grabież na ludziach innej wiary. Po za interesem własnym są oni tolerancyjni i wolnomyślni; opowiadają o pewnym wojowniku afgańskim, iż zeszedłszy mollaha na kopiowaniu koranu, zabił go, mówiąc: „ty bezczelny łgarzu! twierdzisz, że ta książka z nieba pochodzi, a ja cię złapałem jak ją sam piszesz“.

W ogóle Afganie są narodem inteligentnym, wrażliwym na każdą nowość, chciwym dowiedziéć się o rzeczach nieznanych; mają oni w swych wsiach i obozach szkółki i znaczna ich część umie czytać i pisać. Z czasem europejska cywilizacya zapewne przyjmie się i rozwinie między nimi lepiéj niż u innych narodów azyatyckiego lądu i zapewni im ważną rolę w cywilizacyjnym postępie Azyi.

VIII.

Rozwój *dziejowy* Afganistanu wyraża się głównie w ciągłych przemarszach przezeń różnych zdobywców do Indyj, którzy po większéj części, chcąc być bezpiecznymi od tyłu, zakładali najprzód państwa w samym Afganistanie. Lecz państwa te w kraju górzystym, wśród plemion wojowniczych, miłujących wolność nie miały silnych podstaw, upadały, a na ich miejsce z chaosu wojen domowych wyłaniały się nowe państwa, również bez silnych podstaw, również nietrwałe.

Przemarsze obcych zdobywców zaczęły się w głębokiéj starożytności, kiedy jeszcze imię Afganów nie było znane. Jakkolwiek bowiem postać Semiramidy jest mityczną, to pochód Asyryjczyków przez ten kraj, według Dunkera, nie ulega kwestyi. Znany jest daléj pochód Aleksandra W., jak również i Seleuka. W ową epókę Afganistan zamieszkiwały po części irańskie, po części indyjskie i mongolskie ludy, wtedy to buddyzm znajdował przez wschodnią część tego „kraju przechodów“ swe ujściowe koryto z Indyj do Azyi północnéj: podczas gdy w zachodniéj panowała religia Zoroastra. Późniéj na początku wieków średnich wtargnęli tu Arabowie, postępując ku wschodowi wzdłuż wyżyny Iranu, wyparli oni pierwotne religie i zaprowadzili islam, który miał następnie przejść stąd do Indyj.

Dotąd nie słychać nic o Afganach, zresztą „Πακτυες“ w wojsku Kserksesa, o których wspomina Herodot, odpowiadają, według Trumppa, dzisiejszym Paktunach. Pierwszą jednak wzmiankę o Afganach pod tą nazwą spotykamy dopiero w VII wieku po Chr. u ich historyka Ferischta. Według niego, Afganie mieszkali pierwiastkowo w krainie Ghor (czyli Ghar co znaczy góry) i stąd wywędrowali na zachód i północ. Z téj wskazówki, oraz ze w skazówki Herodota,

że kraj Paktyika, gdzie mieszkali owi Paktyes, leżał na granicy Indyj, nakoniec stąd, że dawniéj Afganów zwano Sulajmanami, prof. Trumpp wyprowadza wniosek, że pierwotną ich ojczyzną są góry Soliman. Czynnie występują Afganie w historyi dopiero około 1000 r. gdy sułtan Mahmud z Turkiestanu założył państwo Ghaznewidów i na czele Afganów pierwszy z mahometańskich władców przeszedł Indus, jak niegdyś Aleksander W. Lecz w dwa wieki niespełna powstają Afganie, obalają państwo Ghaznewidów, wkraczają do Indyj i zakładają czysto afgańskie państwo Ghoridów. Napady mongolskich zdobywców, Dżengischana w XIII i Timura w XIV wieku, na to państwo chwilowo tylko niem wstrząsnęły. Ale sułtan Baber, potomek Timura, ów „Cezar Wschodu," który w swych „Pamiętnikach" pierwszy dał nam dokładne wiadomości o Afganistanie i Afganach, położył na początku XVI wieku kres ich panowaniu: utwierdziwszy się najprzód w Kabulu, a potém wkroczywszy do Indyj i zwyciężywszy Afganów pod Paniputem w pobliżu Dehli, założył tam potężne „państwo Wielkiego Mogoła." Wtedy Afganistan, rządzony przez namiestników W. Mogoła stał się baryerą między państwem perskiem i państwem W. Mogoła w Indyach (jak obecnie między Rosyą i Anglią). Persowie prowadzili ciągle walki o Afganistan z państwem W. Mogoła i zajęli zachodnią część tego kraju (Herat, Kandahar). Lecz mężne Afgańskie plemię Gilsajów wyparło Persów, a nawet zawładnęło Persyą. Dopiero Nadir 1729 r. wygnał Afganów z Persyi, przeszedł zwycięzko przez Afganistan do Indyj i po bitwie po Paniputem zajął Dehli.

Ze śmiercią Nadira 1747 r. upadło i jego państwo: Achmed szach z drugiego potężnego afgańskiego plemienia Duranów zrzucił nienawistne jarzmo szyickich Persów i koronował się w Kandaharze królem Afganistanu, Achmed powielekroć wkraczał do Indyj i zwyciężywszy Mahratów pod Paniputem, utwierdził tam swą władzę; za jego panowania państwo Afganów dosięgło najwyższéj potęgi i rozciągało się od morza Kaspijskiego do Dżumny i od Oksu do Indyjskiego Oceanu. Lecz już przy końcu XVIII w. państwo to zaczęło się rozpadać w wojnie domowéj między wnukami Achmeda (Firuz, Machmud, Ziman, Szudsza) i wodzami pokoleń z czego korzystali Persowie, wkraczając z zachodu i Sikkowie—ze wschodu.

Nareszcie w 1833 Dost Mohamed z pokolenia Duranów, klanu Baraksai, położył koniec wojnom domowym. Wkroczył do Indyj, pobiwszy Sikksów, rozszerzył swe granice ku wschodowi i zaczął panować w Kabulu nad szczuplejszem już państwem, przyjąwszy tylko tytuł księcia (emir). Za panowania Dost Mohameda zaczęły się już w Afganistanie krzyżować interesa rosyjskie z angielskiemi i powsta-

ła rywalizacya dwóch potęg, Romy i Kartagi naszych czasów, lądowego „niedźwiedzia,“ co wstrząsa kratami kontynentalnego więzienia, i morskiego „polipa“, co ramionami swemi osnuł wszystkie wybrzeża. Wtedy już spotkali się tutaj wysłannicy obu państw, oficerowie Witkowicz i Burnes (jak późniéj Stoletow i niedopuszczony do Kabulu Chamberlain). Anglicy nie mieli szczęścia w dyplomacyi, wypowiedzieli więc wojnę Dost Mohamedowi. W 1839 r. wojska angielskie wkroczyły przez Khyber i Bolan, zajęły Kandahar, Ghaznę i Kabul, wzięły w niewolę Dost Mohameda a osadziły na tronie wygnanego w czasie wojen domowych szacha Szudszę. Anglicy sądzili, że Afganistan stał się lennėm państwem, lecz nie znali kraju i jego mieszkańców: nastąpiło smutne rozczarowanie. Już 1841 r. w zimie, gdy pomoc z Indyj była niemożebna, wybuchło powstanie pod wodzą syna Mohamedowego Akbara. Armia angielska, stojąca w Kabulu pod wodzą generała Elphinstona, zmuszona została do odwrotu, podobnego do odwrotu Francuzów z Moskwy; w tym bowiem odwrocie, w czasie srogiéj zimy na początku 1842 r., armia angielska została w wąwozie Kurd Kabulskim do szczętu zniszczona; Anglicy przekonali się dotkliwie o trafności słów Achmeda szacha: „Niedowierzajcie memu ulowi: pszczoły w nim są, ale miodu nie ma.“ Jeden tylko człowiek z dwudziestotysięcznéj armii uszedł do Dżellalabudu, aby dać znać trzymającym się tam Anglikom o straszliwej klęsce... Wprawdzie tegoż samego jeszcze roku Anglicy pod wodzą Polloka wkroczyli znów przez Khyber, zajęli Kabul i pomścili klęskę, ale zawsze znaczenie ich w Azyi centralnéj zostało zachwiane. Nauczeni doświadczeniem pierwszéj wyprawy, cofnęli się oni szybko z Afganistanu, pozostawiając go swemu losowi. Dost Mohamed wypuszczony z niewoli znów objął rządy kraju. Raz jeszcze miał on zamiar wystąpić przeciw Anglikom i wkroczył do Indyj dla wsparcia Sików, lecz gdy ci zostali pobici przez Anglików, Dost Mahomed powrócił do kraju i żył odtąd w zgodzie z Anglikami, powiększając swe państwo zdobyczami na północ Hindukuh i Heratem odebranym po długich walkach Persom.

Po śmierci Dost Mohameda 1863 r. wstąpił na tron syn jego Szir-Ali, lecz wkrótce zmuszony był prowadzić walkę z braćmi ze zmiennėm szczęściem, tak iż na dwa lata (1866 do 1868) utracił tron. Anglicy „sparzywszy sobie już raz palce po za Solimanem,“ przypatrywali się obojętnie, z „mistrzowską (?) bezczynnością“ téj wojnie domowéj i na prośbę Szir-Alego o pomoc odpowiedzieli życzeniem pogodzenia się z losem. Od tego czasu datuje nienawiść Szir-Alego do Anglików, którzy w nieszczęściu opuścili go, a gdy potém, dzięki swemu zwycięztwu pod Ghazną, tron odzyskał, znów weszli z nim

w przyjazne stosunki. Jednak Szir-Ali umiał nienawiść swą do czasu pokrywać i złudzić Anglików pozorną przyjaźnią.

Tymczasem wskutek układu między Anglią i Rosyą 1872 r., że Amu-Daria ma stanowić granicę interesów i zawojowań rosyjskich i angielskich (jak niegdyś Ebro—rzymskich i kartagińskich), granice Afganistanu rozciągnęły się na północ do Amu-Darii, a niedługo potém Rosyanie, zawojowawszy 1873 r. część Chiwy a 1875 Khokand, stali się bliskimi sąsiadami Afganistanu i zawiązali z nim ściślejsze stosunki. Od tego czasu Szir-Ali zaczął coraz jawniéj okazywać swą niechęć Anglikom, którzy obawiając się o swój wpływ w Afganistanie, porozumieli się z Beludżystanem i obsadzili warownię Quettah u wyjścia wąwozu Bolan, klucz do Afganistanu z południa. Niechęć obustronna wzrastała; tymczasem wybuchła wojna wschodnia. Rosya, chcąc odpłacić Anglikom za sprzyjanie Turcyi i narobić im kłopotów, wysłała 1878 r. poselstwo Stoletowa do Kabulu; niebawem toż samo uczynili Anglicy, lecz ich poselstwo pod naczelnictwem Chamberlaina zostało wstrzymane przez Afganów w Khyberze pod fortem Ali-Muszid. Rękawica rzucona tym sposobem Anglii została podjęta: wojska angielskie trzema kolumnami przez Khyber, Kurum i Bolan wkroczyły do Afganistanu, opanowały wszystkie ważniejsze wąwozy, zajęły Kandahar i zbliżały się ku Kabulowi; Rosyanie zaś pozostawili Afganistan własnemu losowi, bo kongres berliński sparaliżował ich plany. Szir-Ali umarł ze zmartwienia, pozostawiając tron synowi Jakub-Chanowi.

Nowy emir, widząc grożące niebezpieczeństwo, zawarł pokój w Gundamuk (1879 r.), na zasadzie którego Anglicy opuścili Afganistan i tylko pozostawili w Kabulu swego rezydenta majora Cavagnari z liczném poselstwem. Jednakże Gilsajowie wkrótce podnieśli bunt i angielskie poselstwo zostało wymordowane. Anglicy musieli po raz drugi wkroczyć do Afganistanu (1879); przeszli Khyber i Szutargardan, zdobyli Kabul, pomścili się na mordercach, wzięli do niewoli Jakub-Chana, posunęli granicę swych posiadłości do zachodniego Solimanu i gór Amran, osadzili garnizony w Kandaharze i Kabulu i zaprowadzili w Afganistanie rządy wojskowe. Ale Gilsaje ciągle się burzyli. Ghazna, owe skaliste gniazdo, stała się ogniskiem powstania; Anglicy zdobyli ją, ale obawiając się ciągłych zamieszek, osadzili na tronie Abdurrahmana, wnuka Dost Mohamedowego i znowu opuścili Afganistan (1880 r.), nie mieszając się w jego sprawy.

I znów lat kilko upłynęło, Rosya tymczasem, usadowiwszy się na wschodzie morza Kaspijskiego, zdobyła oazę Achal-Teke i zaanektowała Merw. I dopiero teraz, gdy Rosyanie stanęli już prawie u wrót Heratu, Anglicy zaczynają wchodzić w ściślejsze przymierze

8*

z Afganistanem (zjazd Abdurrahmana z lordem Dufferinem w Rawul-Pindi).

„Afganistan, pisał przed kilku laty Vambery, jest pionem na politycznéj szachownicy Azyi centralnéj, a czy prędko wystąpi król-Rosya; to niedaleka przyszłość okaże. Lecz w każdym razie Rosya przy obecném swém stanowisku w Azyi centralnéj może robić Anglii tylko wiele niespodzianek i kłopotów; może nawet zdobyć się na jaką szaloną wyprawę pod wodzą śmiałych i awanturniczych Skobelewów, ale będą to tylko wyprawy *à la* Timur bez trwałych rezultatów; o nowéj wyprawie Aleksandra W. (lepiéj Babera) do Indyj z trwalym rezultatem, to jest zniweczeniem potęgi angielskiéj w Indyach mogłaby być tylko wtedy mowa, gdyby Turkiestan z Rosyą łączyły nie trudne do przebycia ścieżki przez suche stepy, lecz szyny kolei żelaznéj“ (1).

A obecnie szyny takie biegną już właśnie wzdłuż północnych stoków Kiurrendagu!....

IX.

Na tém kończymy niniejszy zarys Afganistanu, zwrócimy tylko jeszcze w *interesie geografii uwagę*, że nie pisaliśmy go jedynie dla

(1) Odprowadzenie wód Amu-Darli (Oxus) do morza Kaspijskiego mogloby również o wiele zwiększyć szanse Rosyan w rywalizacyi ich z Anglią w Azyi centralnéj, otworzyloby bowiem nieprzerwaną drogę wodną od Newy do Hindukuh i ożywiłoby pustynię przesmyku Truchmeńskiego, w któréj armie Perowskiego (1839 r.) i Markozowa (1872 r.) w wyprawach na Chiwę tak wiele ucierpiały i niedopięły celu. To téż podawana przed kilku laty przez gazety wiadomość, że Amu-Daria, przerwawszy tamę pod Bend w Chiwie, płynie „dawném korytem“ ku morzu Kaspijskiemu, narobiła wiele hałasu i wywołala naukowe ekspedycye w celu zbadania wylewu oraz w celu zbadania kwestyi, czy Amu-Daria łączyła się niegdyś z morzem Kaspijskiém, jak to ze starożytnych autorów zdawalo się wynikać. W ostatnich czasach kwestyę tę badal inżynier Konszin i twierdzi, że Usboj nie jest dawném korytem Amu-Darli do morza Kaspijskiego, za jakie go dotąd uważano, lecz szeregiem zagłębień śród stepu, podobnych do rosyjskich bałek (Peterm. Mit. 1884 str. 35).

Fakt ten nie wyklucza naturalnie możliwości dawnego połączenia Amu-Darii z morzem Kaspijskiém inną drogą; w każdym jednak razie nie ma żadnego dowodu na to, aby w historycznych czasach Oxus wpadał do morza Kaspijskiego. Przytaczane dotąd dowody opierały się na niedość krytycznych rozbiorach ksiąg starożytnych, albowiem dowód czerpany z Herodota upada wobec tego, że autor ten pomięszał Oxus z Araxem, mającym dawniéj rzeczywiście samodzielne ujście do morza Kaspijskiego; co zaś do dowodu, czerpanego z Eratostenesa (cytowanego przez Strabona), mianowicie—dowodu polegającego na świadectwie Patroklesa, żeglarza wysłanego przez Seleuka Nikatora dla opłynięcia morza Kaspijskiego, to jakkolwiek żeglarz ten wzmiankuje rzeczywiście o ujściu Oxu do morza Kaspijskiego, jednakże, jak to okazał K. Neuman, popełnił też błąd biorąc wąskie ujście zatoki Kara-Bogaz za ujście Oxu (Ob. Zeitschr. für Wissenschaftliche Geographie 1885 s. 271, 272).

zadość uczynienia ciekawości chwili obecnéj, owszem, staraliśmy się traktować rzecz z umiejętno-geograficznego stanowiska, przeprowadzić pewną ideę. Mianowicie staraliśmy się w myśl Rittera, tego twórcy geografii umiejętnéj, rozważać fizyczne cechy kraju w stosunku ich do człowieka, narodu, do dziejów; staraliśmy się głównie zaznaczyć te zjawiska, które w rozwoju czasu noszą na sobie cechę niezmienności, cechę ogólnych praw. Oto synteza tych zjawisk.

Położenie Afganistanu uczyniło go jedyną niemal drogą do bogatych Indyj i oto najwięksi zdobywcy od czasów najdawniejszych do naszych przechodzą przezeń lub przynajmniéj marzą o tém (Napoleon I (1)). Górzysta i pustynna przyroda kraju uczyniła go bezdrożnym, tylko niektóre wąwozy i niektóre doliny rzek wśród pustyń są stosunkowo dogodne do przejścia i oto temi sami wąwozami, temi samemi drogami przechodzą wszyscy zdobywcy, tak, iż pochód jednego jest powtórzeniem pochodu drugiego. W punktach przecięcia się dróg powstają niesłychanie ważne warownie. o które państwa staczają uporczywe walki, bo zajęcie ich przez jedno jest groźném, nawet zgubném dla interesów drugiego. Lecz te drogi, prowadzące do bogatych Indyj, nietylko strategiczne mają znaczenie: najodleglejsze narody, nawet Chińczycy, tędy prowadzą handel z Indyami, a tego handlu nie mogą zniszczyć ani ciągłe przemarsze armii, ani wywołany przyrodą kraju łupieski charakter plemion afgańskich; nadaje on tylko kupcom wojenny charakter (Powindah); punkta przecięcia się dróg są nietylko warowniami, lecz zarazem emporyami, gdzie zbiegają się kupcy różnych narodów. Okolica, gdzie najbardziéj krzyżują się drogi we wnętrzu kraju, hydrograficzny, a więc i drogowy jego węzeł, była punktem wyjścia władzy politycznéj nad Afganistanem (podobnie jak wyżyna Wałdajska na nizinie Sarmackiéj (2)) i wpływu na Indye hydrograficznie z nią połączone (podobnie jak półwysep Bałkański z niziną Sarmacką). Lecz owa władza polityczna nad zbiegowiskiem ludów, które tu osiadły w niedostępnych górach lub koczowały na stepach, nie mogła być silną; niektóre ludy utrzymały zupełną niepodległość, zależność innych była zawsze luźna. Ztąd i państwa same były nietrwałe, témbardziéj, że leżały na odwiecznéj drodze zdobywców. Różnorodność ludów, odosobnienie ich przez przyrodę nie dozwalały na ich zlanie się w jeden

---

(1) Ob. Revue des Deux Mondes 1882 str. 635, 636.

(2) Z tą różnicą, iż rzeki Sarmackie były bezpośredniemi drogami wodnemi, rzeki zaś afgańskie służyły za komunikacyjne arterye tylko pośrednio, umożliwiając drogi lądowe. (Ob. W. Nałkowski. Rzeki Wałdajsko Sarmackie. Przewodnik Naukowy. Lwów 1877).

naród, owszem każdy z tych ludów jeszcze porozdrabniał się na pokolenia i podpokolenia, bez dostatecznéj między sobą łączności, z ciągłém dążeniem do decentralizacyi, partykularyzmu. Życie wśród gór, koczowanie wśród stepów rozwinęło zamiłowanie wolności w tych ludach, które jakkolwiek wskutek braku spójni między sobą nie były wstanie przeszkodzić obcym zdobywcom do zakładania w ich kraju państw, lecz zawsze umiały prędzéj lub późniéj obalić je a w czasie ich istnienia być tylko nominalnie podległemi. Afganistan więc, podobnie jak np. Albania, Irlandya itd. należy do tych krajów, w których z powodu rozdrobnienia przez przyrodę, a ztąd i braku spójni między mieszkańcami, łatwym jest najazd, ale trudnym pokój; kraje takie są jak owe niższe organizmy zwierzęce, nie posiadające jednego głównego organu życia, których każdy organ żyje życiem odrębném i których z tego powodu niezmiernie trudno zabić. Tylko na niektórych żyznych dolinach rzek wśród stepów i pustyń powstało w Afganistanie obok życia koczującego, wolnego, życie osiadłe, niewolnicze—zjawisko powtarzające się często wśród stepów i pustyń. Ten to osiadły lud stanowił głównie poddanych całego szeregu zmieniających się państw, nie biorąc udziału w wywołaniu tych zmian, które dlań były tylko zmianami jarzma. Przeciwnie ludy górskie i nomadyczne, biorąc czynny udział w tych rewolucyach i zmianach, gdzie, jakby w jakim chaotycznym natłoku, jeden drugiego potrącał, popychał, obalał, by z kolei uledz temuż losowi, wyrobiły w sobie waleczność, energię, spotęgowały ruchliwość, która się objawiła bądź w wyprawach wojennych na sąsiednie kraje, jednak bez trwałego rezultatu, bądź w emigracyach do bogatych Indyj. Oro-i hydrograficzny podział kraju na dwie (lub trzy) pochyłości wywołał dwa (lub trzy) różne etnograficzne, a poczęści i polityczne wpływy: perski i indyjski (a po części i mongolski). Obecnie z osłabieniem państwa Perskiego, z zajęciem Indyj przez Anglików, a Turkiestanu przez Rosyan, Afganistan stał się ścianą dzielącą te dwie nowe potęgi i już uległ wpływowi obu, już po niedługim spokojnym peryodzie nastąpił dlań nowy peryod przemarszów i rewolucyj. Afganistan pod względem powyższych zjawisk geograficznych przedstawia wiele analogii ze Szwajcaryą i Hiszpanią, zwłaszcza jeżeli pojęcie geograficzne pierwszéj rozszerzymy nieco wzdłuż alpejskiego łuku. Wtedy i ona zamknie tak dostęp do bogatéj i rozkosznéj Italii, jak Afganistan do Indyj, wtedy znajdziemy w niéj przyrodę górską i formę Karstu i zdobywców przeciągających przez nią odwiecznemi drogami i wąwozami do uroczych równin Lombardyi; znajdziemy życie osiadłe obok pasterstwa na almach, znajdziemy różne wpływy etnograficzne, odpowiadające różnym pochyłościom

dolin rzecznych, znajdziemy ludy republikańskie z silném zamiłowaniem swobody, których jednak krwią dokonywali obcy zdobywcy podbojów, znajdziemy Kurd Kabul w Morgartenie itd. Podobnie wiele analogij z pół wyspem Pirenejskim wprawdzie nie co do położenia, ale pod względem budowy pionowéj i hydografii, oraz wynikających ztąd stosunków etnograficznych. Na półwyspie Pirenejskim znajdujemy także silny rozwój prowincyonalizmów, odrębności etnograficzne, a po części i polityczne, dawniéj daleko wybitniejsze, obecnie po części stłumione w walce z centralistycznemi dążeniami obszernego wewnętrznego płaskowzgórza (Kastylia) znajdujemy toż samo zamiłowanie wolności i męztwo (wyparcie Napoleona I), umiejętność prowadzenia gerilli, a zarazem i rozbójnictwo w górach, znajdujemy Kafirów w Baskach, dumnych z tego, że „kopyta arabskich hufców nie tratowały nigdy ich ziemi;" znajdujemy nawadniane sztucznemi kanałami przestrzenie (vegas) obok pustyń (campos) i życie osiadłe obok pasterskiego (merinos) itd.

Te i tym podobne objawy etnograficzne i dziejowe są, jak widzimy, bardzo wyraźnemi funkcyami fizyko-geograficznych warunków. Afganistan, podobnie jak, Szwajcarya i Hiszpania, przedstawia bardzo wdzięczne pole dla owych wyżéj wspomnianych umiejętno-geograficznych badań, tak, iż mimowoli przychodzą tu na myśl słowa Cousina: „przedstaw mi mapę kraju, jego postać, klimat, wody, wiatry, całą jego geografię fizyczną; podaj mi jego płody naturalne, jego florę, faunę itd. a obowiązuje się powiedzieć ci *a priori*, jakim jest człowiek tego kraju, jaką rolę kraj ten odegrał w historyi nie przypadkowo lecz koniecznie, nie w téj tylko epoce, lecz we wszystkich nakoniec ideę, do któréj repezentowania powołany." Są to naturalnie słowa zbyt śmiałe, nie mogą one być krótko terminowym wekslem wystawionym przez geografa, ale w każdym razie przedstawiają wysoki ideał jego wielostronnych badań.

Wacław Nałkowski.

LIRYKA HEBRAJSKA.

(Psalmy. Tłómaczył i objaśnił dr. J. Cylków. Warszawa. 1883).

Dziwne losy spotykają na świecie nie tylko pojedyńcze jednostki i społeczeństwa całe, lecz i pojęcia ludzkie, a nawet słowa. Ze szmeru nieodgadnionego, z ruchu, którego przyczyn nie mógł pierwotny wytłómaczyć sobie człowiek, powstały w jego wyobraźni zastępy duchów, mających w przyszłości rozpaść się na dwa obozy, dobrych i złych. Z okrzyku trwogi lub rozpaczy, którym swą niemoc wyrażał Akkad starożytny, wynikło tajemnicze zaklęcie. Z biegiem zaś czasu owemu zaklęciu nadaną została, przez nieświadomych pochodzenia jego, moc cudowna nad siłami przyrody; zmieniać więc ono miało naturalny rozwój wypadków, przeistaczać własności ciał, uzdrawiać chorych, udzielać jednym władzę nad drugimi, tych z przestępstw lub zbrodni uniewinniać, tamtym nakładać przez życie całe nierozwiązalne więzy, przykuwające ich do osób lub urządzeń. Ciche w Jerozolimie stowarzyszenie kilkuset żydów, oczekujących powrotu na ziemię skazanego na śmierć przez kapłanów mistrza swego, zawiązane w celu łatwiejszego i odpowiedniejszego oczekiwania, przetworzyło się w Europie we wspaniałą instytucyę religijno-polityczną, którą przenieść do innych części świata, zaszczepić we wszystkich plemionach sili się oddawna europejczyk.

Podobnież dziwnym losom podlegają niekiedy i utwory piśmienne.

Jeden z takich utworów w przekładzie nowym na nasz język przedstawia nam dr. J. Cylków. Jest to hebrajska *Sefer tehillim.*

Nowa a piękna szata, w którą przyobleczoną została ta księga, powinna zachęcić do przypomnienia sobie jéj treści, oraz poznajomienia się, chociażby pobieżnego tylko, z jéj dziejami.

1.

Pierwszy wyraz tytułu, *sefer*, daje się dosłownie przetłómaczyć, na nasz *księga*. Drugi, *tehillim*, pochodzi od słowa *halal* (błyszczał, świecił; zrobił błyszczącym, sławił) i oznacza dosłownie: *chwała*, *pochwała*, *pieśń chwaląca*. W przekładzie na język grecki *Sefer tehillim* brzmi *psalmoi*, skąd nasze *psalmy*, lub *księga psalmów*.

Więc jest to ta księga, z któréj pieśni rozlegają się obecnie we wszystkich językach po wszystkich świątyniach każdego z wyznań chrześciańskich, a wszedłszy do rytuału kościelnego w języku obrzędowym, towarzyszą wszystkim od kolebki do grobu ważniejszym aktom życia pojedyńczego człowieka, o ile w nie wchodzi, sankcyonując je, żywioł religijny.

Jeżeli wprowadzenie pieśni z *Sefer tehillim* do świątyń chrześciańskich wyjaśnia ta okoliczność, że świątynie te są wzniesione właśnie ku czci tego samego Jehowy, którego imię sławią te pieśni, to czyż w tym fakcie, że dotychczas jeszcze są używane, jak przed kilkunastu wiekami, nie uwydatnia się przyznanie, że nad te pieśni nic godniejszego dotychczas i dla obrzędów stosowniejszego nie utworzyły uczucie i wyobraźnia tylu narodów?

Utwory, zawarte w *Sefer tehillim*, raz będąc uznane i podane za najwyższy szczyt liryki religijnéj, służyły dla wyrażenia uczuć religijnych w chwilach najwyższego ich podniesienia i natężenia, bądź w rozwoju dziejowym narodu, bądź też w życiu pojedyńczego człowieka. Przy śpiewie psalmów szły na siebie hufce uzbrojone, by orężem udowodnić wyższość swych twierdzeń dogmatycznych nad twierdzeniami przeciwników. Przy śpiewie psalmów postępował orszak żałobny, odprowadzający na miejsce palenia skazanego na stos za błędne przedstawianie sobie tajemniczego związku i pochodzenia trzech osób, stanowiących jedynego boga, lub nienależyte pojmowanie działania łaski i skutków odkupienia. A nuta psalmów, wraz z towarzyszącym jéj trzaskiem płonącego ogniska, była wtedy ostatnim dźwiękiem, który słyszał skazaniec, ostatniém pożegnaniem, przesyłaném przez ludzi pozostających przy życiu, rozpływającéj się w nicość istocie ludzkiéj. Nie własnymi, lecz słowami psalmów wyraża człowiek swe żale, tłómaczy postępki, usprawiedliwia winy, gdy w chwili porachunku z sumieniem, odbywa akt religijny pokuty i postanawia zerwać z przeszłością.

Nie mniejszém przytém jest znaczenie téj księgi w dziejach estetycznego wychowania każdego narodu, w rozwoju jego piśmiennictwa. Od przyswojenia sobie jéj w przekładzie na język własny roz-

poczynał się zwykle ruch piśmienniczy. Na niéj kształcili się poeci. Tłómaczeniem z niéj stawiali pierwsze kroki w swoim zawodzie. Naśladownictwo udatne wyrabiało im rozgłos i sławę. Ona dostarczała wyobraźni szczytnych obrazów, pięknych zwrotów i porównań językowi.

Tłómacze atoli i naśladowcy najczęściéj poznawali księgę Psalmów nie w oryginale, lecz tylko w przekładzie łacińskim. Przekład z przekładu dokonywany nie wyrażał naturalnie ni mocy oryginału, ani téż mógł uwydatnić wszystkich odcieni myśli. A gdy rymy właściwe nowym językom zastąpiły prozę łacińską, która częstokroć zupełnie zaciera paralelizm hebrajskiéj poezyi, wtedy zarówno w formie, jak i w treści napróżnobyśmy szukali blizkiego podobieństwa do oryginału. Przekłady więc z hebrajskiego stają się od czasu do czasu koniecznymi. Potrzebie téj u nas uczynił zadosyć przekład d-ra Cylkowa, dokonany z oryginału.

2.

Księga Psalmów składa się ze 150 różnych co do długości utworów lirycznych. Jedne z nich bowiem liczą zaledwie po kilka, inne zaś po sto kilkanaście, a nawet sto kilkadziesiąt wersetów, jak CXIX (wersetów 176). Większość tych utworów ma nad sobą jeszcze nadpisy, złożone z dwóch lub więcéj wyrazów.

Dr. J. Cylków przekład swój Psalmów poprzedza wstępem, w którym, między innemi wiadomościami, tyczącemi się tych utworów, wyjaśnia pochodzenie istotne wyrazów, spotykanych w nadpisach. Rzuca to nowe światło na cel ich, oraz rozwiązuje kilka spornych dotychczas kwestyi, co do ich znaczenia prawdziwego.

W napisach, złożonych z dwóch wyrazów, pierwszy określa bliżéj charakter utworu. Spotykamy więc: dumania, modlitwy, elegie, pieśni śpiewane przy towarzyszeniu instrumentów muzycznych, śpiewy, którym żaden instrument nie wtóruje. Niektóre pieśni noszą jeszcze specyalną nazwę; bywają więc: pochwalne, dziękczynne, żałobne, erotyczne, pieśni pielgrzymów. Nadto, wskazaném bywa szczególne przeznaczenie utworu: na pamiątkę, dla nauczania, na świadectwo, na dzień odpoczynku, na poświęcenie domu bożego, do śpiewania w chórach, w których rozmaite głosy na przemian się odzywają. Drugi wyraz w dwuwyrazowych nadpisach podaje imię autora danego utworu.

Nadpisy kilkuwyrazowe rozpoczyna wyraz *lamnaceach*. Użytym on jest 53 razy. Otóż co do znaczenia tego wyrazu zdania były różne. Dr. J. Cylków wyprowadza go, jak się domyślam, od słowa

syryjskiego: נצח (*nacach*), w hebrajskim używanego tylko w formie *piel* i oznaczającego *przewodniczył*, *rozpoczynał śpiew*. W takim razie byłby to imiesłów *menaceach* i oznaczał by: *przewodniczący w śpiewie*, a jako rzeczownik—*przewodnik* w śpiewie, czyli chóru. Zgłoska *la* jest przyimkiem i oznacza 3-ci przypadek. Więc *lamnaceach* znaczy dosłownie *przewodnikowi chóru*, a w nadpisie, jak wnosimy, oznaczać może, że dany utwór powierzony został przewodnikowi chóru do podłożenia według wskazówki pod muzykę lub rozłożenia na głosy.

Za tym wyrazem idzie zwykle inny, oznaczający nazwę chóru. W nadpisach wymieniono ich dziewięć. Jedne chóry są nazwane od imienia naczelnika rodu lub samego przewodnika. I tak, jest chór *Machalat*, synów Machola; chór *Gitit*, synów Obed Edoma z Gat, chór *Bena*. Inne są nazwane od liczby i rodzaju członków. Są przeto: *Alamot*, chór dziewic; *Szeminit*, w którym ośm głosów przeważa; *Szoszanim*, w którym sześć głosów. Nareszcie nazwy dwóch pochodzą od używanego instrumentu: *Nechilot*, chór, któremu wtórowały flety, czy też instrumenta dęte; *Neginot*, chór z towarzyszeniem instrumentów smyczkowych. Częstokroć w nadpisie wskazaną jest jeszcze melodya psalmów. Dla tego celu użytym jest tylko początek jakiéj dobrze znanéj pieśni. Wyrazy w nadpisie: *Gołębico, niema dali. Nie zatracaj, Łanio zorzy*, oznaczają, że dany utwór ma się śpiewać na nutę przytoczonéj pieśni. Wyraz *Sela*, ile razy w Psalmach użyty, ma według d-ra J. Cylkowa oznaczać, że w tém miejscu potrzeba dać sygnał orkiestrze, aby uderzyła w bębny.

Po takiém dopiero objaśnieniu nadpisy są zrozumiałe. Naprzykład, nadpis Psalmu VI dr. J. Cylków przetłómaczył w następny sposób: Przewodnikowi chóru, przy towarzyszeniu instrumentów smyczkowych, na ośm głosów, Psalm Dawida. W poprzednich przekładach nadpis ten brzmiał: Przedniejszemu śpiewakowi na Neginot i Seminit, Psalm Dawida. Ta nazwa chórów była wzięta za nazwę instrumentów muzycznych, na których celował ów przedniejszy śpiewak. Nadpis Psalmu XXII brzmi w przekładzie nowym: Przewodnikowi chóru, na nutę „Łanio Zorzy“, pieśń Dawida. W dawniejszym: Przedniejszemu śpiewakowi na czas poranny psalm Dawida. Lub nakoniec Psalm LIII w nowym: Przewodnikowi chóru Machotów, dumanie Dawida. W dawniejszym: Przedniejszemu śpiewakowi na Machalat pieśń Dawidowa nauczająca.

Nadpisy rzeczone dwojaką oddają usługę. Po pierwsze, świadczą jak wysoko stało wykształcenie muzyczne i jak umiejętnie traktowano muzykę, skoro urządzone były chóry tak specyalne, skoro znano tyle melodyi, tyle pieśni było popularnych, że dość było wspomnieć początek jakiéj, by nauczyć, jak nową śpiewać należy.

Po drugie, co dla nas jest jeszcze ważniejszém, nadpisy wykazując autorów, pozwalają określić datę psalmu; wiążąc pieśni z życiem rzeczywistém, pozwalają szukać w pieśni odblasku onego życia.

I tak. Mojżesz jest podany za autora Psalmu XC; król Dawid za autora 74-ch psalmów; Salomon za autora dwóch (LXXII i CXXVIII); Asaf, syn Berechiasza, wieszcz współczesny Dawidowi—dwónastu; Synowie Koracha—jedénastu. Tak więc—na podstawie nadpisów połowa Psalmów jest utworem Dawida, a na ogół znani są autorowie dwóch trzecich części pieśni. Przytém te, które nie są Dawidowe, lecz których autorowie są znani, pochodziłyby z jego czasów, lub blizko po nim idących.

Wreszcie nadpisy te, określając bliżéj rodzaj poezyi, wskazując chóry, które miały wykonywać pieśni, i nakoniec, podając imiona autorów, dowodzą zupełnego braku wszelkich podstaw w układzie Psalmów w tym zbiorze, wszelkiego porządku w następstwie jednego po drugim. Biorąc Psalmy w porządku chronologicznym, należało by Psalm Mojżesza postawić na czele, po nim pomieścić 74 Dawidowe, następnie współcześników jego, Salomona i dopiero inne późniejsze, czy téż tylko nie znanych autorów. Tymczasem Psalm Mojżesza pomieszczonym został na 90-tém miejscu, a 74 Dawida poprzekładane rozmaitemi innemi, znanych lub nie znanych autorów. Zachowując inny porządek, należało by ułożyć je, bądź według chórów, bądź téż według rodzaju utworów. Tymczasem, za pieśnią Dawida idzie dumanie Asafa; za chórem Machalat chór Neginot. Co tém bardziéj zadziwia, że w tym zbiorze, z kilku zaledwo wyjątkami, wszystkie utwory noszą charakter religijny.

3.

Pomniki starożytnego piśmiennictwa hebrajskiego posiadają szczególniejszą własność. W dwojakiéj bowiem postaci stają zwykle przed czytelnikami. Postać owa dwojaka, a stąd i różny ich charakter, wypływa z przypisywanego im pochodzenia dwojakiego. Inne pochodzenie nadaje im tradycya i opierający się na niéj zbieracze lub redaktorowie późniejsi; inne zaś, wyświetlając rozwój historyczny piśmiennictwa, odkrywa krytyka.

Nie inaczéj przedstawia się nam i *Księga Psalmów*. Zbieracze, na podstawie tradycyi, na czele każdego utworu zapisywali imię autora. Tymczasem w niektórych Psalmach, przypisanych Dawidowi (XX, XXI, LXI), autor mówi o królu w trzeciéj osobie lub téż bezpośrednio zwraca się do niego. Przytém spotykają się wyrażenia,

których autor sam do siebie zastosować by nie mógł: „Wielka chwała jego w pomocy twojéj; sławę i świetność włożyłeś nań (XX, 6)“.

Następnie w innych, również Dawidowi przypisywanych Psalmach, autor zwraca się do Jehowy z następnemi słowami: „Obdarz w łasce twojéj Syon, odbuduj mury Jerozolimy (LI, 20).“ Daléj upewnia, że Jehowa „odbuduje miasta Jehudy i osiądą tam (w Judei) i odziedziczą ją, a potomkowie sług jego posiadać ją będą; a miłujący imię jego zamieszkają w niéj (LCIX, 36, 37)“; zwroty te wyraźnie świadczą, że za czasów autora Jerozolima była zburzoną, a więc, że autor żył w czasach, kiedy Judea wchodziła w skład państwa babilońskiego (588—537 przed erą naszą). Nadto zaś, inny w tym samym psalmie ustęp: „obcy się stałem braciom moim i nieznanym dla synów matki mojéj,“ lub: „ty znasz hańbę moją; przed tobą wszyscy ciemiężcy owi (9,20),“ pozwalają zaliczyć autora do rzędu tych synów Judei, których okrucieństwo i polityka królów babilońskich wygnała z ojczyzny. W takim duchu napisany jest Psalm LX, CIII i wiele innych z tych, które za utwory Dawida są podane Psalm CXXXIX nosi na sobie wyraźny wpływ języka aramejskiego; język zaś hebrajski zaczął ulegać wpływom aramejskiego dopiero w III i II stuleciu przed erą naszą, nim zupełnie wyszedł zużycia.

To samo spostrzegamy w Psalmach noszących nazwy innych autorów. Na przykład: w LXXIV autor błaga Jehowę, by pośpieszył do swojéj świątyni, albowiem legła ona w ruinie zupełnéj, wszystko w niéj wrogowie zburzyli, „rzeźby młotem i oskardami rozbijali... (gmach cały) dali na pastwę ognia.“ I kończy temi słowy: „powstań boże, wytocz sprawę swoją i wspomnij na zniewagę wyrządzoną ci przez nikczemnych; nie zapominaj o krzyku nieprzyjaciół twoich (3, 6, 7. 22, 23).“ Psalm LXXIX autor zaczyna tak: „Boże, wtargnęli ludy obce do dziedzictwa twego, znieważyli przybytek święty twój, przemienili Jeruzalem w zwaliska.“ Czyż obrazy kreślone w tych pieśniach odpowiadają epoce najwyższéj potęgi politycznéj państwa żydowskiego? A tymczasem oba te psalmy przypisane są Asafowi, współczesnemu Dawida.

Daléj, porównanie kilku psalmów wykazało, w jaki sposób niektóre z nich powstawały. I tak. Psalm CVIII został utworzony z dwóch, z LVII (8—12) i z LX (7—14). W Psalmie CXLIV odkrywamy kilka wersetów z VIII i XVIII. Psalm LXVIII zawiera w sobie zaledwo kilka wersetów oryginalnych; reszta, są to pozszywane z sobą, a nawet niezupełnie udatnie, oddzielne przysłowia i urywki z poematów dydaktycznych poczęści znanych. Psalm LIII to lekka przeróbka XIV. A jednakże wszystkie te psalmy podane są jako utwory Dawida; więc wynika, że Dawid powtarzał się, przerabiał

sam swoje utwory, lub układał psalmy kompilując innych autorów i korzystając ze zbiorów już istniejących. Lecz to wszystko nie zgadza się zupełnie z oryginalnym i potężnym jego talentem poetyckim, którego posiadamy próbki autentyczne.

4.

Spostrzeżenia te i wypływające z nich wnioski podkopują całkowicie znaczenie tych nadpisów na psalmach, które wskazują ich autorów i, co za tém idzie, datę. Lecz ponieważ na podstawie tylko owych napisów polegało twierdzenie, że *Księga Psalmów* zawiera przeważnie utwory Dawida i jego współczesnych, przeto z usunięciem podstawy upada i samo twierdzenie. Autorowie psalmów pozostają nieznani, data psalmów niewiadomą.

Rezultaty jednakże krytyki nie mogą być tylko negacyjne. Odrzuciwszy wskazówki z zewnątrz pochodzące, należało, w celu otrzymania rezultatów dodatnich, poszukać ich wewnątrz, w treści samych utworów.

Treść dostarcza dwojakiego rodzaju wskazówek. Wzmiankowane fakty polityczne, kreślone obrazy dziejowe stanowią jeden rodzaj. Drugim zaś będzie styl i język. Według pierwszych, aczkolwiek wzmiankowane fakty są zbyt powszechne, a obrazy kreślone tylko w ogólnych zarysach, psalmy rozpadają się na dwie główne grupy, na pochodzące z czasów niezależności politycznéj i swobodnego rozwoju kultu Jehowy i na pochodzące z czasów upadku politycznego i prześladowania religijnego. Według wskazówek drugiego rodzaju, w obu tych grupach dadzą się wyróżnić psalmy wcześniejsze od późniejszych oryginalne od naśladowanych.

Kombinując tak podzielone psalmy ze znanemi z dziejów faktami, krytycy dochodzą do wniosku (1), że na czasy Dawida (1047—1007) wypada zaledwo 10-ta część ogólnéj ilości Psalmów, które mogą być zarówno jego utworami, jak i jego współczesników. Reszta zaś pochodzi z czasów późniejszych. I tak: na dobę dziejową, od podziału królestwa Dawida do końca panowania Hiskii (724—696), wypada psalmów 19. Z ostatnich lat niezależności pań-

(1) Dokładnego pojęcia o całym procesie krytycznym, któremu była poddana księga Psalmów, dostarczy dzieło H. Ewalda: *Die Dichter des alten Bundes. Die Psalmen.*

A nadto, wielce przydatnemi jeszcze być mogą: *Wette*: *Lehrbuch der hist.-kr. Einleitung in die Bibel.* kilka wydań, ostatnie *neu bearbeitet von E. Schrader*. *Fr. Bleek*: *Einleitung in das Alte Testament.* kilka wydań.

stwowéj pochodzi 25. Na czasy zwane niewolą babilońską przypada 29. Okres dziejowy, ciągnący się od czasów odbudowania świątyni do wystąpienia na widownią polityczną rodziny Machabeuszów, wydał 40. Nakoniec z epoki ostatnich walk narodowych, poprzedzających czasy Heroda, 24 (1). Tak więc księga Psalmów obejmuje utwory z peryodu tysiącoletniego dziejów żydowskich (1047—40). Sama zaś powstała z kilku oddzielnych zbiorów, połączonych z sobą tylko mechanicznie, a powstała w czasach, kiedy żydzi, zmuszeni ratować swą narodowość od zagłady, w religii dojrzeli najwybitniejsze znamię swéj odrębności, więc, wytworzywszy sztuczny systemat teologiczny, ogłosili Jehowę bogiem nad bogami a siebie uznali za lud przez niego wybrany. Czego następstwem mogło być tylko wprowadzenie do życia zasad ściśle teokratycznych i uporządkowanie przeszłości na podstawie tych zasad.

Lecz czy czasy Dawida przedstawiają najwcześniejszy okres twórczości literackiéj? Czy *księga Psalmów* przechowała wszystki utwory liryczne?

5.

Poezya liryczna powstawała w każdym narodzie współcześnie z opisową. Gdy bowiem wypadek jaki dziejowy lub podanie o nim, pewne zjawisko w przyrodzie lub tłómaczenie jego dało początek opowiadaniu historycznemu albo legendzie; wrażenie wywołane przez ten wypadek lub zjawisko, budząc uczucie podziwu czy téż trwogi, żalu czy téż radości, uzewnętrzniało się w słowach, wylewało w pieśni.

Przerzucając karty w księgach historycznych narodu żydowskiego, znajdujemy wymowne dowody takiego powstawania pieśni i wśród Hebreów starożytnych, a zarazem natrafiamy na ślady wcześniejszych niż Psalmy Dawida utworów lirycznych. Utworów tych było nie mało. Do każdego bowiem faktu, do każdego podania przywiązano pieśń odpowiednią.

W pieśni Jakób umierający błogosławi zebranych u łoża swego synów (Genezis, XLIX). W pieśni wynurza Mojżesz uczucia swéj radości, skoro ujrzał morze pomiędzy gromadą uciekających z Egiptu żydów a goniącymi ich hufcami egipskimi (Exodus, XV). Pieśń

---

(1) Podaję tu systemat Ewalda. Niezgodność cyfr w sumie z ogólną ilością psalmów pochodzi ztąd, że niektóre Psalmy, jako to 144,66, powstałe z dwóch odrębnych utworów, pochodzących z dwóch różnych epok, należało rozbić na pierwotne części składowe.

poprzedzała zbrojne najście Hebreów na Kanaan (Numer. XXI, 27—31). Jozue, chąc wyzyskać zwycięstwo swoje nad nieprzyjaciołmi, w pieśni wzywa słońce, by się zatrzymało, księżyc, by mu przyświecał (Jozue, X, 13—13). W pieśni wypowiada Debora swój sąd o walczących, w pieśni głosi zasługi pojedyńczych pokoleń, gdy przy zajęciu Kanaanu pierwotnych jego mieszkańców tępili Hebreowie (Księga Sędziów, V). Słysząc niewiasty śpiewające hymn pochwalny na cześć Dawida, zagorzał Saul gwałtowną ku niemu nienawiścią (I Samuel, XVIII, 7—9). Pieśń podnosiła następujące po zwycięstwie uroczystości; w pieśni zgon bohaterów opłakiwano (II Samuel, I, 18; III, 33).

Obok pieśni okolicznościowych, którym dały początek podania narodowe lub wypadki historyczne, znane były jeszcze i inne. Gdy Jefte, podobnie jak Agamemnon grecki, złożył bogu w ofierze na całopalenie swą córkę, „na każdy rok schodziły się córki Izraelskie, aby porozmawiać z córką Jeftego galaadczyka, przez cztery dni w roku (Ks. Sędz. XI, 40)." Porywaniu dziewcząt na żony również pieśń towarzyszyła (Ks. Sędz. XI, 22). Były to więc pieśni obrzędowe, obyczajowe.

Izajasz prorok zapalony gniewem przeciwko Tyrowi, w jednėm ze swych przemówień politycznych, porównawszy to miasto do kobiety nierządnėj, woła w uniesieniu: „wezmij lutnią, obchodź miasto, o nierządnico w zapomnienie podana! Graj dobrze, długo śpiewaj, abyś na pamięć przyszła (XXIII, 17)." Dramatyczna idylla, znana jako *Pieśń nad pieśniami*, jest niby echem tych pieśni erotycznych, o których wspomina Izajasz. Amos prorok, grożąc żydom gniewem Jehowy, upomina zwłaszcza tych, którzy pędzą życie w rozkoszach i na biesiadach i „śpiewają przy lutni, wymyślając sobie naczynia muzyczne jako Dawid (VI, 5)."

Wszak nawet i księga Psalmów wzmiankuje o bardziėj niż psalmy znanych pieśniach, skoro na ich nutę podkładane były nowe.

Mając pod ręką dowody istnienia bogatėj treścią liryki hebrajskiėj, a tylko niektóre przypadkowo przechowane w kronikach okolicznościowe utwory liryczne, możemy postawić pytanie, gdzież się podziały pieśni owe, których żywotności dowodzi sam fakt powstawania, o których rozmaitości świadczy rozmaitość przejawów pełnym nurtem płynącego życia narodowego?

Do *księgi Psalmów* one nie weszły. A ponieważ w zabytkach starożytnego piśmiennictwa hebrajskiego nie znajdujemy innego oprócz tėj *księgi* zbioru utworów lirycznych, więc zaginęły.

Zatém w dziejach żydowskich stało się to, co następnie tylekrotnie powtórzyć się miało wśród innych ludów, w innych krajach, choć w zupełnie zmienionych warunkach. Wyrobiony systemat teologiczny potrzebował ofiar. Pierwszą była literatura. Jak legendy semickie przy przyjmowaniu Chrystyanizmu przez ludy europejskie wyparły literaturę narodową w jéj pełni (grecką i rzymską), lub tylko w zarodku; tak poprzednio téż legendy, obrobione w duchu teokracyi, stłumiły inne utwory, a pieśni religijne—inne pieśni.

Z bogatéj i różnobarwnéj liryki hebrajskiéj pozostało to tylko, co bezpośrednio dało się obrócić na użytek świątyni, lub téż przynajmniéj do takiego użytku przy odpowiedniéj zmianie zastosować.

6.

Krytyka pomników piśmiennictwa hebrajskiego, inaczéj zwana egzegetyką biblijną jest tryumfem niezależności przekonań, dowodem niezwykłéj przenikliwości umysłu, nagrodą usilnéj pracy nielicznego zastępu uczonych, złożonego z przedstawicieli kilku narodów europejskich (holendrów, niemców i w ostatnich czasach francuzów).

Owoce krytyki są cierpkie dla społeczeństwa żydowskiego. Obdzierają bowiem to społeczeństw z ułudy, która, według zdania często spotykanego, bywa, w pewnych zwłaszcza sytuacyach, konieczną. Ma ona bowiem posiadać szczególniejszą własność wpajania w ogół moralności i utrzymywania jednostek na wysokości zadania, wypływającego z rozwoju dziejowego.

Uczeni żydowscy, niechętnie się skłaniając do rezultatów krytyki, nie korzystają z nich zupełnie, a nawet doniosłość ich starają się osłabić. Dowodem tego jest wydawnictwo pomników piśmiennictwa hebrajskiego prowadzone przez nich. Przedrukowują je obecnie tak zupełnie, jak zaczęto je drukować przed czterystu laty, a tendencya lub przypadek ułożyły przed dwoma tysiącami.

Lecz jeżeli w każdym zgoła wypadku wyświecenie rzeczywistego pochodzenia a ztąd i prawdziwego znaczenia danego pomnika jest rzeczą nader ważną, to niechybnie, gdy idzie o przekład jego na jakikolwiek język nowożytny, stanowisko, na jakiém autor stanął względem krytyki, pracy jego nadaje właściwe cechy. Inaczéj bowiem myśl każdą rozumieć, obrazy pojmować, przenośnie objaśniać będzie tłómacz, jeżeli pomnik ten pomieścimy nieodwołalnie w czasach mitycznych, a więc mało dla braku materyałów zbadanych; inaczéj, gdy w epoce historycznéj, znanéj dokładnie z ogólnego bie-

gu wypadków dziejowych, znanéj blisko ze szczegółów. Również inne znaczenie nadawać musi tłómacz każdemu pojedyńczemu wyrazowi, jeżeli autorstwo pomnika przypiszemy jakiéj osobistości historycznéj z czasów odległych, na przykład Mojżeszowi, Dawidowi, Salomonowi, inne, gdy autorem będzie nie pojedyńcza osoba, lecz zbiorowa, kilka po sobie następujących pokoleń, gdy, co najczęściéj się wydarza, zamiast osoby autora odkryjemy wszystkie czynniki zewnętrzne, które na autora oddziaływały i oświetlimy tło dziejowe, na którém autor wzrastał i działał, chociaż pozostaje bezimiennym.

W skutek nieuwzględnienia rezultatów krytyki przez uczonych żydowskich przy wydawaniu pomników hebrajskich oczekuje tłómaczy tych pomników, jak obecnie, praca podwójna: oprócz właściwego przekładu jeszcze nowy układ tekstu. Praca podjęta w celu restauracyi takiéj staje się tém trudniejszą, im z mniejszych całości złożony jest dany pomnik.

Że dr. J. Cylków inne niż wykazane miał na względzie cele, dowodzi tekst hebrajski, pomieszczony obok polskiego. Lecz w każdym razie przekład z uwzględnieniem wszystkim rezultatów krytyki byłby dla nas bardzo pożądany.

Przy takich dopiero przekładach obudzić by się u nas mogło zamiłowanie do przedmiotu tak pięknego a zarazem tak ważnego, jakim jest literatura hebrajska, oraz, udać rozpowszechnienie naukowych o niéj pojęć.

7.

Gdy krytyka rzuciła światło prawdziwe na pochodzenie i autentyczność utworów, składających *Księgę Psalmów*; badania nad historyą ludów starożytnych, z którymi Hebreowie w ciągłych zostawali stosunkach, z którymi byli związani przeszłością i pochodzeniem, rozpoczęte na szeroką skalę w skutek odkrycia autentycznych dokumentów i odczytania ich, oddaje inną jeszcze w tym wypadku usługę. Psalmy hebrajskie zyskały takie szerokie uznanie i zastosowanie, ponieważ uważano je za jedyny, najwznioślejszy objaw uczuć religijnych, ponieważ w nich znajdowano najbogatsze obrazy, przedstawiające potęgę Jehowy. A tymczasem okazało się, że i inne ludy, i to dawniéj jeszcze, również wspaniale potrafiły sławić swoich bogów, również świetnie przedstawiać umiały ich wszechmoc. Papirusy egipskie i cegiełki assyryjskie dowodzą tego jasno i niezbicie.

Oto urywek z hymnu egipskiego do Nilu, z połowy trzeciego tysiącolecia przed erą naszą:

Boże ukryty, spuszczasz ciemności, gdy ci się podoba,
Zraszasz roślinność przez słońce stworzoną,
by dać pokarm żyjącym...
Stwarza, lecz to nie wyczerpuje sil jego,
tarczą jest ubogich...
Nie rzeźbią go na marmurze, nie jest on widzianym·
Żadna służba, żadna ofiara nie dochodzi go.
Nie podobna wprowadzić go do świątyni,
Nieznane jest miejsce gdzie przebywa,
Nie ma on ołtarzy ozdobionych wizerunkami jego. .
Żaden przybytek go nie zawrze...
Nieznane jest imię, które nosi on w niebie...
Bóg nie pokazuje swych kształtów...

Ten zaś z hymnu do Ra:

Usłysz mię, ty boże wielki,
Serce me rwie się do miasta twego.
Opiekunie milionów, wybawicielu setek tysięcy,
Obrońco tych, którzy wołają do ciebie...
Nie wyrzucaj mi moich grzechów licznych,
jestem słabego ciała, jestem bez serca,
niepokój napada na mnie jak wół na trawę...
Ja wołam, początek mądrości jest droga Ra,
ona jest sterem prawdy.
Ty jesteś, który dajesz chléb tym, co go nie mają,
który utrzymujesz sługę domu swego.
Niech żaden książe nie będzie obrońca moim,
niech skarga moja nie dojdzie do sędziego,
mój bóg jest obrońcą moim...
Przebiegasz niebo z góry na dół,
i nieprzyjaciele twoi są pognębieni!..

Oto jak starożytny assyryjczyk i starszy jeszcze od niego Akkad zwracali się do boga swego:

Przed strachem, który ty rozsiewasz, któż umknąć zdoła!
Rozkaz twój, jest to oręż nad niebem i ziemią zawieszony.
„Rozkazuję morzu i ono się wygładza,
rozkazuję burzy i ona się uspakaja,
rozkazuję łożysku rzeki Sippara
i wola moja podnosi jéj wody...“
Panie, tyś wielki, któż ci dorównać zdoła!...

Lub pierwszy przedstawiał wszechmoc jego przy stworzeniu świata:

On uczynił przedziały, siedem na ilość, dla wielkich bogów,
I oznaczył gwiazdy, które miały być mieszkaniem;

On sprawił obrót roku i podzielił na miesiące,
i dla każdego miesiąca trzy gwiazdy przeznaczył.
Od dnia, w którym się rok rozpoczyna, do końca jego
Dał bogu Nibid (słońcu), by dni powstawały w granicach swoich,
by nie były skracane, ani też przerywane.
Księżyc był przeznaczony, by oświecał noce...
Rozkazał mu odnawiać się, by ukryć noc, przedłużać dzień...

Znanemi też były Akkadom i psalmy pokutne:

Upadłem i nikt ręki nie wyciągnął do mnie.
Od płaczu zaniemiałem, a nie podano mi ręki?
Modlitwę moją powtarzam głośno, nikt mię nie wysluchał.
Jestem powalony, omdlały, nikt mię nie ratuje.
Przeznaczenie człowieka jest utrwalone na piśmie,
lecz nikt nie zna tego pisma...

W innym brzmi modlitwa do bogini:

Oto człowiek, który popełnił błąd, ty go przyjm dobrotliwie.
Ty udzielasz swéj opieki ludziom, a oto człowiek.
Pani wszystkich rzeczy, opiekunko ludzi litościwa,
ty wysłuchujesz próśb i jęków..; (1)

Mieli więc Hebreowie poprzedników i mistrzów.

8.

Porównanie zabytków piśmiennictwa hebrajskiego z zabytkami piśmiennictwa narodów. czy to starożytniejszych, jak Egipcyanie i Assyryjczycy, czy też współczesnych, jak Grecy, odsłania nową w piśmiennictwie hebrajskim stronę, nowe światło rzuca na jego znaczenie.

Psalmy hebrajskie są pierwszym objawem rodzącego się w uczuciach ludzkich przywiązania do ziemi rodzinnéj, religii narodowéj, zwyczajów własnych; słowem do wszystkiego, co budzi uczucia obywatelskie. Dość jest, by się przekonać, poznać parę Psalmów z czasów panowania nad Judeą Babilończyków. Buta i zajadłość zwycięzców oto jaką skargę do ust wkłada ciemiężonym (będzie to zarazem próbką przekładu nowego):

Panie pomsty, boże, panie pomsty zajaśniéj.
Podnieś się sędzio ziemi, odpłać zasługę pysznym.

---

(1) Urywki te biorę z *Literatury Egipskiéj* i *Assyro-babilońskiéj*, pomieszczonéj w *Dziejach Literatury powszechnéj*, wydanéj pod redakcyę dr. P. Chmielowskiego. t. I, 1883.

Dopókiż niegodziwi, o boże, dopókiż niegodziwi górować będą,
bluzgać, przemawiać hardo, przechwalać się, wszyscy złoczyńcy.
Lud twój, boże, dręczą, a dziedzictwo twoję gnębią,
wdowę i przybysza zabijają, a sieroty mordują,
i mówią: nie widzi Jehowa, nie baczy pan Jakóba.
Zastanówcie się nieroztropni w narodzie,
ograniczeni, kiedyż się opamiętacie.
Kto urządził ucho, czyż nie słyszy?
Kto zbudował oko, czyż nie obaczy?
Kto karci narody, czyżby nie karał? (94).

Hardość i samowola urządzicieli każe nieznanemu autorowi nazywać ich bogami, mocarzami; zaślepieniu ich i spodleniu przypisywać podkopanie porządku społecznego; ostrzega więc, że chociaż panując nad niémi wyglądają jako bogowie, pomrą jako ludzie. Te słowa dla większego wrażenia i uwydatnienia ironii wkłada w usta Jehowie:

Bóg stanął w wiecu mocarzy, w pośród sędziów sądzi.
„Dopókiż sądzić będziecie przewrotnie, a obliczu złoczyńców pobłażać.
Brońcie ubogiego i sieroty; biednemu i podupadłemu wymierzajcie sprawiedliwość.
Uwalniajcie nędznych i uciśnionych; z rąk złoczyńców wyzwalajcie ich".
Nie pojmują i nierozumieją, w ciemności postępują,
Zachwiane wszystkie podstawy ziemi.
„Mniemałem, że bogami jesteście, synami najwyższego wy wszyscy.
Wszelako jak ludzie pomrzecie, jak każdy z panów upadniecie (82)".

Inny znowu utwór przedstawia nam uczucia biednych Żydów, przemocą z ojczystéj ziemi przez babilończyków wygnanych i zmuszonych wśród nich przebywać:

Nad rzekami Babilonu, tam siedzieliśmy i płakali,
wspominając Cyon (= Syon).
Na wierzbach, tam, zawieszaliśmy lutnie nasze.
Tam to domagali się od nas zaborcy nasi słów pieśni,
a gnębiciele nasi radości.
Zaśpiewajcie nam z pieśni Cyonu (mówili).
Jak śpiewać nam pieśń Jehowy na ziemi obcéj?
Jeżeli zapomnę cię Jerozolimo,
niech zdrętwieje prawica moja.
Niech przylgnie język mój do podniebienia mojego,
jeślibym nie pamiętał ciebie,
jeślibym nie stawił Jerozolimy na przedzie radości mojéj.
Pamiętaj, Jehowo, synom Edomu dzień Jerozolimy;
którzy wołali, karzcie, burzcie, aż do podwalin jéj.
Córo Babilonu i ty będziesz spustoszona, szczęsny kto odpłaci tobie przysługę,
któraś przysłużyła się nam.
Szczęsny, kto pochwyci i roztrąci dzieci swe o skałę. (137).

Wszystkie ludy przyjmowały panowanie nad sobą obcych narodów jako fakt dokonany; poddawały się losowi w milczeniu. Jedni tylko Żydzi widzieli w tém zawsze naruszenie porządku naturalnego. Protestowali więc krwią, protestowali słowem. Dwojaki ten protest wytworzył nową erę w dziejach ludzkości (1). I nie zginęli, istnieją.

J. Radliński.

---

(1) Czytelnik znajdzie szersze rozwinięcie téj myśli i udowodnienie takiego poglądu w *Księdze pierwszéj* (Początki nowéj ery) *Dziejów literatury powszechnéj*, tom II wydanéj pod redakcyą dra Piotra Chmielowskiego.

KAMIEŃ.

STUDYUM GEOGRAFICZNE.

Skaliste wzniesienia w południowéj części naszego kraju, a liczne głazy erratyczne w części północnéj dały pobudkę do nadania wielu bardzo miejscowościom na obszarze Polski piastowskiéj miana *Kamień*. Niektóre z tych Kamieni, wzmiankowane w pomnikach historycznych odszukiwano po najrozmaitszych okolicach, mieszano między sobą, brano jedne za drugie, a zawikłanie, jakie stąd wynikło, dotąd nie zostało w zupełności usunięte.

Studyum niniejsze jest próbą wyjaśnienia tych wątpliwości.

I.

Lapis.

„*At. Boleslavus castro munito*, *horum* (1) *inscius in loco vocabulo lapis residebat*.....“ pisze Gallus pod rokiem 1107, a wydawca kroniki jego (2) objaśnia *lapis* Kamieniem czyli „Kaminem“ w tak zwanych Prusach Zachodnich.

Ustęp ten, wraz z nazwą *Lapis* przeszedł do Kroniki Xiążąt polskich (3), któréj komentator powołując się na powyższe objaśnienie, przywodzi z pewném powątpiewaniem starożytną Polskę M. Balińskiego (4). Baliński wykazuje tam, w województwie Gnieznieńskiém, jakiś Kamień z kasztelanią, położony nad Wartą, o pięć mil od Gniezna.

---

(1) Odnosi się do wichrzeń Zbigniewa, brata Bolesława Krzywoustego. (2) Bielowski, Monum. I, 452. (3) Tamże, III, 461. (4) Tom I, str. 198.

Lelewel (1) tłómaczy sobie inaczéj słowa kronikarza. „Przesiadując, mówi o Krzywoustym, sam pośrodku Polski i Lechii blisko Kalisza w Kamieniu, warownym go utrzymywał, choć Kamień grodem nie był“.

Roepell (2) wreszcie uważa *lapis* Gallusa za Kamieniec (3) na Szląsku.

Niepewność więc co do miejsca, w którém podówczas bawił Krzywousty, powtórzone przez Balińskiego baśnie o kasztelanii Kamieńskiéj „nad Wartą“ i inne, spotykane w poważnych nawet dziełach, niedokładności geograficzne spowodowały mnie do kreślenia tego szkicu.

Wspomniane powyżéj objaśnienie Bielowskiego upada w obec wszelkiego prawdopodobieństwa, że Kamień, leżący w Krajnie, w tak zwanych Prusach Zachodnich, nad Kamionką, nie był znany w roku 1107 (4). Krajna była wówczas ziemią sporną, która kolejno przechodziła z rąk Pomorzan pod panowanie książąt i królów polskich.

Przypuszczenie Lelewela, jakoby *lapis* Gallusa był Kamieniem kaliskim z pod Koźminka, pozbawione jest wszelkiego prawdopodobieństwa. Kamień ten leżał bowiem w téj części Polski, którą Zbigniew bądź odziedziczył, bądź przywłaszczał sobie, czyli innemi słowy, między Kaliszem, Spicymierzem, Łęczycą i Gnieznem, które to grody Krzywousty tegoż roku 1107 zdobywał na Zbigniewie. Tam nie mógł „przesiadywać“ Bolesław w czasie, gdy wypadało mu mierzyć się z Pomorzanami, Czechami i wyrodnymi wspólnéj ojczyzny synami.

Roepell wreszcie oparł swój domysł na zestawieniu wypadków, jakie w swéj Kronice przekazał nam Gallus. Po odbudowaniu Koźla bawił Bolesław *in loco vocabulo lapis*; szukając tedy Kamienia na Szląsku, wpadł Roepell na wspomniany powyżéj Kamieniec. Tu *confinio terrae* Gallusa i strzeżenie granic polskich od strony Czech mogły go utwierdzić w tém przypuszczeniu, które z przywiedzionych tu domysłów zdaje się być najwięcéj zbliżoném do rzeczywistości.

Zdania Roepella nie podzielał wydawca Kroniki Gallusa, śledząc za Kamieniem na południowém Pomorzu. Bo też *lapis* kronikarski oznaczać mógł Kamień po prawym brzegu Noteci, w pobliżu Kościerzyna (5), lub Kamień z pod Jastrowia. I między Krakowem a Zatorem leży Kamień, a na Szląsku różne znamy téj nazwy miejsca, wszystkie prawie dalekiéj sięgające przeszłości. Najdawniejszym jest Kamień na Pomorzu nadbałtyckiém, i inny na Połabiu

---

(1) Polska wiek. śred. II, 452. (2) Gesch. Pol. I, 238. (3) Kamenz an der Neisse. (4) Ob. rozdział II niniejszéj pracy. (5) Cüstrin.

średniém, nie pomnąc Hamburga, także niegdyś zwanego Kamieniem. Im więcéj takich wynajdujemy Kamieni, tém trudniejszy staje się wybór w tym wypadku, a odrzucając połabskie i nadbaltyckie Kamienie spotykamy inne jeszcze, które dałyby może sprowadzić się do miejscowości *vocabulo lapis*.

Lapis Sanctae Mariae zwaną była Skała krakowska; dolina *inter Lapidem et Policso*, w okolicy Słupcy, Lądka, Goliny i Kaźmierza Biskupiego, zachodzi w dyplomatach wielkopolskich z r. 1232. Pod nazwą *lapis* mógł Gallus rozumiéć Kamionkę lub Kamieniec jaki, na przykład zamczysko téj nazwy, na prawym brzegu Wisłoka, pod Krośnem, na krańcach Rusi Czerwonéj, między Korczyną i Odrzykoniem, gdzie po dziś dzień znajduje się dzwon z zajmującą mnie tu datą 1107 (1). *Lapis* wreszcie oznaczać mógł jedną z Ścieniaw (2) szląskich itd.

Obok tedy domysłu Roepella i w obec zupełnego braku źródeł odnośnych śmiem stawić drugą hipotezę, którą pod ściślejszy rozbiór podaję uczonym badaczom naszym.

Przypuszczając z Roepellem, że Gallus opowiadał współczesne sobie wypadki w takim porządku, w jakim następowały, streszczam je poniżéj dla uprzytomnienia ich czytelnikowi:

1. Wróciwszy z pod Kołobrzega, zjeżdża się Krzywousty z Kolomanem, królem węgierskim, w początku roku 1107;

2. w tym czasie zdobywa wojewoda Skarbimirz pewien gród na Pomorzu i Bytom nadodrzański;

3. z powrotem od Kolomana, zwołuje Krzywousty do siebie Zbigniewa, z którym pragnie żyć w zgodzie;

4. szlachcic pewien zaprasza naszego króla na uroczystość poświęcenia kościoła, który wystawił *in confinio terrae*; król wpada w zasadzkę włóczących się po ziemiach polskich Pomorzan;

5. jedną część wojska swego wysyła Krzywousty na Pomorze, a z drugą przepędza Czechów;

6. Zbigniew nie przestaje wichrzyć;

7. Krzywousty zdąża pod Koźle, które spłonęło i wysyła orędzie do Zbigniewa;

8. po obwarowaniu Koźla, nieświadom zbrodniczych zamiarów Zbigniewa *in loco vocabulo lapis residebat ibique iacens more solito vicinius et rumores et legationes audiebat ac velocius ex improviso suis hostibus occurebat.*

---

(1) Lub 1101 (Słown, Geogr.) (2) Steinau.

9. Otoczony przez trzy wojska nieprzyjacielskie, godzi się z Czechami, uderza na Zbigniewa i zdobywa Kalisz, Gniezno, Spicymierz i Łęczycę;

10. porą zimową tegoż roku 1107 przedsięwziął nową na Pomorze nadbałtyckie wyprawę.

Pomijając niezmierne, jak na owe czasy, obszary, jakie Bolesław przebiegał w jednym roku, rozpatrywać tu będę niektóre tylko z przywiedzionych powyżéj wypadków.

Między przygodą Krzywoustego przy poświęcaniu kościoła *in confinio terrae*, a przebywaniem jego w Kamieniu zapisuje Kronikarz pożar Koźla. Przypuszczając tedy, że od miejsca przygody do Koźla taka sama była przestrzeń, jak z Koźla do Kamienia Gallusowego, wracam do tegoż miejsca i w okolicach jego szukam ówczesnéj rezydencyi króla. Byłoby to łatwém zadaniem, gdybyśmy wiedzieli, w jakiém to miejscu Bolesław wpadł w zasadzkę Pomorzan. Z Gallusa tymczasem dowiadujemy się tylko, że szlachcic pewien wystawił kościół *in confinio terrae*, że na uroczystość poświęcenia go zaprosił króla i że przy téj sposobności odbyły się gody weselne. Domyślam się, że Krzywousty bawił wówczas w pobliżu miejsca, gdzie wystawiono ten kościół.

Trudniéj wyrozumiéć granicę, o któréj wspomina kronikarz. Bartoszewicz (1) mówi o pograniczu pogańskiém, a Moraczewski (2) o pomorskiém, opierając się zapewne na tém, że zasadzka Pomorzan w tych jedynie okolicach była możliwą. Téj interpretacyi podzielać nie mogę, z powodu, że *per Poloniam discurrentes* Pomorzanie zapędzali się nieraz w głąb kraju i że Zbigniew niezawodnie otaczał się zbrojnemi Pomorzan hufcami. Krzywousty odziedziczył Wrocław, Kraków i Sandomierz, reszta więc ówczesnéj Polski przypadła Zbigniewowi (3), który rozszerzając granice swych dzierżaw ku Noteci, utrzymywał z téj strony czucie z Pomorzanami; Krzywousty przeto w tych okolicach nie *residebat* w r. 1107, po odbudowaniu Koźla.

Pod względem wspomnianego pogranicza zostawia Kronika Gallusowa badacza w wielkiéj niepewności. Czytając *in confinio terrae* (4), szukamy daremnie przymiotnika, któryby tę ziemię bliżéj określił. Gallus zna Polskę i państwo polskie, którego nie zwykł zwać *terra*, mógł więc, kreśląc te słowa, mieć jakikolwiek przymiotnik na myśli. Potrąciwszy o zaręczynach ślubnych, odbiega nasz

---

(1) Dzieła, V, 147. (2) Dzieje Rz. Pol., I, 74. (3) ...Zbigneus cum hoc quod habet Mazoviam simul habeat... Gallus w Monum. Bielowskiego, I, 434. (4) ...in Polonie confinio... w Kronice Xiąż. Pol., III, 459.

kronikarz od przedmiotu, radzi, żeby nie wyprawiać uczt weselnych równocześnie z poświęcaniem kościołów i w końcu przytacza, co wszystko złego stało się podczas konsekracyi kościoła Rudzkiego (1).

Rudensis ecclesia i przerwanie wątku w opowiadaniu nasuwają przypuszczenie, że kronikarz Rudzką miał ziemię na myśli, gdy pisał *in confinio terrae* (*i. e. Rudensis*). Jeżeli zaś cały ten przywiedziony tu ustęp w ścisłym związku stoi, tak z poświęceniem kościoła jak z przygodą Krzywoustego,—i nie jest przypadkowém tylko przykładem na poparcie wypowiedzianych poprzednio zapatrywań, kto wié, czy tu nie jest mowa o poświęceniu kościoła Rudzkiego? W znanych mi dokumentach zachodzi Ruda Wieluńska po raz pierwszy pod r. 1136, znaną więc mogła być dokładnie kronikarzowi naszemu.

Jeżeli wreszcie przypuszczenie to nie wytrzyma ścisléjszéj krytyki, w takim razie pozostaje jeszcze drugie, za którém także przemawia pewne prawdopodobieństwo.

Pominąwszy wątpliwość, czy na pograniczu pomorsko - pogańskiém poświęcano w roku 1107 kościoły w sposób tak ostentacyjny, dajmy na to, że kronikarz, pisząc *in confinio terrae*, miał na myśli Polskę. Pod nazwą państwa polskiego w r. 1107 i Polski rozumiał on przedewszystkiém tę część kraju, która przypadła Krzywoustemu, wiadomo zaś, że Zbigniew odziedziczył, prócz tego co posiadał, całe Mazowsze; wiadomo téż, że Krzywousty zdobywał na Zbigniewie Kalisz, Spicymierz z Łęczycą i Gniezno, granice więc dzierżaw Krzywoustego w r. 1107 stykać się mogły z dziedzictwem Zbigniewa w ziemi Rudzkiéj.

Na pytanie, czy Pomorzanie mogli byli dotrzéć do téj ziemi, odpowie nam kronikarz, który zapisuje, że:

Pomorani... per Poloniam discurrentes praedas et captivos agebant et incendia faciebant. Bez względu więc na to, co Gallus tu rozumie pod nazwą *Polonia*, zaprzeczyć niepodobna, że Pomorzanie włóczyli się po ziemiach polskich, a jak Krzywousty mógł przerzucać się w jednym roku z Koźla na przykład Szląskiego do Kołobrzegu nadbałtyckiego, tak Pomorzanie, w sojuszu zwłaszcza ze Zbigniewem, mogli na wschodzie zapuszczać zagony swoje z pod Nakła po za Wieluń i Rudę.

Oparty na tych wywodach, tłómaczę *lapis* Gallusa Kamieniem czyli Kamionem, leżącym nad Wartą, naprzeciw Toporowa, na południo-wschód od Wielunia i Rudy, w pobliżu Mierzyc i Działoszyna.

---

(1) Cuius rei manifestum indicium in consecratione Rudensis ecclesiae Deus omnipotens revelavit, nam et homicidium ibi, et unum de ministris ad insaniam redactum constat evenisse, et ipsos etiam desponsatos infelici connubio, sicum notum est, convenisse, nec anniversarium desponsationis implevisse.

O sięgającéj XII wieku starożytności tego Kamienia nie posiadam, krom pobieżnéj wiadomości o wykopaliskach, żadnych pewników. Ta okoliczność atoli zachwiać nie może przypuszczenia mego. Powstawały bowiem i ginęły w owych czasach wsie i grody bez śladu. Współczesne wypadkom ziemioznawstwo spoczywalo w kolebce, późniejsze nie zbyt pewne stawiało kroki, a dzisiejsze błąka się jeszcze nieraz po manowcach, na których torowanie składały się całe wieki.

Nazwa Kamion, któréj forma pierwotna brzmiała Kamen a obecna Kamień, świadczy tylko o pewnéj, nie dającéj się bliżéj oznaczyć starożytności tego Kamienia, który dziś jeszcze zwanym bywa raz Kamionem, drugi raz Kamieniem. Wychodzący np. w Warszawie Słownik Geograficzny wykazuje (1) wieś Kamień nad Wartą, w pow. Wieluńskim, gminie i parafii mierzyckiéj, a na inném miejscu (2) osadę Kamion czyli Kamień w tym samym powiecie, gminie i parafii. O tóżsamości osady téj i wsi wątpić chyba nie można.

Owóż ten Kamion czy Kamień był miastem (3) w r. 1563, a podług wydawcy Łaskiego *Liber Beneficiorum* (4) miasteczkiem w XVIII jeszcze wieku, na wpół arcybiskupiem i królewskiem. W skład dóbr arcybiskupich wchodziła także leżąca w pobliżu jego wieś Kamionka, wymieniona w potwierdzającym posiadłości kościola Gnieźnieńskiego przywileju króla Kazimierza z dnia 1 marca 1357 r. (5) pod nazwą *Kamona*, która niezawodnie późniejszą od Kamienia czy Kamiona jest osadą.

II.

Kamień, w Krajnie, nad Kamionką.

Z Kamieniem nadbaltyckim, stolicą niegdyś książąt i biskupów Kamieńskich, leżącym nad Dziwném (6), ujściem wschodniem Odry, na północ od Szczecina, mięszają niektórzy Kamień, położony w Krajnie, należącéj niegdyś do Pomorza, następnie do Polski i wchodzącéj w skład województwa Kaliskiego, późniéj Gnieźnieńskiego, a obecnie powiatu Złotowskiego tak zwanych Prus Zachodnich. Kamień ten uważa Bielowski za opracowany w poprzednim Rozdziale *lapis* Gallusa, inni zaś mięszają go z jakimś Kamieniem, mającym leżeć nad Wartą, o pięć mil od Gniezna.

---

(1) III, 732 pod N. 11. (2) III, 777 pod N. 5. (3) Opidum. Pawiński, Wielkop. II, 295 i 310. (4) II, 95 i 113. (5) Nowy Kod. Wielkop. N. 1354. (6) Diewenau.

Kamień, w Krajnie (1), zwany z łacińsko-niemiecka *Camin*, leży na południe od Człuchowa i Chojnic, na prawym brzegu Kamionki, prawego dopływu Brdy, która wpada do Wisły.

Długosz wylicza między miastami polskiemi Kamień, *pontificati excellentia nobilis*, co tłómacz jego przełożył na: „szczyci się katedrą biskupią.“ Jakkolwiek Kamień, w Krajnie, był za czasów Długosza miastem arcybiskupiem, miał historyk nasz na myśli nie należący do Polski Kamień nadbałtycki, którego biskupi zasiadali na synodach Gnieźnieńskich i w którym Mieczysław I miał założyć biskupstwo.

W roku 1109 (2) zdobył Krzywousty Nakło, a sześć innych grodów pomorskich poddało się zwycięzcy (3). Między temi sześcioma grodami wyliczają niektórzy (4) Kamień, w Krajnie, co, będąc domysłem tylko, nie zasługuje na szczególną uwagę. Kamień nadbałtycki poddał się Krzywoustemu w r. 1107.

Schmitt (5), monograf powiatu Złotowskiego, twierdzi, że Kamień w Krajnie zwany był w r. 1225 *Camena*, nie przywodząc źródła, z którego zaczerpał tę wiadomość; łatwo więc być może, iż go pomięszał z Kamieniem z pod Jastrowia, zachodzącym pod tąż nazwą *Camena* w przywileju Władysława Odonicza z dnia 2 października 1225 roku (6).

Tenże Schmitt, powołując się na Damalewicza, wspomina o przywileju z dnia 26 grudnia r. 1236 (7), mocą którego Świętopełk, książe Pomorski, nadał arcybiskupowi Gnieźnieńskiemu niektóre włości, położone „*in der Clavis Camenensis.*“ O kluczu Kamieńskim mowy być nie mogło w r. 1236; odnośny dokument mówi o „*villas in dominio meo sitas*“ i „*villae in terminis mei dominii...*“ Klucz Kamieński powstał późniéj; Damalewicz (8) użył téj nazwy dla bliższego określenia wymienionych przez siebie włości.

Zachodzący pod r. 1289 w Rzyszczewskiego Kodeksie, II, 632, *Wislaus canonicus Caminensis, plebanus in Gdancz*, był kanonikiem w Kamieniu nadbałtyckim.

W roku 1339 pod dniem 15 września (9) rzucają legaci papiescy klątwę na Krzyżaków, a między innymi na komtura kamieńskiego za zabranie dóbr arcybiskupich i za różne bezprawia, jakich Krzyżactwo dopuszczało się podówczas w ziemiach polskich.

---

(1) Krajną zowie się ziemia między Notecią, Kamionką, Głdą i Brdą. (2) U Długosza pod r. 1113. (3) Gallus, w Monum. Bielow. I, 465. (4) Quandt, w F. W. F. Schmitt'a Der Kreis Flatow, 29. (5) Na str. 242. (6) Now. Kod. Wielkop. (7) Roku 1237 podług N. Kod. Wielkop. N. 206. (8) Super villas Cruszewo, Mochle ac Orel, in clave Camenensi constitutas. Series archiep, Gnensn. 144. (9) N. Kod. Wielkop. N. 1192 i 3 i Długosz, Hist. III.

Wydawca Nowszego Kodeksu Wielkopolskiego, Schmitt, monograf powiatu złotowskiego, i ks. Fankidejski, współpracownik wychodzącego w Warszawie Słownika Geograficznego, uważają Kamień, w Krajnie, za siedzibę wspomnianego komtura. Byłoby to więc po raz pierwszy, że w przechowanych, współczesnych dokumentach spotykamy się z tym Kamieniem. Zważywszy atoli, że dopiero w r. 1360 wieś Wawrzyszkowo przezwano urzędownie Kamieniem i że miejscowość ta jest zajmującą nas tu siedzibą komtura, nasuwa się co do tożsamości jéj pewna wątpliwość, która niestety domysłami tylko da się wytłómaczyć. Chcąc przeto pogodzić komturstwo Kamieńskie z roku 1339 z Wawrzyszkowem z r. 1360, przypuszczać należy, że ówczesny Kamień składał się z dwu części, z grodu zwanego Kamieniem i z osady „Wawrzyszkowo,“—że w r. 1360 zlały się te dwie części w jedną całość, którą odtąd mieniono wyłącznie Kamieniem,—lub téż, że obok nazwy Warzyszkowa istniała w ustach ludu przed rokiem już 1360 druga nazwa Kamienia, którą przywilej króla Kazimierza potwierdził i ustalił. Starożytności atoli tego Kamienia, czyli raczéj nazwy jego, nie podobna, w braku danych, posunąć daleko wstecz po za rok 1237, pod którym odnośny przywiléj wymięnia *Kamoniaz* czyli Kamienny Jaz, przypominający swém brzmieniem i Kamień i Kamionkę. Między rokiem 1237 i 1284 zachodzą Kruszewo i Mochle, które albo znikły, albo zatraciły swe imiona; między rokiem zaś 1343 i 1360 pojawia się wspomniane powyżéj Wawrzyszkowo; osady te wraz z Orłem i innemi tworzyły pewien kompleks w pobliżu Kamienia i Kamionki.

W r. 1343 pod dniem 13 czerwca (1) potwierdza król Kazimierz sprzedaż Wawrzyszkowa, późniejszego Kamienia, nabytego niegdyś od Mirosława z Suchoręcza przez Janisława, arcybiskupa Gnieźnieńskiego; pod dniem zaś 25 lipca t. r. zgadzają się na to kupno Jan, biskup poznański, i Mikołaj z Mędlewa, stryjowie Mirosława.

Dnia 6 grudnia r. 1346 (2) porucza papież Klemens VI opatom, Oliwskiemu, Peplińskiemu i Żukowskiemu zbadanie i zawyrokowanie w sprawie arcybiskupa Gnieźnieńskiego, którego posiadłości, a między innemi także Wawrzyszkowo, był zbrojnie najechał Jan, biskup Kamieński (3).

Traktatem Malborskim z dnia 23 czerwca 1349 r. ustalono granicę między zajętemi przez Krzyżaków ziemiami a posiadłościami korony polskiéj. W téj ugodzie nie zachodzi ani Wawrzyszkowo ani Kamień, lecz Kamionka, która go oblewa.

---

(1) N. Kod. Wielk. N. 1214 i 1227. (2) Tamże pod N. 1256. (3) Z Kamienia nadbałtyckiego.

Pod dniem 1 marca 1357 r. potwierdza król Kazimierz posiadłości arcybiskupów Gnieźnieńskich, między któremi wymienionem jest także Wawrzyszkowo, należące wówczas do powiatu Nakielskiego województwa Kaliskiego.

W roku 1359 dnia 11 lutego wyniósł Jarosław, arcybiskup Gnieźnieński wieś Wawrzyszkowo do rzędu miast z prawem Chełmińskim, przeznaczył miejsca na kościół i warownię i powierzył starostwo Tomaszowi z Radzimina (1). Mówiąc o téj lokacyi Jan z Czarnkowa (2) i Długosz, dodają jak najwyraźniéj „*in metis Pomeraniae*;“ nie ulega więc żadnéj wątpliwości, że tu mowa o Kamieniu, położonym w Krajnie, na pograniczu Pomorza. Pomimo to czytam w dodanym do Herbów Paprockiego skorowidzu (3), że lokowany przez rzeczonego arcybiskupa Kamień leży nad Wartą, o pięć mil od Gniezna. Ten sam błąd, z którego wyłoniły się inne. spotykam także w M. Balińskiego Starożytnéj Polsce (4). Monograf ziemi Poznańskiéj, H. Wuttke (5), nie dowierzając Balińskiemu, szukał lokowanego Kamienia gdzieindziéj i wpadł na Kamienną, leżącą nad Kamionką, lewym dopływem Warty, na południo-wschód od Międzychoda.

Pod dniem 25 czerwca r. 1360 (6) potwierdza król Kazimierz lokacyę Wawrzyszkowa i zamianę téj nazwy na Kamień.

Między rokiem 1363 i 1366 występuje jako pierwszy, znany nam kasztelan kamieński, Wincenty z Rozrażewa i Kępy; po nim nastąpił Janusz ze Starczanowa między r. 1367 i 1372 (7).

Andrzéj Sweradowski, r. 1375—1383 (8).

Czanczemir r. 1385.

---

(1) Z późniejszych Kamieńskich starostów arcybiskupich przechowały się następujące nazwiska:

Herman Templyn r. 1370.
Jan Klonowski r. 1526.
Paweł Szymanowski r. 1606.
Gądkowski r. 1626.
Kazimierz Włostowski r. 1724.
Waldowski r. 1768.
i Kwiatkowski r. 1772. (Schmitt l. c. 140).

(2) W Monum. Bielowskiego II, 673. (3) Wyd. Turowskiego. (4) Tom I, str. 198.

(5) Städtebuch des Landes Posen, 332. (6) N. Kod. Wielkop. p. N. 1433.

(7) Na tém miejscu, odstępując od porządku chronologicznego, podaję cały poczet kasztelanów Kamieńskich, jaki zestawić zdołałem z następujących dzieł: Nowszy Kodeks Wielkopolski; F. W. F. Schmitt, Kreis Flatow, 140; Łukaszewicz, Kr. Op. pow. Krotosz. II, 91; J. Błeszyński, Spis senatorów, 21.

(8) W Kod. Wielkop. zachodzi między r. 1375 i 1380 bez nazwiska; z nazwiskiem zaś i z r. 1383 u Schmitt'a;—przypuszczam, że to jedna i ta sama osobistość.

Wojciech czy Albert, starosta międzyrzecki, r. 1390—1408 (1).
Andrzéj z Danaborza r. 1420.
Dobrogost Nałęcz Ostroróg r. 1422 (2).
Andrzéj z Danaborza, r. 1426 (3).
Dobrogost Nałęcz z Kolna r. 1438 (4).
Dobrogost Nałęcz Ostroróg r. 1443.
Andrzej z Bnina r. 1488—1490 (5).
Wojciech z Potulic 1512—1513 (6).
Łącki Mikołaj r. 1560.
Mieliński Mikołaj r. 1607.
Baranowski Wojciech r. 1630.
Starkowiecki Andrzej r. 1650.
Potocki Józef-Stanislaw Pilawa r. 1714.
Firlej Jędrzéj Lewart r. 1714.
Kronkowski—Trąba r. 1719.
Brodzicki Stefan r. 1734.
Kossakowski Stanisław Ślepowron r. 1748.
Potocki Józef Szeliga r. 1761.
Sczaniecki Prokop Ossorya r. 1772.
Kierski Kazimierz Jastrzębiec r. 1777.
i Gorzeński Makary Nałęcz r. 1784.

W r. 1370 (7) odkupił arcybiskup Jarosław starostwo kamieńskie i sprzedał je znów Hermanowi Templyn.

Roku 1372 stanął kościół w Kamieniu (8).

Roku 1374 (9) otrzymał w dożywociu Kamień i inne dobra Jarosław, który był złożył godność arcybiskupią.

W r. 1381 pisze się z Kamienia (10) Bertold, kanonik Gnieźnieński.

Wybrany w r. 1382 arcybiskupem Gnieźnieńskim Dobrogost lecz nie potwierdzony przez króla Ludwika, żąda, jako wynagrodzenie za różne w sprawie kościoła poniesione wydatki, zamku Łowickiego lub téż Kamieńskiego (11).

---

(1) W. r. 1401 Woythco, bez dodatku: starosta międzyrzecki; r. 1404 i 1408 Albertus, także.

(2) X. Fankldejski, w Słowniku Geogr. III, 739, nie słyszawszy nic o kasztelanach Kamieńskich w czasach późniejszych, urywa tu ich poczet.

(3) Wuttke. Städtebuch, 53. Może to ten sam Andrzej, który występuje pod r. 1420. (4) O tożsamości Dobrogostów Nałęczów nie rozstrzygam. (5) Rzyszczewskiego Kod. Dypl. II, pod r. 1488. (6) Akta Gr. i Ziem. III, 194.

(7) N. Kod. Wielk. N. 1633. (8) Słown. Geogr. (9) N. Kod. Wield. N. 1703.

(10) Podług wydawcy N. Kod. Wielk, N. 1786 i 7 pochodziłby ten Bertold z Kamienia, w Krajnie. X. J. Korytkowski (Prałaci i Kan. II. 226) nie objaśnia miejsca pochodzenia. (11) Jan z Czarnkowa, w Monum. Bielow. II, 719 i Długosz, Hist. III.

Następnego roku 1383, podczas wojny domowéj, zabiera Sędzimirz Radzicki miasteczko arcybiskupie Kamień (1), „na Pomorzu.“ Otóż co pisze Cellariusz (2) o tym wypadku: *Camenum, Kamin archiepiscopi Gnesnensis arx et oppidulum, cum Quecissovo urbecula ipsi post Ludovici Hungariae et Poloniae Regis mortem ereptum, eo quod Masoviae Duci adhaerens, Hedvigi, dicti Regis filiae, et haeredi se opposuerit. Prius oppidum deditione servatum est, posterius vero vastatum. Supra Landam in Wartae fluminis margine locatum Castellano subjicitur.* Może ztąd powstała baśń o kasztelanii Kamieńskiéj nad Wartą.

W roku 1384 pisał się z Kamienia Witołd, kanonik Gnieźnieński (3).

„Od roku około 1395, zdaje się, mówi ks. Fankidejski (4), że miasto Kamień jako i pobliższe dobra arcybiskupie, osobliwie na północ leżące i pod rządem Krzyżackim zostające, posiadał z wiedzą i przyzwoleniem papieża Bonifacego IX młody i wielce awanturniczy biskup Kamieński z Pomorza Jan, pochodzący z książąt na Opolu, licho wtedy w dyecezyi swojéj uposażony. Kiedy r. 1398 otrzymał biskupstwo kujawskie, papież napowrót oddał te dobra arcybiskupowi.“

W r. 1409 spalili Krzyżacy Kamień; r. 1414 powtórzyło się to samo.

Arcybiskup Łaski (5) utworzył archidyakonat Kamieński w roku 1512.

Arcybiskup Karnkowski wydał w r. 1597 nowy przywilej miasta. potwierdzający dawne prawa jego (6).

W r. 1651 ufundował tu kolegiatę arcybiskup Maciej Łubieński.

Za czasów polskich nie cierpiano w Kamieniu ani żydów, ani protestantów.

Klucz Kamieński składał się pod koniec XVII wieku z następujących posiadłości: Cerekwica Mała i Wielka, Dąbrówka nabyta za Gębarzewo, które wzięto za Chojniczki, Kamień, Lubiewo, Lutowo Małe i Wielkie, Obkas, Orzeł, Piaseczno, Płocice, Sucha, Witkowo, Zabartowo i Zdziechowo. Gruczno i Kozielec darował arcybiskup Karnkowski kapitule Gnieźnieńskiéj w r. 1591. Niewiadomo, jakim

---

(1) Tamże. O Kamieniu nadbaltyckim mowy tu być nie może. (2) Regni Pol. descr. 227.

(3) Ob. powyżéj w przypiskach pod r. 1381. Między Prałatami i Kanonikami X. J. Korytkowskiego znaleść nie mogę tego Witołda. [? Bertolda? (*Przyp. Red.*] (4) W słown Geogr. (5) Liber Benef. 4. (6) Schmitt, 243.

sposobem odpadły od tego klucza Łubnia i Piechowice. Mochle i Kruszewo zaginęły (1).

Z wymienionych tu posiadłości tworzyły tylko następujące pewną całość terytoryalną: Dąbrówka, Obkas, Orzeł, Witkowo, obie Cerekwice, Płocice, Piaseczno, Zdziechowo, Lutowo Małe i Wielkie; wszystkie inne rozrzucone były w okolicach Tucholi, Kościerza, Świecia, Koronowa i Więcborka, dla tego też starostwa, w przyjętém powszechnie znaczeniu, tworzyć nie mogły. Starostowie Kamieńscy byli raczéj rządzcami arcybiskupimi.

Do parafii Kamieńskiéj należały w XVI wieku prócz Kamienia, Płocice i Cerekwice.

W skład dekanatu Kamieńskiego, wcielonego w nowszych czasach do dyecezyi Chełmińskiéj, wchodzą: Buczek, Głupczyn, Kamień, Krajeska, Radownica, Sępolno, Sławianowo, Sypniewo, Więcbork, Zakrzewo i Złotowo.

Utworzony w r. 1512 archidyakonat Kamieński (2) obejmował dekanaty: Człuchowski, Łobżenicki. Nakielski, Tucholski i Więcborski.

Miasto Kamień, czyli raczéj ziemia, na któréj stanęło, należała pierwotnie do Pomorza, a następnie do powiatu Nakielskiego, województwa Kaliskiego. Gdy zaś w r. 1768 utworzono województwo Gnieźnieńskie (3), powstał w pojęciach geografów naszych pewien zamęt, który z powodu szybko po sobie następujących, doniosłych wypadków nie miał czasu wyjaśnić się należycie. M. Baliński np. liczy powiat Nakielki, po r. 1768 do województwa Kaliskiego, Gnieźnieńskie zaś składa w r. 1777 z powiatów Gnieźnieńskiego, Kcyńskiego i Pyzdrskiego, a w r. 1789 z dwóch tylko powiatów Gnieźnieńskiego i Kcyńskiego. Zdaniem mojém był podział taki niemożliwy; powiat bowiem Nakielski byłby całkiem województwem Gnieźnieńskiem oddzielony od Kaliskiego, do którego miał należéć po r. 1768. Uchwała sejmu extraordynaryjnego z r. 1768 (4), opiewając: „A lubo powiat Nakielski do województwa Kaliskiego należéć powinien, dogadzając jednak obywatelów żądaniu, w pobliższym ziemstwie Gnieźnieńskim sądzić się pragnących, postanawiamy, aby wspomniane wyżéj Roki ziemskie Gnieźnieńskie po odsądzonych rokach powiatu Kcyńskiego sądziły się tydzień w Nakle“ itd... mogła wprawdzie wywołać różne interpretacye, najelementarniejsze atoli zasady o podziałach administracyjnych powinny były w tym wypadku zaważyć. To też przechylam się na stronę tych, którzy z Zano-

---

(1) Słown. Geogr. (2) Księgi archidyakonatu tego zaginęły. (3) Konstyt. Seymu, 267. (4) Str. 284 i Schmitt, 84, przyp.

nim dzielą województwo Gnieźnieńskie na powiaty Nakielski, Kcyński i Gnieźnieński; że zaś przy rozgraniczaniu tego województwa zachodzić mogły różne spory i niedokładności, łatwo pojąć, skoro uprzytomnimy sobie chwiejność ówczesnéj machiny rządowéj, któréj przypisuję i tę okoliczność, że Zanoni oznaczył np. w powiecie Tucholskim, województwa Pomorskiego należące przed r. 1768 do powiatu Nakielskiego Sępolno i Kamień.

Po podziale Polski w r. 1772 zachowano przez pewien czas powiat Nakielski z czasów Rzeczypospolitéj, późniéj atoli utworzono powiat Kamieński z miastami: Gołańcz, Kamień, Krajanka, Łobżenica, Margonin, Miasteczko, Sępolno, Szamocin, Wyrzysko, Wysoka, Złotowo i Więcbork (1).

Klucz Kamieński zabrał król Pruski i utworzył tak zwaną domenę.

Po zawarciu w r. 1807 traktatu Tylżyckiego odpadły od powiatu Kamieńskiego miasta ze swemi okręgami: Gołańcz, Łobżenica, Margonin, Miasteczko, Szamocin, Wyrzysko i Wysoka, które dostały się utworzonemu wówczas W. Ks. Warszawskiemu.

Domenę Kamieńską nadał Napoleon marszałkowi Mortier, który ją posiadał aż do r. 1814.

Pozostawiona Prusom na mocy wspomnionego traktatu część powiatu Kamieńskiego zachowała swą nazwę; tak téż zwano drugą część, przyłączoną do W. Ks. Warszawskiego (2); istniały więc między r. 1807 i 1815 dwa powiaty Kamieńskie.

Po r. 1815 przekształcono powiat Kamieński, który odtąd zwie się Złotowskim i wchodzi w skład tak zwanych Prus Zachodnich (3).

III.

Kamień nad Wartą.

Ze źródeł, jakie nagromadziłem do niniejszego studyum, przekonać się nie mogłem o istnieniu Kamienia, grodu i kasztelanii nad Wartą, o pięć mil od Gniezna, w województwie niegdyś Kaliskiém.

W linii powietrznéj, o pięć mil na południo-wschód od Gniezna, między Słupcą i Kaźmierzem Biskupim leży wprawdzie wieś Kamień, znana już w r. 1232, która przecież oddalona o dziesięć staj od Warty, ani grodem ani kasztelanią nigdy nie była.

Zanoni oznacza Kamień na prawym brzegu Warty, przy ujściu spływającego z jeziora Kleczewskiego strumienia, między Lądkiem

(1) Schmitt, 86, 599. (2) ...um anzudeuten, dass man auf den ganzen Caminer Kreis Anspruch erhebe. Schmitt, 90. (3) Po szczegóły odnoszące się do nowszych dziejów Kamienia odsyłam do wychodzącego w Warszawie Słownika Geograficznego.

i Koninem, naprzeciw Krośnic (1). Z powodu niedokładności mapy przywiedzionego autora przypadać może ten Kamień na dzisiejszy Ratyń, Sługocin, Radolinę, Myśliborz, a nawet Kawnice. Cellariusza *supra Landam in Wartae fluminis*, jak o tém wspomniałem (2) w poprzednim rozdziale, mogło było dać początek mniemaniu, że tam istniała niegdyś kasztelania, i gdyby nie oczywiste pomięszanie miasteczka arcybiskupiego z grodem téj nazwy nad Wartą, zasługiwałoby zdanie tego autora na szczególną uwagę. Ale Cellariusz, nie miał jasnego pojęcia o geograficzném położeniu Kamienia swego, na inném bowiem miejscu (3) kładzie Konin między Pyzdry i Kamień, który w takim razie leżałby nietylko powyżéj Lądu, ale powyżéj samego Konina, w okolicy Koła.

Sirisa (4) wspomina o Kamieniu nad Wartą z kasztelanią mniejszą, który rzadko kiedy oznaczony bywa na mapach geograficznych.

Warta zmieniając pod Kołem kierunek, płynie ku zachodowi na Konin, Ląd, Ciążyń i Pyzdry. Mam pod ręką z przeszłego stulecia mapkę (5), która bieg Warty kreśli odmiennie; pominąwszy tę niedokładność oznacza ona między Kołem i Lądkiem „*Kamin*“, którego położenie odpowiadałoby mniéj więcéj Koninowi, Konin zaś przenosi między Lądek i Pyzdry, w przybliżeniu na miejsce Ciążynia.

W. Grodzicki oznacza na swéj mapie „*Comin*“ na zachód od Lądu, pomijając Konin na właściwém miejscu; mylnie więc i pisany i oznaczony *Comin*, który niezawodnie stać miał zamiast Konina, mógł utwierdzać w mniemanie, że tam gdzieś nad Wartą, czy na wschód, czy na zachód od Lądu, leżał gród, zwany Kamieniem.

„*Camenum*“ Sarnickiego (6) nie da się sprowadzić do żadnego ze znanych Kamieni, ponieważ nie tylko że nie podał odnośnego stopnia szerokości, ale podawane w opisie jego stopnie są bardzo często niedokładne i mylne.

Starożytności Polskie Moraczewskiego (7) w kłopocie, gdzie podziać ten Kamień z nad Warty, powołują się na wydany w Warszawie w r. 1782 Dykcyonarzyk Geograficzny Pana Echarda i rozróżniają go należycie od Kamienia w Krajnie, idąc wszelako za Zanonim, który, jak wspomniano powyżéj, oznaczył go w województwa Pomorskiego powiecie Tucholskim.

Mniéj skrupulatny Baliński pogodziwszy jeden Kamień z drugim, stworzył trzeci, to jest taki, który z kasztelanią mniejszą leży

(1) „Krasnica“ na mapie. (2) Ob. rozdział drugi téj pracy pod r. 1383. (3) Regni Pol. Descr, 224. (4) Polens Ende, 136 (den man auf wenig Karten findet). (5) Nuora Carta del Regno di Boemia... in Amsterdam da Isac Tirlon. (6) Descriptio Vet. et N. Poloniae. (7) Poznań, 1842. Tom I, 413.

o pięć mil od Gniezna, nad Wartą, i który, lokowany na prawie miejskiém przez Jarosława Skotnickiego, ma kościół kolegiacki i probostwo z tytułem infułata.

IV.

Kamień, pod Żerkowem, po lewym brzegu Prosny.

Wychodzący w Warszawie Słownik Geograficzny nie powtórzył pokutujących o kasztelanii Kamieńskiéj nad Wartą baśni;— natomiast odkrył drugą téj nazwy kasztelanią w Kamieniu z pod Żerkowa.

„Kamień“, podaje Słownik na właściwém miejscu, „dominium i osada, niegdyś miasteczko (z kasztelanią), powiat Wrzesiński... Poczta i st. kol. żel. w Żerkowie“.

Ten sam Kamień wykazuje Słownik na innêm miejscu (2), jako byłą wieś w archidyakonacie Kaliskim, par. Kretkowo, która po 1815 roku „odpadła“ do królestwa Polskiego, powołując się na *Liber Beneficiorum* Łaskiego. I w rzeczy samêj twierdzi wydawca tegoż dzieła (3), jakoby wieś Kamień po rozgraniczeniu W. Ks. Poznańskiego przeszla do królestwa Polskiego. Objaśnienie to jest mylne.

Za czasów Łaskiego należały do parafii Kretkowskiéj Żerniki i graniczący z nimi, po lewym brzegu Prosny Kamień, *villa deserta*. Regestra Poborowe z r. 1579 nie wymieniają téj wsi, a wydawca ich, A. Pawiński (4), podaje w przypisku do Żernik: *Kamieni Sustkowski nobilium*; i w takich Regestrach z roku 1618—1620 (5) nie spotykamy Kamienia, leżącego zapewne jeszcze pustkami w parafii Kretkowskiéj, która w owych czasach nie sięgała po za prawy brzeg Prosny. Prosna, od Kuchar do samego ujścia swego, rozgranicza szczelnie W. Ks. Poznańskie od Królestwa kongresowego.

E. Callier.

---

(1) Tom III, 736. (2) III, 740. (3) II, 25. (4) Tom I, 121. (5) Parczewski, 82

Wystawa rolniczo-przemysłowa.

I. Dział rolniczy.

Doroczna wystawa inwentarzy na placu Ujazdowskim, zawsze tak sympatycznie witana przez chciwą wrażeń publiczność Warszawską i gości z prowincyi przybyłych, zeszła w tym roku na drugi plan, ustępując pierwszeństwa wystawie przemysłowéj, która świetnością swoją przewyższyła wszelkie oczekiwania. Nie zmniejsza to bynajmniéj doniosłości i znaczenia staréj naszéj znajoméj i dla tego słów kilka o niéj powiedziéć zamierzamy.

Urządzona z inicyatywy i staraniem Towarzystwa wyścigów konnych w Królestwie Polskiem, w r. 1880 specyalna wystawa koni wywołała znaczny ruch pomiędzy hodowcami w kraju i w ościennych prowincyach. Zaczęliśmy pilnie śledzić przyczyny małéj produkcyjności naszéj hodowli i poddawać ścisłéj krytyce jéj kierunki.

Organa prasy peryodycznéj były tą areną, na któréj się ścierały zdania i poglądy nieraz wręcz sobie przeciwne. Przeciętny hodowca, odgrywając tutaj tak często na scenie życia widywaną rolę młynarza w bajce, oczekiwał jasnych i pewnych wskazówek, jaki ma na przyszłość obrać w hodowli kierunek; jak zwykle bywa, wskazówki te zbyt ogólnikowe, nie uwzględniające miejscowych warunków dla każdego pojedyńczego wypadku, nie przyniosły pożądanego skutku i każdy pozostał przy swojém, modyfikując swój sposób postępowania stosownie do własnych wyobrażeń. Małą produkcyjność hodowli koni uznano powszechnie, zaznaczając iż podniesienie jéj da się tylko osiągnąć przy wyjątkowo sprzyjających warunkach, które bardzo rzadko dają się natrafić. Lecz obok tego powstało pytanie, jaki jest stan hodowli innych zwierząt domowych w kraju i czy jéj rezultaty pod względem ekonomicznym lepiéj odpowiadają celowi. Ztąd powstała myśl urządzania dorocznych wystaw inwentarzy, z celem

przeważnie handlowym, aby producentom, a zwłaszcza właścicielom zarodowych obór, owczarni i chlewni, dać możność zbytu celnych okazów kwalifikujących się na reproduktory, nabywcom zaś ułatwić wynalezienie i kupno takiego właśnie towaru jakiego potrzebują, bez uciekania się do niedającego gwarancyi a przytém drogo opłacanego pośrednictwa zagranicznych handlarzy; jedném słowem, wytworzyć bezpośredni stosunek pomiędzy producentem a konsumentem. Doświadczenie przekonało, że obrana droga była rzeczywiście właściwą. Co roku, podczas trwania wystawy, pokup na bydło rogate, owce, nierogaciznę i drób bywa bardzo ożywiony, a i w tym roku, pomimo tak dotkliwie dającéj się uczuć stagnacyi w interesach i trudności zbytu produktów rolnych, obecna wystawa nie daleko pozostała w tyle po za swemi poprzedniczkami. Wystawy więc nasze nie są tylko czczym popisem lecz rzeczywistem ułatwieniem stosunków pomiędzy producentami a konsumentami i ztąd niezaprzeczoną mają racyą bytu.

Przystępując do przedstawienia przed oczy czytelników pojedynczych działów wystawy, przegląd nasz rozpoczniemy od koni, już z tego względu, że inicyatywę urządzenia wystaw zawdzięczamy Towarzystwu wyścigów konnych, jak również dla tego, że ta gałąź hodowli, pomimo trudności jakie jéj rozwojowi stają na zawadzie, tylu u nas liczy zwolenników i tak się z warunkami naszego ziemiańskiego życia zespoliła, że bez niéj, twarde warunki bytu pracownika na roli, posiadacza średnich rozmiarów własności ziemskiéj, pozbawione byłoby uroku, jakiego zawsze dostarcza dogodzenie wrodzonemu a godziwemu upodobaniu.

Przed laty, w obec zupełnie innego ukształtowania społecznych stosunków, kraj nasz posiadał konie zdatne do wszelkich posług i wysoko cenione nietylko w kraju, ale i zagranicą, dokąd też drogą handlu wychodziły znaczne ich ilości. Ciągłe stosunki ze wschodem aczkolwiek po większéj części przypadkowe lub wywołane katastrofami wojennemi, dostarczały krajowi reproduktorów ras najszlachetniejszych, które przy ogólnem zamiłowaniu hodowli koni wpłynęły na poprawę ras miejscowych do tego stopnia, iż znalazło się wielu, już w naszych czasach, hippologów, uznających istnienie w przeszłości odrębnéj rasy szlachetnych polskich koni i ubolewających nad jéj wygaśnięciem. Zdania tego, pomimo wielu wręcz przeciwnych twierdzeń, nie podzielamy. Posiadaliśmy wprawdzie konie niewątpliwie szlachetnego wschodniego pochodzenia, zrodzone i przez liczne pokolenia wychowane w kraju, lecz nie posiadające cech właściwych i tak ustalonych, któreby nadawały prawo zaliczać je do pewnéj odrębnéj i uznanéj rasy. Gdy zbieg niefortunnych okoliczno-

ści ujemnie wpłynął na rozwój stadnin krajowych, rzekoma ta rasa znikła bezpowrotnie, wraz ze stosunkami które na jéj rozwój wpływały. Zawsze jednak, tradycyjne zamiłowanie do konia wschodniego pozostało we krwi i w usposobieniach narodu, a nowe wyobrażenia, stawiające konia angielskiego pełnéj krwi jako typ szlachetnego konia i reproduktora mającego skutecznie wpłynąć na polepszenie zdegenerowanych ras naszych koni, pomimo logicznie przeprowadzonéj teoretycznéj zasady, nie zdołały dotąd jeszcze skutecznie wpłynąć na przekonania mas, ponieważ wysokie koszta tak prowadzonéj hodowli i nieodłączne od niéj trenowanie oraz ubieganie się młodych koni o nagrody na wyścigach, znacznie przewyższają środki i zasoby, jakiemi może rozporządzać hodowca wyższéj nawet nad średnią zamożności. Prócz tego, względnie nawet pomyślny rezultat hodowli nie daje jeszcze rękojmi, że koń wychowany kosztem tak znacznych pieniężnych ofiar i ryzyka, będzie dobrym reproduktorem, przelewającym zalety swoje na potomstwo; liczne nieudane próby przekonały, iż to nie zawsze się trafia i pod tym względem więcéj naliczyć można ujemnych niż dodatnich rezultatów, czego przyczyną jest nieodpowiedni materyał hodowlany, jaki w stadninach naszych posiadamy. Słusznie można powiedzieć, iż pełna krew jest obosieczną bronią, któréj w hodowli należy używać z głęboką rozwagą i znajomością rzeczy; hodowca, który inaczéj postępuje, narazi się na gorzkie zawody i niepowetowane straty.

Rozwój sieci dróg żelaznych, łączących z ogniskami handlowego i przemysłowego ruchu, wytworzył potrzebę środków transportu, któreby na niewielkich przestrzeniach mogły służyć do przewożenia znacznych ciężarów; do tego potrzebny jest koń ciężki pociągowy o wielkiéj wadze ciała i potężnéj sile muskułów, chociaż niezdatny do szybszego biegu, ale powolny i spokojny. Ani drobnéj budowy ognisty koń wschodni, ani obdarzony drażliwym systemem nerwowym koń pełnéj krwi, nie nadaje się do tego celu; takich koni szukać należy w rasach koni tak zw. zimnéj krwi, czyli podług klasyfikacyi Czapskiego w koniach armorykańskich, jakiemi są perszerony i angielskie suffolki, norfolki, clevelandy i inne. I ten kierunek hodowli nie jest obcym wielu naszym hodowcom.

Lecz największą ilość koni w kraju stanowią t. zw. konie robocze, używane do pracy koło roli. Koń taki, przy miernym wzroście, znacznéj sile, spokojnym temperamencie, żelaznéj wytrzymałości na zmiany atmosfery, małych wymagań pod względem paszy i wygód utrzymania, posiadać jeszcze powinien lekką budowę, aby mógł się swobodnie poruszać po rozmiękłych drogach i po spulchnionym przez uprawę gruncie, ciągnąc przytém wóz niezbyt ciężko ładowny

lub potrzebne w danéj chwili narzędzie rolnicze. Każdy przyzna, iż typ taki nie łatwo daje się odszukać i z niemniejszą trudnością w hodowli urzeczywistnić. O te trudności rozbijają się po większéj części usiłowania hodowców, a w praktyce rolniczéj brak takiego materyału zastąpionym bywa mięszaniną zużytych koni rozmaitych typów koni, które za lepszych dni swego żywota przeznaczone były do spełniania innych, mniéj uciążliwych posług. Dzisiaj łatwiéj u nas znaleźć pięknego wierzchowca, parę rosłych o wspaniałych chodach karecianych koni, zdatnego do pociągu silnego konia, niż prawdziwie dobrego konia roboczego, któregoby cena była w odpowiednim stosunku do jego użytkowéj wartości.

Wszystkie te cztery kierunki hodowli dają się dostrzegać w okazach dostarczonych na wystawę przez hodowców i właścicieli. Nawiasem mówiąc, nie widzimy dobréj racyi odznaczania najwyższą nagrodą okazów nabytych tylko, nie zaś wyhodowanych przez właścicieli, gdyż do tego potrzeba tylko szczęśliwego trafu, zamiłowania koni i pieniędzy. Nagrody takie powinny przypaść w udziale tylko hodowcom, którzy czas swój, pracę i koszta wyłożyli na to, aby powiększyć w kraju zasób dobrych koni i stworzyć nowe źródło, z którego część potrzeb kraju w przyszłości zaspakajaną być może.

Nie możemy tu z katalogiem wystawy w ręku wyliczać wszystkie okazy wystawionych koni i nazwiska ich właścicieli, wspomnimy tylko o takich, ktore stosownie do powyższego podziału, zbliżają się do tego lub owego typu przedstawiającego wybitny kierunek hodowli. I tak koni pełnéj krwi, pochodzących z pierwszorzędnych stadnin, nie było na wystawie, znajdowały się one wszystkie w stajniach lub na polu mokotowskiém, z powodu odbywających się jednocześnie z wystawą wyścigów, zresztą stan w jakim się obecnie znajdują w skutek trenowania, czyli t. zw. w języku sportu „kondycya“, nie czyni ich przydatnemi na okazy wystawowe.

Do stadnin przedstawiających konie pół krwi, prowadzących hodowlę z jasno wytkniętym celem i z umiejętnością zapewniającą jéj powodzenie, na pierwszém miejscu postawić należy stadninę p. Antoniego Bobrowskiego w Snopkowie pod Lublinem. Stadnina ta nabyła już pewnego rozgłosu w kraju, a większego jeszcze zagranicą, dokąd téż ma zawsze zapewniony zbyt swoich produktów.

Bolesław hr. Skarbek z Wierzchlesia (gub. Kaliska, pow. Wieluński) przedstawił siedm koni pół krwi angielskiéj, swego chowu, wszystkie po jednym ogierze nazwiskiem Goswin, oraz ośm klaczy i jednego ogiera rasy anglo-arabskiéj, swego chowu, wszystkie po ogierze nazwiskiem „Śmiały“ taka jednolitość w stadninie każe dobrze wróżyć o jéj powodzeniu.

P. Henryk Unrug z Ryk (gub. Siedlecka), dobrze zasłużony na polu krajowego rolnictwa, nie wyłącza i hodowli koni z zakresu swéj działalności i na obecnéj wystawie przedstawia ją w okazach własnego chowu po ogierze trakeńskim; w liczbie ich znajdują się konie wierzchowe i robocze; prócz tego widzimy tu także konie robocze, przychowane po ogierze angielskim. Stado Sernickie p. Ludwika Grabowskiego reprezentowane było na wystawie przez konie pół krwi, po ogierach krwi pełnéj: „Dark-blue“ i „Le Sarrazin“, oba własnego chowu.

Rasa wschodnia przeważa w okazach dostarczanych przez właścicieli stadnin zamieszkałych w „południowo-zachodnich“ guberniach; do tych zaliczyć należy stadninę p. Wienczysława Karnickiego w Rohaczach (gub. Kijowska); konie te maści siwéj wszystkie w wieku lat czterech, przedstawiają cechy świadczące o ich pochodzeniu, ale zarazem i te właściwości, które dzisiaj konia wschodniego mniéj czynią popłatnym, mianowicie drobny wzrost i szczupłą budowę; wady, które jedynie ognisty temperament konia czystéj krwi wschodniéj wynagrodzić jest w stanie. Ale ta czysta, szlachetna krew jakże jest trudną do odnalezienia i jak każdą jéj kropelkę na wagę złota opłacać trzeba!

Bardzo zamożni mogą sobie tylko pozwolić tego zbytku ze względną pewnością powodzenia; przedstawicieli takiéj stadniny widzimy w koniach hr. Władysława Branickiego ze Stawiszcz; są to wprawdzie konie pół krwi, po dwóch celnych ogierach arabskich; czy te ogiery są oryginalne, importowane, czy téż przychowane i wyhodowane na miejscu, nie jest nam wiadomo; zresztą widzimy tu i konie angielskie pół krwi, oraz powozowe pół krwi suffolk, cleveland i perszerońskiéj.

P. Mikołaj Herburt-Heybowicz z Szarzyniec (gub. Kijowska), którego konie mieliśmy sposobność oglądać i podziwiać na wystawie przed dwoma laty, w tym roku przedstawił tylko jednego dwuletniego wiśniowo gniadego ogierka, w którym pokłada wielkie nadzieje, ponieważ ten okaz w rodowodzie swoim liczy 14-tu przodków czystéj, oryginalnéj krwi arabskiéj; czy te nadzieje się ziszczą, trudno dzisiaj jeszcze sądzić; cacko to jeszcze zbyt młode i drobne. Lecz właściciel, wytrawny znawca i miłośnik koni, prowadzący hodowlę już długie lata z powodzeniem, musi nadzieje swe opierać na pewnych danych.

Ze stadnin hr. Ludwika Krasińskiego widzimy w tym roku na wystawie same konie powozowe ciężkich ras norfolk, suffolk i tak zwane roadster'y urodzone w Osmolicach; ojca jednego z nich, suffolka słusznie nazwanego „olbrzymem“, oglądaliśmy na wystawie przed pięciu laty

P. Władysław Przyłubski z Zator (gub. Łomżyńska, pow. Pułtuski), piękną swoję stadninę pół krwi angielskiéj i anglo-arabskiéj przedstawił w dwunastu okazach, składających się przeważnie z klaczy, gdyż w téj liczbie mieści się jeden tylko wałach.

Na szczególną uwagę zasługują konie p. Władysława Boetticher'a z Leśmierza (gub. Kaliska. pow. Łęczycki), rasy mięszanéj, to jest pół krwi perszerońskiéj, krzyżowanéj z normandzką; i klacze i ogier, użyte do krzyżowania, są własnego chowu.

Wchodząca dziś w modę rasa ardeńska jako typ konia roboczego, najwłaściwszy dla naszych stosunków, znalazła na wystawie przedstawicieli w dwóch ogierach, dostarczonych przez p. Stanisława Kobierzyckiego z Chorzenic (gub. Piotrkowska, pow. Radomskowski), wyhodowanych u właściciela z klaczy fornalskich po ogierze ardeńskim. P. Józef Ostrowski z Życzyna (gub. Siedlecka) przedstawił bardzo ciekawe okazy, bo „ojca rodu", ośmioletniego ardeńskiego ogiera i liczne jego potomstwo, składające się z trzech ogierków dwu i trzyletnich, i tyluż klaczek tegoż wieku; widocznie właściciel dąży do rozmnożenia tego zawodu koni u siebie, w celu zaspokojenia potrzeby własnego gospodarstwa, gdyż żaden z tych okazów nie jest przeznaczony na sprzedaż.

Włościanie, jak zwykle, zajęci robotą w polu, nie mogli należycie przygotować swoich koni dla okazania ich na wystawie i dla tego widzimy tu tylko jednego Ignacego Welika z Polubicz (gub. Siedlecka) ze swoją „Własną", trzyletnią klaczą, krajowego pochodzenia, swojego chowu.

Jeżeli mówiąc o kierunkach hodowli koni, musieliśmy uwzględniać tradycyjne u nas zamiłowanie do chowu tego szlachetnego zwierzęcia, tłómacząc tém niejednokrotnie fakta, niezgodne z ekonomicznem znaczeniem hodowli, to w dziale bydła wkraczamy już w dziedzinę czysto gospodarczą i w kierunku. w jakim chów jest prowadzony, upatrujemy dążności do osiągnięcia czystego zysku, bez czego żadne gospodarstwo istniéć nie może. Zysk ten zależy od bardzo wielu okoliczności, ogólnych i miejscowych, które tu wyliczać byłoby zbytecznem, ale głównie od popytu i podaży produktów, jakie na dany punkt zbytu dostarczyć możemy. Odległość tego punktu handlowego od miejsca produkcyi, rodzaj i stan dróg komunikacyjnych, większe lub mniejsze zaludnienie okolicy, oraz miejscowe gospodarskie warunki, stanowią o formie, w jakiéj produkt ma być na targ dostarczony. W bezpośredniem sąsiedztwie wielkich miast i osad fabrycznych, a więc w okolicach podmiejskich, zbyt mleka w stanie świeżym przynosi najwyższe korzyści i tutaj krowa najlepiéj opłaca zadawaną jéj paszę, która zakupywana

w mieście w postaci odpadków fabrycznych, jak otręby, słodziny, makuchy itp. stanowi ważny, a nieodzowny dodatek do paszy, wyprodukowanéj na miejscu w samémże gospodarstwie, gdyż w podobnych warunkach bywa jéj zbyt mało, aby za jéj pomocą wyżywić oborę liczniejszą niżby być mogła w innéni położeniu. Wychów cieląt kosztowałby w takich razach zbyt drogo, zmniejszając dochód z mleka, które nie mogłoby być sprzedane, ale musiałoby być obracane na karmienie cieląt. Gospodarz zatém wyprzedaje cielęta, skoro te są już na rzeź zdatne, a na miejsce krów wybrakowanych kupuje nowe: im te są mleczniejsze, im pochodzenie ich z obory, stale prowadzonéj w kierunku największéj mleczności, więcéj przedstawia rękojmi, tém korzystniéj dla niego, ponieważ przy szybkim obrocie kapitału zyski jego tém będą większe. Gospodarzowi nie chodzi zatém o *jakość* mleka, pod względem zawartości w niém tłuszczu, lecz o największą jego *ilość*. Rasy bydła, celujące taką wydajnością mleka, są to t. zw. nizinne, jak holenderska, pochodzące od niéj angielska krótkoroga (shorthorn) i chołmogorska, oraz oldenburska i żuławska.

W większéj odległości od miasta, gdzie zbyt mleka w stanie świéżym nie może miéć miejsca, spieniężanie nabiału następuje w postaci przerobów, a mianowicie masła i séra. Jeśli ta odległość nie przenosi kilkunastu wiorst, a komunikacya z miastem w każdéj porze jest ułatwiona, wtenczas zbyt nabiału w postaci świéżego, stołowego masła jest w takich warunkach najkorzystniejszym, a wyrób zwykłych chudych serów z mleka, pozostałego po wydzieleniu śmietany, dopełnia reszty. W większéj znowu odległości od ognisk zbytu i konsumcyi, masło świéże ustąpić musi miejsca solonemu, przeznaczonemu na dłuższe przechowanie i sprzedawanemu w większych partyach, albo téż wyrobowi sérów tłustych, których tak wiele rozlicznych jest gatunków, cieszących się większym lub mniejszym popytem, w miarę upodobania konsumentów. Rasy bydła, hodowane w podobnych warunkach, powinny odznaczać się znaczną, stosunkowo, ilością mleka, przy wielkiéj zawartości w niém tłuszczu: temi przymiotami celują górskie rasy bydła, jak szwajcarskie: bern, simmenthal i schwytz, algauska, montafuńska i niektóre odmiany, czyli podrasy tychże. Woły tych ras są téż bardzo dobre do roboty.

Mięsną *per excellentiam* rasę stanowi angielska krótkoroga (shorthorn, czyli durham), o cienkiéj, wątłéj budowie szkieletu, wielkiéj masie mięsa, ze szczególną zdolnością do osadzania tłuszczu pomiędzy włóknami mięsnemi, oraz wczesnością rozwoju i wzrostu. Wół téj rasy w ośmnastym miesiącu życia zdatny już jest na rzeź.

Wszystkie te kierunki hodowli mają swoich przedstawicieli na wystawie w okazach, pochodzących z celniejszych obór w kraju.

Bydło rasy holenderskiéj wystawili: p. Stanisław Ciechanowski z Grodźca (gub. Piotrkowska), który dał na wystawę trzy krowy, trzynaście jałówek, trzy buhaje i dwa woły, razem 21 sztuk ze swéj pięknéj obory. P. Henryk Unrug z Ryk (gub. Siedlecka), trzy buhaje i sześć jałowic; p. Mikołaj Glinka ze Szczawina (gub. Łomżyńska) trzy krowy, cztery jałowice, dwa buhaje stadne i cztery buhajki roczne; Bernard hr. Plater z Hruszniewa (gub. Siedlecka) cztery buhaje i cztery jałowice; p. Zygmunt Donimirski z Kożuszek (gub. Warszawska), cztery buhaje i cztery krowy; p. Zygmunt Koelichen z Włoch (pod Warszawą), trzy buhaje, dwie krowy i cztery jałowice; p. Władysław Krauze z Radzikowa (gub. Warszawska), cztery buhaje i sześć jałowic. Hr. Juliusz Piotrowski z Ujazdu (gub. Piotrkowska), buhaja i trzy jałowice; wreszcie p. Honorata Łukasiewiczowa z Tulibowa (gub. Płocka) buhaja, cztery krowy i cztery jałowice. Razem było na wystawie bydła holenderskiego dziewięćdziesiąt jedna sztuka.

Bydło ras górskich należało do następujących wystawców: p. Zygmunt Donimirski z Kożuszek przedstawił siedm buhai rozmaitego wieku i dwie krowy rasy schwytz, wszystkie swego chowu, oprócz wyżéj wymienionych okazów rasy holenderskiéj; p. Wiktor Suski z Golian siedm buhai, sześć krów i dziesięć jałówek téjże rasy, również swego chowu; p. Jan Roth z Wierzchowic (gub. Grodzieńska, pow. Brzeski) trzy buhaje i siedm jałowic, rasy schwytz, krzyżowanéj z tyrolską; hr. Katarzyna Plater z Hruszniewa dwa buhaje i cztery jałowice rasy schwytz; razem bydła rasy schwytz sztuk pięćdziesiąt.

Piękna, mleczna i wydająca dobre do roboty woły rasa montafun przedstawioną była na wystawie przez oborę ks. Włodzimierza Czetwertyńskiego z Suchowoli (gub. Siedlecka) w liczbie jedenastu okazów, z których siedm buhai przeznaczone było na sprzedaż, cztery zaś jałowice nie do sprzedania. Taż sama rasa, przedstawiona przez oborę p. Tytusa Dembowskiego z Nacpolska (gub. Płocka), znaną zaszczytnie z poprzednich wystaw, liczyła w obecnym roku czternaście okazów, a mianowicie, cztery buhaje, cztery krowy, cztery jałowice i dwa woły. Rasy montafuńskiéj było zatém na wystawie razem 25 okazów.

Rasę algauską w tym roku przedstawił tylko p. Teodor Jelnicki z Bukowia (gub. Piotrkowska), w liczbie trzech buhai. Tak więc, na tegorocznéj wystawie rasy górskie liczyły w ogóle siedmdziesiąt ośm okazów.

Właściciel wzorowo prowadzonego gospodarstwa w Zatorach, p. Władysław Przyłubski, oprócz stadniny i słynnéj swéj owczarni, nie zaniedbał przedstawić na wystawie i obory swojéj, mieszczącéj w sobie bydło rasy krzyżowanéj, a mianowicie miejscowéj, poprawianéj najprzód oldenburską, a następnie berneńską; widzimy na wystawie dwie krowy, cztery jałowice, jednego buhaja i dwa woły robocze, jako okazy téj obory, która jednolitością maści i kształtów świadczy o racyonalnéj metodzie krzyżowania, któremu za podstawę służyła rasa miejscowa. Na tę okoliczność zwracamy uwagę wszystkich hodowców i pragnęlibyśmy na przyszłych wystawach, czy to centralnych w Warszawie, czy téż prowincyonalnych, do których urządzania Radom z takiém powodzeniem dał inicyatywę, widziéć obory, złożone z okazów bydła krajowego, ulepszonego przez dobre utrzymanie i staranny dobór sztuk rozpłodowych. Takiemi były okazy krów rasy krajowéj, t. zw. świętokrzyskiéj, przedstawione przed dwoma laty przez hr. Ludwika Krasińskiego i p. J. M. Kamińskiego. Jeśli niektórzy hodowcy z powołania wychodząc z teoretycznéj zasady, bydłu temu zaprzeczają miana samoistnéj rasy, niemniéj przeto bydło to istnieje, posiada wspólne cechy pod względem maści i kształtów, krowy dają nie wiele wprawdzie, ale bardzo dobrego mleka i są matkami najlepszych, jakich sobie tylko życzyć można, wołów roboczych. Że zaś krowy miejscowe przy stosowném żywieniu mogą się odznaczać mlecznością, nie ustępującą rasom zagranicznym, dowodzą tego dwa okazy, przedstawione przez p. Antoniego Boenisch'a z Warszawy, z których jedna krowa daje po ocieleniu pięć, a druga ośm garncy mleka i doi się prawie do samego ocielenia.

Trzy krowy i jeden buhaj rasy angielskiéj krótkorogiéj (shorthorn), wystawione przez Zygmunta bar. Dangla, dopełniają działu bydła na tegorocznéj wystawie.

Nagły przewrót, dokonany w stosunkach ekonomicznych kraju, obniżką cen zboża, wywołaną przez konkurencyą amerykańskiéj pszenicy na rynkach europejskich, na naszym zaś przez dowóz rosyjskiéj mąki krupczatki, lepszéj i tańszéj od produktów naszego młynarstwa, był bodźcem dla krajowego rolnictwa do podjęcia usiłowań na inném polu wytwórczości, dotychczas zaniedbaném. Dotąd gospodarstwo nabiałowe znajdowało się u nas na bardzo niskim stopniu rozwoju, ustępując przed owczarstwem na drugi plan i ograniczając się na okrzyczanym i nie wytrzymującym krytyki systemie pachciarskim. Zwrót jednak ku lepszemu, już od lat paru jest widoczny. Jeśli na wystawie widzimy okazy solonego, trwałego masła, pochodzące z dalekich okolic, to masło świéże, stołowe, czyli

t. zw. śmietankowe dostarczają gospodarstwa, położone w pobliżu Warszawy.

Wybornym smakiem, doskonałością wyrobu i nader starannćm opakowaniem odznacza się na wystawie masło p. Władysława Łozińskiego z Czernika (przez stacyą drogi żel. warszawsko - petersburskiéj Tłuszcz).

Na uwagę téż zasługuje masło solone i niesolone p. Kisielnickiego Zygmunta z Korzenistego (gub. Łomżyńska), jako téż masło p. Konstantego Sliwowskiego ze Skardyowa (p. Dorohusk). P. Adolf Jełowicki z Franopola (gub. Wileńska), posiadający mleczarnię urządzoną na wielką skalę, wyrabia masło. przeznaczone na wywóz za granicę, a z odtłuszczonego mleka słodkiego sery chude na sposób holsztyński; sery te były na naszéj wystawie przed dwoma laty; obecnie p. Jełowicki okazał masło w opakowaniu, tak jak bywa wysyłane do Londynu. Masło to, w skutek konieczności stosowania się do nawyknień i upodobań odbiorców, jest farbowane orleanem na kolor pomarańczowy; sprzeciwia się to naszym pojęciom, gdyż my przedewszystkiém cenimy w maśle naturalny jego żółty kolor, którego nabywa wtedy, gdy krowy chodzą już na pastwisko. Biały kolor masła zimowego dla każdego jest nieprzyjemny, lecz sztucznie nadana barwa na miejsce jednéj ujemnéj strony podstawia inną, ale złego nie usuwa, ponieważ nie wiadomo co się pod tą barwą kryje. Nie czynimy tu bynajmniéj zarzutu towarowi p. Jełowickiego, tylko zwyczajom i upodobaniom angielskim. Tegoż wystawcy jest masło t. zw. paryskie, niesolone, ze słodkiéj nagrzewanéj i nienagrzewanéj śmietanki.

Najciekawszym przedmiotem w dziale nabiału jest laboratoryum bar. K. Lessera, gdzie widzimy bogatą kolekcyą przyrządów w gospodarstwie mleczném używanych, jako to skopki do dojenia, naczynia z blachy żelaznéj cynowanéj do przenoszenia mleka, chłodnice do mleka Lawrence'a, kierznie, czyli maślnice beczkowe Lefeldt'a, tegoż obrotowe wygniatacze do masła, naczynia blaszane do podstawania się mleka podług systemu szwedzkiego Swartz'a (przy niskiéj temperaturze), przytém centryfugę, poruszaną za pomocą dwukonnego maneżu, a wydzielającą z mleka do 98% zawartéj w niém śmietany. Przyrząd ten powołany jest do odegrania ważnéj roli w wielkich gospodarstwach nabiałowych, liczących co najmniéj 60 krów dojnych. Użycie jego usuwa zupełnie potrzebę obszernych piwnic, mnóstwa naczyń do mleka, które łatwo się tłuką i ciągłéj wymagają baczności, aby je zawsze utrzymać w stanie zupełnéj czystości, przyśpiesza bardzo robotę koło nabiału, czyni możebném zastosowanie podziału pracy a mleczarstwo z podrzędnéj roli domo-

wego zatrudnienia, wprowadza na stanowisko wielkiego przemysłu. Brak miejsca nie pozwala nam wchodzić w bliższe szczegóły, dotyczące tego przedmiotu, ponieważ inne jeszcze działy wystawy domagają się choćby pobieżnéj wzmianki; z przyjemnością wszakże przychodzi nam zaznaczyć, iż demonstracye bar. Lesser'a, wsparte wyczerpującemi ustnemi wykładami, stanowiły prawdziwą ozdobę wystawy; szkoda tylko, że słuchaczami byli przeważnie mężczyzni; piękne panie wolały oglądać wstążki, kapelusze i koronki, niż poświęcić trochę czasu téj ważnéj gałęzi gospodarstwa, będącéj dotychczas wyłącznym ich wydziałem, a traktowanéj przez nie, powiedzmy prawdę, trochę po macoszemu, bo bez gruntownéj podstawy, jaką każdemu przedsiębierstwu nadaje wiedza i świadomość celu, do którego dążymy.

Jeśli hodowla bydła zaczyna u nas dopiero budzić się z letargu i wstępować na racyonalne tory, to owczarstwo oddawna już zajęło odpowiednie dla siebie stanowisko i zepchnąć się z niego nie da, a to z powodu klimatycznych i ekonomicznych warunków kraju. Obszerne przestrzenie lekkich, pagórkowatych gruntów, stanowiących na przemian z uprawą rolną, pastwiska, które tylko owca cienko-wełnista najlepiéj wyzyskać potrafi, zapotrzebowanie wyrobów z wełny sukienniczéj i czesankowéj wyższych gatunków, czynią chów owiec cienko-wełnistych zyskownym o tyle, że ten rodzaj inwentarza dochodowego zdolny jest opłacić koszta utrzymania i paszy, da nawóz darmo i pozostawi gospodarzowi jeszcze pewien zysk czysty i to ryczałtowo, w takiéj porze, w któréj wszelkie inne źródła dochodu z gospodarstwa są nieczynne, wydatki natomiast mnożą się z każdą chwilą. Aby to jednak osiągnąć, potrzeba chów prowadzić racyonalnie, dążąc do najwyższéj wydajności wełny obok jéj cienkości, sprężystości i w ogóle tych wszystkich zalet, które specyaliści obejmują ogólną nazwą szlachetności i charakteru wełny. Każdy, kto miał sposobność oglądać uszlachetnione owczarnie mniéj więcéj przed pół wiekiem, kiedy to najwyższa cienkość wełny była jedynym celem, a owca t. zw. elektoralna, drobna, wątła, łatwo ulegająca chorobom, z gołemi nogami i brzuchem, uchodziła za szczyt hodowli, dając w strzyży przeciętnie ze sztuki około $1\frac{1}{2}$ funta wełny i porówna je z dzisiejszemi owczarniami rasy elektoralno-negretti z wełną wysoko cienką, wyrównaném, gęstem i jędrném runem okrywającém owce duże, silnéj budowy, z obrosłemi po raciczki nogami, dającemi w strzyży nierzadko po $4\frac{1}{2}$ funta wełny przeciętnie ze sztuki, ten przyzna, iż postęp jest widoczny.

Zasługę przypisać należy zarodowym owczarniom, których właściciele nie szczędzą kosztów i pracy, aby odświéżając krew swych

gromad przez zakupno wyborowych tryków w słynnych owczarniach Szlązka, W. ks. Poznańskiego i Meklemburga, przez sprzedaż przychowanych u siebie tryków zaopatrują inne krajowe owczarnie w potrzebny im materyał ulepszający. Nie mniejszą zasługą jest praca specyalistów prowadzących hodowlę, których kilku w kraju naszym posiadamy, a którzy obejmując kierownictwo hodowli w powierzonych im owczarniach, przez dobór sztuk rozpłodowych, brakowanie osobników, nie odpowiadających celom hodowli, oraz sprowadzanie tryków z innych owczarń, wytrwale dążą do zamierzonego celu.

Wymienimy tu właścicieli pierwszorzędnych owczarń w kraju, którzy okazy swe na wystawę nadesłali.

a) Owce elektoralno-negretti: p. Władysław Przyłubski z Zator, hr. Stanisław Alexandrowicz z Konstantynowa, p. Jan Górski z Woli Pękoszewskiéj, p. Wacław Łuszczewski z Kociołek, p. Gustaw Ponikiewski z Przewodowa, hr. Tadeusz Plater-Zyberk z Wojcieszkowa p. Henryk Unrug z Ryk.

b) Owce rambouillet i rambouillet negretti: p. Wł. Przyłubski z Zator, p. Jan Karczewski z Sielca, p. Adolf Poths z Bożéj-woli.

Z wystawców pozakrajowych: owce negretti: baron Gersdorff z Parska (W. ks. Poznańskie), p. Konstanty Szczaniecki z Międzychoda (W. ks. Poznańskie), hr. Schaffgotsch z Kopca (Kopitz, na Szląsku), baron Maltzahn z Gützkow (Meklemburg); owce rambouillet: hr. Stanisław Walewski z Grüben (górny Szląsk), i p. H. Goedecke z Zuzelli (Szląsk).

Owce rasy mięsnéj, oxfordshieredown, przedstawił jak zwykle baron Zygmunt Dangel z Rochal, zajmujący się specyalnie tą hodowlą, tudzież p. Kazimierz Myszczyński z Żab (gub. Warszawska, pow. Błoński).

Z pomiędzy wszystkich zwierząt domowych, chów trzody chlewnéj najmniéj przedstawia trudności. Wielka płodność, szybki wzrost i wczesny rozwój osobników, należących do ras poprawnych, i wyłączny użytek na mięso i tłuszcz, czyni możliwemi wszelkie zmiany w kierunku hodowli w stosunkowo krótkim czasie, podług tego czy większe jest zapotrzebowanie na rasy małe, wykształcające się najwcześniéj i wydające najdelikatniejsze i najsmaczniejsze mięso, czy też na średnie, najprzydatniejsze na szynki i wędliny, czy też na duże, wymagające dłuższego do wykształcenia się czasu i przeważnie tuczone na słoninę. Takiego zwrotu w hodowli dokonała pani Izabella Ryx z Prażmowa; przedtem hodowała średnią czarną rasę berkshire, któréj okazy znajdowały łatwy pokup do Prus, dokąd je też dostarczała całemi wagonami. W skutek zamknięcia granicy

pruskiéj dla nierogacizny, handel ten ustał i dzisiaj przedmiotem hodowli w téj wzorowo prowadzonéj chlewni jest rasa yorkshire biała, przydatniejsza do tuczenia na słoninę. Niektóre okazy są rzeczywiście bez zarzutu pod względem doskonałości form. Do czego tuczenie takich okazów doprowadzić może, świadczy opasowy wieprz „Samson" wystawiony przez p. Antoniego Bobrowskiego ze Snopkowa pod Lublinem, ważący 900 funtów. Wieprz ten, oraz inne okazy wystawione przez tegoż wystawcę należą do białéj rasy lincoln, również jak trzoda wystawiona przez hr. Aleksandra Jezierskiego z Garbowa (gub. Lubelska). Czarne berkshiry przedstawił tylko p. Julian Zieliński z Turowic (gub. Warszawska).

W dziale drobiu, jak zwykle, pierwszeństwo należy się okazom wystawionym przez panią Izabelę Ryx. Są tu kury najrozmaitszych ras, kaczki białe pekińskie, szare gęsi tuluzkie, śliczne czarne indyki, świadczące o umiejętnéj hodowli prowadzonéj w pewnym wytkniętym kierunku. Pani Marya Rejchel zaś dała na wystawę ładne białe gęsi łabędziowe, białe kaczki bretońskie, kury włoskie. Kury angielskie dorking przedstawił p. Kazimierz Śliwiński z Warszawy, parę zaś bażantów Zarząd księstwa Łowickiego. Gołębi na wystawie w tym roku nie było.

Księżna Róża Lubomirska z Kruszyny przysłała na wystawę króliki rasy angora, odznaczające się delikatnym puchem, p. Konrad Skierkowski zaś, króliki rasy belier i leporydy hodowane na mięso, oraz angorskie.

Psów także znajdowało się dużo na wystawie, lecz o nich z powodu braku miejsca mówić nie będziemy, ograniczając się w naszém sprawozdaniu do działu czysto gospodarczego, z pominięciem okazów dotyczących tylko sportu lub upodobania. Nim jednak rzecz naszą zakończymy, niech nam wolno będzie choć przelotném rzucić okiem na pozakonkursowy dział machin i narzędzi rolniczych i wyprowadzić ztąd niektóre wnioski.

Wszyscy prawie właściciele składów machin i narzędzi rolniczych w Warszawie wzięli udział w wystawie jakby dla zamanifestowania swojéj obecności. Widzimy tu następujące firmy: Alfred Grodzki, H. Goldenring, Cegielski, Trylski i Ska, Wasilewski i Pilaski, Zygmunt Ostrowski, Ławicki. Wszystkie one sprowadzają machiny i narzędzia z najlepszych fabryk zagranicznych i pośredniczą w rozprzedaży towaru wyrabianego przez firmy, których są reprezentantami. Wiele jest pomiędzy temi machinami i narzędziami takich, które się cieszą ustaloną wziętością, jak lokomobile i młocarnie parowe Claytona i Shuttleworth'a, pługi i siewniki rzędowe Sack'a, kosiarki i żniwiarki Wood'a itd. Obecnie wszakże wysokie cło nałożone na

te wyroby czyni je mniéj pokupnemi, a tém samém zmniejsza obroty handlowe i zyski firm pośredniczących. Czy jednak krajowe fabryki zdolne są wyzyskać tę okoliczność na swoję korzyść i tańszym wyrobem zadowolnić odbiorców? Odpowiedź musi wypaść przecząca, z wyjątkiem może firm takich jak Lilpop, Rau i Loewenstein lub Warszawska akcyjna fabryka machin i narzędzi. Warsztaty p. Józefa Sucheni'ego w Gidlach, fabryka p. M. Wolskiego w Lublinie, p. Sarny w Płocku, firmy Rehfeld, Dubeltowicz i S-ka fabryka machin i narzędzi w Bliżynie, pomimo całéj staranności w dokładności wyrobu, nie mogą skutecznie walczyć z taniością zagranicznych kapitałów, a nie posiadając tak rozległych stosunków, nie mają tak zapewnionego zbytu na swe wyroby, iżby mogły specyalizować się w szczuplejszym zakresie obranego przedmiotu, co właśnie stanowi siłę fabryk zagranicznych, zwłaszcza angielskich i amerykańskich. Wspomnieć tu należy specyalną fabrykę żniwiarki noszącéj nazwę „przodownica“ p. Floryana Grubińskiego, która to machina wytrwale doskonalona przez wynalazcę, zdaje się mieć przyszłość przed sobą, czego zresztą dowiodą porównawcze próby, przeprowadzone we właściwym czasie. *Stanisław Rewieński.*

II. Dział przemysłowy.

Tegoroczna wystawa przemysłowa w Warszawie nie daje zupełnego obrazu obecnego stanu przemysłu i rękodzieł w kraju naszym. Niejedna z gałęzi wytwórczości, zajmujących poważne stanowisko w naszém życiu przemysłowém nie, jest wcale reprezentowaną na wystawie, lub reprezentowaną słabo przez stosunkowo nieznaczną ilość okazów, natomiast niektóre rodzaje pracy przemysłowéj, znajdujące się u nas dopiero w zaczątku i odgrywające podrzędną rolę w ogólnéj produkcyi przemysłu krajowego, wystąpiły pokaźnie, i ilością nadesłanych okazów zajęły na wystawie miejsce wybitne. Objaw ten nie jest bynajmniéj miejscowym,—gdyż można go zauważyć na wszystkich niemal wystawach międzynarodowych i krajowych. Główną albowiem pobudką współudziału przemysłowców w wystawach jest w zasadzie wzgląd na dobrze zrozumiany interes własny? Stąd pochodzi, iż zazwyczaj na wystawach najpokaźniéj przedstawiają się te rodzaje przemysłu, które użto wskutek niedostatecznego rozpowszechnienia wyrobów, użto wskutek silnego współzawodnictwa, są zmuszone starać się o zyskanie nowych miejsc zbytu;—najsłabiéj zaś te gałęzie pracy, które mają ustalony odbyt na rynkach handlowych. Na zmniejszenie liczebnego udziału przemysłowców w wystawie wpływają także częstokroć warunki miej-

scowe, (zwłaszcza znaczna odległość zakładu fabrycznego) lub chwilowa stagnacya w rozwoju technicznym i rodząca się stąd obawa narażenia renomy zdobytéj w lepszych czasach. Są wreszcie i tacy, którzy stale usuwają się od współudziału w wystawach, wychodząc z zasady, że wystawy ogólne, obejmując cały zakres pracy przemysłowéj i rękodzielniczéj, nie przynoszą zazwyczaj oczekiwanych korzyści, nie wytwarzają nowych dróg dla zbytu i nie wywołują ulepszeń w metodach produkcyi;—a snać, iż pogląd ten jest niezupełnie bezzasadnym, i że doświadczenia lat ostatnich musiały dostarczyć pewnych faktów, popierających jego słuszność, skoro w krajach zachodnich przebija się co raz to silniéj dążność do zastąpienia wystaw ogólnych, przez wystawy specyalne, urządzane oddzielnie dla każdéj gałęzi przemysłu.

Nie wyłamując się z pod ogólnego prawidła, obecna wystawa nasza jest zbiorem najwytworniejszych okazów pewnéj części produkcyi krajowéj, jest kalejdoskopem oderwanych i w sztucznem oświetleniu przedstawionych objawów naszego życia ekonomicznego,—lecz pogląd na obecny stan przemysłu krajowego oparty wyłącznie na danych dostarczonych przez wystawę byłby z wielu względów chybionym. Z tych powodów postaramy się przy opisie ważniejszych działów wystawy, podać w treściwym zarysie ogólne poglądy na rozwój w latach ostatnich i obecny stan niektórych gałęzi produkcyi, oparte na podstawie danych statystycznych,—przyczém będziemy dawali pierwszeństwo wiadomościom, zaczerpniętym ze źródeł urzędowych. W przeglądzie przedmiotów wystawianych przeważnie uwydatnimy te okazy, które zasługują na wyróżnienie ze względu na nowość i użyteczność pomysłu, na ulepszenie, lub uproszczenie wyrobu, na uzasadnioną konstrukcyą, lub artystyczne wykończenie.

Zanim jednakże przystąpimy do właściwego przeglądu wystawy, uważamy za stosowne, rzucić okiem na urządzenie jéj zewnętrzne. Wystawa przemysłowa, będąca właściwie tylko działem wystawy rolniczo-przemysłowéj, otwartą została w d. 9 czerwca r. b. i mieści się placu Ujazdowskim. Większa część wystawców skorzystała z prawa urządzania własnych pawilonów i kiosków, których ogólna ilość przedstawia pokaźną cyfrę stu kilkudziesięciu. Wszystkie niemal te budynki są urządzone gustownie, niektóre ze zbyteczną poniekąd okazałością. Pawilonowy system ten dodaje wystawie ożywienia i ruchu, lecz jednocześnie powoduje znaczne niedogodności dla odwiedzających wystawę nie w celu chwilowéj rozrywki. Wskutek albowiem rozrzucenia przedmiotów po pawilonach, zestawienie porównawcze okazów jednorodnych i zbadanie całości pew-

nego działu pracy, jest połączone ze znacznemi trudnościami i mitręgą. Zaznaczamy przytém, że z małemi wyjątkami motory i maszyny wystawione, są bezczynne, — że sposób wyrabiania przedmiotów, lub przeznaczenie narzędzi i przyrządów również mało gdzie jest w sposób doświadczalny uwidoczniane i że objaśnienia udzielane zwiedzającym, w kioskach i pawilonach, ograniczają się przeważnie na oznaczaniu cen okazów. Zwiedzając w roku zeszłym międzynarodową wystawę motorów drobnego przemysłu w Wiedniu, mieliśmy możność poznać odmienny sposób urządzenia wystawy przemysłowéj, oparty na innych zasadach, a porównanie wystawy téj z obecną mimowoli nasuwa nam się pod pióro. Okazy jednorodne zebrane były w Wiedniu w oddzielne grupy, z możebném uwzględnieniem systemu warsztatowego. Znaczna część przedmiotów wystawionych, wyrabianą była na miejscu w warsztatach, urządzonych przez wystawców. Zwiedzający wystawę mógł więc przypatrywać się galwanizowaniu metalów, obróbce kamienia, robotom stolarskim, introligatorskim, drzeworytniczym, poznawał naocznie manipulacye przy przygotowywaniu cygara z liścia tytuniowego, rękawiczki, lub rzemienia z kawałka skóry, popielniczki z kawałka blachy,—widział wykonywane roboty szewckie przy użyciu maszyn do szycia skóry,—poznawał zastosowanie narzędzi i przyrządów. Przy okazach zaś, których wyrób na miejscu był z jakichkolwiekbądź względów niemożebnym, ustawiono materyały surowe w różnych stadyach przeróbki, dla uwidocznienia sposobu fabrykacyi danego przedmiotu. Wszystkie motory i maszyny były w ciągłym ruchu (z przerwą jedynie w godzinach południowych) i wykonywały właściwe roboty.—Specyaliści zaś uproszeni przez komitet miewali w obrębie wystawy odczyty i dawali objaśnienia zwiedzającym.

Wiemy, że wprowadzanie projektów w czyn zależy od warunków miejscowych i środków rozporządzalnych, sądzimy jednak, iż przy urządzaniu wystaw naszych, dałoby się zastosować niejedno ulepszenie, bez uszczerbu dla strony finansowéj przedsięwzięcia. Zapewne, że zastąpienie gustownych pawilonów przez warsztaty, nie obyłoby się bez uszczerbu dla okazałości wystawy, ale natomiast nadałoby jéj cechę przedsięwzięcia poważnego i w skutkach swych użytecznego. Wystawa warsztatów i maszyn w ruchu, nie będzie wprawdzie ponętną dla publiczności, szukającéj chwilowéj rozrywki, lub wytchnienia po emocyach doznanych na placu wyścigowym, ale natomiast zgromadzi i zainteresuje poważne zastępy ludzi pracy, drobnych przemysłowców, rzemieślników i czeladzi, których żywotne interesa osobiste są ściśle związane z warunkami bytu i rozwoju przemysłu i handlu krajowego.

Po zboczeniu tém wracamy do właściwego tematu pracy naszéj i rozpoczynamy sprawozdanie o wystawie od przeglądu zasobów przyrodzonych kraju i metod ich eksploatacyi i przeróbki.

Przemysł górniczy w dawnéj Polsce, dzięki zachęcie i opiece królów, rozwijał się pomyślnie i starał się utrzymać na wysokości techniki ówczesnéj. Wydobywano sól w Bochni i Wieliczce, siarkę w niektórych okolicach w pobliżu Krakowa,—srebronośny błyszcz ołowiu i następnie galman w okolicach Olkusza,—marmury, a także rudy ołowiane i miedziane w okolicach Chęcin i Kielc,—wydobywano i przetapiano rudy żelazne w rozmaitych miejscowościach kraju, i nareszcie poszukiwano i wydobywano na coraz to większą skalę węgiel kamienny w zagłębiu węglowém w okolicach Dąbrowy, w granicach polskiego Górnego Szląska. Po upadku bytu politycznego narodu, górnictwo krajowe znalazło gorliwego opiekuna w Staszicu, który przez utworzenie akademii górniczéj w Kielcach dał początek kształceniu się u nas w zawodzie górniczym. Z inicyatywy Staszica i za jego staraniem prowadzone były rozległe badania geologiczne kraju, jako dalszy ciąg prac przeprowadzonych już poprzednio (w latach 1794 — 1796) z polecenia rządu pruskiego. Wpływ reform Staszica uwidocznił się w pomyślnym rozwoju górnictwa za czasów ruchliwéj administracyi ks. Lubeckiego i następnie pod umiejętnym zarządem hr. Henryka Łubieńskiego.—Po ustąpieniu Łubieńskiego przemysł górniczy, nie doznając poparcia ani zachęty ze strony władz krajowych, szybko chylił się do upadku. Kierunek nadany przez Staszica i Łubieńskiego zwichnięty został w rękach rządu, który widząc niepomyślny stan rzeczy, objawiający się w ciągłém zmniejszaniu się produkcyi, zaniechał zrazu eksploatacyi niektórych kopalń, a następnie powziął zamiar pozbycia się wszystkich kopalń i zakładów hutniczych. Z upadku tego podźwignęło się górnictwo krajowe dopiero w ostatnim lat dziesiątku pod ożywczym wpływem prawa, z d. 20 czerwca 1870 r. i wskutek przejścia kopalni węgla w ręce przedsiębiorczych towarzystw prywatnych. Pod wpływem tych okoliczności oraz z powodu upadku kursu i wprowadzenia opłaty cła w złocie produkcya węgla w okolicach Dąbrowy i Sosnowca doszła do niebywałych przedtém rozmiarów, a przeprowadzenie kolei Dęblińsko-Dąbrowskiéj budzi uzasadnioną nadzieję rychłego odrodzenia górnictwa w okolicach Kielc, Chęcin i Olkusza. Wreszcie, Zakłady solne w Ciechocinku mają wkrótce przejść w ręce towarzystwa prywatnego, które zamierza prowadzić produkcyą, obliczoną na 250000 pudów rocznie, przy zastosowaniu metod obecnéj techniki górniczéj,—i odbudować linią drogi żelaznéj, która niegdyś łączyła zakłady solne ze stacyą Ciechocinkiem.

Obecnie jednakże najważniejszym ilościowo produktem górnictwa krajowego jest węgiel kamienny.

Formacya węglowa najlepiéj ze wszystkich pokładów geologicznych w kraju naszym zbadana, zajmuje przestrzeń stosunkowo niewielką, graniczącą na zachód i południe z Górnym Szląskiem i Galicyą, na północ zaś i wschód z pokładami drugorzędowemi. Eksploatacya węgla koncentruje się obecnie przeważnie w okolicach Dąbrowy Górniczéj, Niemiec (wieś w pobliżu Strzemieszyc) i Sosnowca. Węgiel kamienny jako materyał opałowy znalazł obszerniejsze zastosowanie w kraju naszym, dopiero w czasach ostatnich, dawniéj albowiem przy obfitości i niskich cenach drzewa opałowego nie odczuwano potrzeby paliwa mineralnego. Według źródeł urzędowych wydobyto węgla kamiennego w kraju naszym w czasie od 1796 do 1872 r., w kopalniach rządowych $33,_2$, w prywatnych zaś $367,_0$, czyli ogółem mało co więcéj nad 400 milion. korcy. Gdy następnie w skutek wytrzebienia wielkiéj części lasów, ceny drzewa opałowego znacznie się podniosły, ożywił się wprawdzie popyt na węgiel kamienny, lecz odbyt węgla krajowego był wciąż jeszcze stosunkowo małym, skutkiem silnéj konkurencyi węgla zagranicznego (szląskiego). Pod względem gatunku i wydajności ciepła bowiem węgiel z zagłębia dąbrowskiego nie dorównywa węglowi szląskiemu,—jest on suchy, siarczykowaty,—nie posiada zdolności koksowania się i zawiera stosunkowo znaczną ilość domieszek zanieczyszczających. W tych warunkach współzawodnictwo z węglem szląskim było utrudnione, témbardziéj, iż dotychczas nie odnaleziono w zagłębiu dąbrowskiém węgla koksującego się. Dopiero po wprowadzeniu opłaty cła w złocie i obniżeniu się waluty państwowéj, odbyt węgla krajowego począł szybko wzrastać i po latach dziesięciu doszedł (w r. 1883) do pokaźnéj cyfry $161,_8$ milj. pudów, czyli około $16,_3$ milj. korcy rocznéj produkcyi. W celu uwidocznienia tego nagłego wzrostu podajemy tabelkę wydajności kopalni krajowych w czasie od 1872 do 1883 r. ułożoną na podstawie urzędowych źródeł przez inż. górn. Choroszewskiego (1).

---

(1) Porówn. „Przegl. Techn." T. XIX, str. 151.

Rok	Wyprodukowano węgla kamiennego pudów	Pracowało w kopalniach ludzi	Przy kopalniach działało maszyn	
			sztuk	o sile w koniach parowych
1873	19892381	3255	41	2134
1874	23302783	3838	39	2082
1875	24390407	3610	44	2185
1876	27325117	3537	49	2636
1877	37363030	4429	54	2965
1878	54577979	5330	70	3443
1879	65612508	5612	48	2843
1880	77395923	4857	60	4316
1881	85303733	6235	99	6263
1882	83665013	6388	95	5480
1883	101786596	6878	123	5860

Ilości podane w powyższéj tabelce nie obejmują jeszcze produkcyi węgla brunatnego, który wydobywa się obecnie z jednéj tylko kopalni „Joanna", położonéj pod wsią Porębą - Mrzygłodzką. Z kopalni téj wydobyto w 1883 r. 606.568 pudów węgla brunatnego. Odkryte niespodziewanie w okolicach miasta Koła (gub. Kaliska) pokłady węgla brunatnego nie są dotychczas na większą skalę wyzyskiwane.

Zaznaczamy przytém, iż obecna wydajność kopalni krajowych nie zaspakaja wszystkich potrzeb miejscowych, i że dowóz węgla zagranicznego przedstawia pokaźną wartość 25—33% produkcyi węgla krajowego. Według sprawozdań komór celnych, dowieziono węgla zagranicznego w roku 1880 około 29,0, a w 1881 roku 27,5 milionów pudów.

Czynnych kopalni węgla kamiennego było w 1883 roku 26. Sposoby wydobywania węgla w kopalniach tych pozostawiają pod względem technicznym wiele do życzenia. Przeważnie stosowany jest jeszcze dotychczas tak zwany system rabunkowy, jako doraźnie tańszy;—w niektórych tylko kopalniach zaprowadzono racyonalniejsze metody eksploatacyi. W kilku większych kopalniach są urządzone sortownie mechaniczne, służące dla rozgatunkowania węgla i płuczki dla oczyszczania węgla od przymieszek niepalnych.

Na wystawie spotykamy okazy węgla tylko z 7 kopalni, należących do 4 właścicieli. Właściciele pozostałych 19 kopalni (a pomiędzy nimi sukcesorowie Kramsty, których kopalnie zajmują pod względem wydajności pierwsze miejsce w kraju i reprezentują 40% ogólnéj produkcyi węgla krajowego,)—nie wzięli udziału w wystawie. Z okazów wystawionych zasługuje na szczególną uwagę model wyzysku systemem podsadkowym (remblay), zastosowanym

w kopalniach dąbrowskich, dzierżawionych przez Towarzystwo Francusko-Włoskie; model sortowni mechanicznéj i wieży dobywalnéj w kopalni „Kazimierz“, należącéj do Warsz. Towarzystwa kopalni i zakł. hutniczych; oraz plany sortowni i płuczek mechanicznych systemu C. Lührig'a, urządzonych w kopalni „Jan“, należącéj do p. Łapińskiego.

Żelazo znajduje się w Królestwie Polskiém, w ilości stosunkowo małéj. Poczynając od Miedzianogórza ciągną się na północ aż do Łysej Góry i Św. Katarzyny skaliste wzgórza, zawierające obfitą rudę żelazną. Rudy żelazne formacyi dewońskiéj znajdują się w górach zwanych Klonowskiemi w postaci rud magnesowo - żelaznych. Rudy żelazne formacyi Kaypru znajdują się we wsi Mierzęcicach około Siewierza i w okolicach Strzemieszyc. Najobficiéj jednak napotykają się rudy żelazne wśród młodszych formacyj gub. Kieleckiej i Radomskiéj. Zawartość żelaza w rudach tych okolic jest bardzo znaczną i dochodzi w niektórych miejscowościach (jak np. w Chlewiskach) do 45% (1).

Kopalnictwo rud żelaznych nie podlegało do ostatnich czasów żadnéj ściślejszéj kontroli, w skutek czego ilości wydobytych rud nie mogą być dokładnie oznaczone, a odnośne cyfry, przytaczane przez niektórych autorów, mają wartość bardzo problematyczną.

Pomimo łatwéj topliwości i czystości rud żelaznych w okolicach Kielc i Radomia, hutnictwo żelazne chyli się tam do upadku. Od czasu albowiem gdy postęp techniki hutniczéj dał możność ekonomicznego wyrabiania żelaza na węglu kamiennym, zakłady metalurgiczne grupują się przeważnie w ogniskach kopalnictwa węglowego. Pierwszy tego rodzaju zakład w kraju naszym, zwany „Hutą Bankową“, wzniesiony został w roku 1834 w Dąbrowie, z inicyatywy i pod zarządem hr. Łubieńskiego. Zakład ten istnieje do dziś dnia i jest obecnie dzierżawiony przez francuskie towarzystwo akcyjne.

Do niedawna ograniczało się hutnictwo żelaza w kraju naszym na przetapianiu rud na surowiec, z którego wyrabiano następnie różne rodzaje żelaza handlowego, a ogólna produkcya żelaza w kraju nie przekraczała skromnych granic. Według Łabęckiego (1) znajdowało się w r. 1782 w obrębie dzisiejszego królestwa Polskiego 29 wielkich pieców i 75 fryszerek, których ogólna wydajność wynosiła na dzisiejszą wagę tylko 293.760 pudów surowizny rocznie. W r. 1872 było hut żelaznych w Królestwie 35 (z tych 4 rządowe

---

(1) Porówn. Hałaczkiewicz: „O bogactwie mineralném w król. Polskiém“ (Inż. i Bud. T. VII, str. 37).

(2) Łabęcki: Górnictwo w Polsce.

i 31 prywatnych), a wydajność żelaza w tymże roku wynosiła: w hutach rządowych 79 810 pudów żelaza kutego i 5862 pud. walcowanego, w hutach zaś prywatnych 780.491 pud. żel. kutego i 281.512 p. walcowanego, czyli razem 860.301 p. żel. kutego i 43.735 (?) p. walcowanego (1). Ożywienie hutnictwa żelaznego w Królestwie datuje się dopiero od połowy zeszłego lat dziesiątka. W tym albowiem czasie pod wpływem korzystnych chwilowo okoliczności, wywołanych upadkiem kursu, a następnie wprowadzeniem cła w złocie, powstał w kraju nowoczesny przemysł stalowy, który w skutek obstalunków rządowych z r. 1879 i budowy drugiego toru na drodze żel. warsz.-wiedeńskiéj, oraz budowy nowéj kolei z Dęblina do Dąbrowy, szybko się rozwinął i rychło zajął jedno z najwybitniejszych miejsc w ogólnéj produkcyi kraju.

Stal zaczęto wyrabiać u nas na większą skalę dopiero w r. 1878. Obecnie wyrabia się stal głównie w zakładach „Huty Bankowéj“ w Dąbrowie i we wzorowo urządzonéj Warszawskiéj fabryce stali na Pradze pod Warszawą. Zakłady „Huty Bankowéj“ wytapiają stal w piecach regeneracyjnych, systemu *Siemens-Martin*'*a*, według metody zastosowanéj po raz pierwszy przez *Martin*'*a* w r. 1866 w fabryce w Seruel we Francyi i udoskonalonéj następnie przez *Siemens*'*a*. W zakładach Warsz. fabryki stali wyrabianą jest stal w retortach systemu *Bessemer*'*a*. Żelazo zlewane (Flusseisen, fer fondu) zaczęto wyrabiać u nas w r. 1880, w tym albowiem roku urządzoną została pierwsza odlewnia stali systemu *Thomas*'*a* przy zakładach Warsz. fabryki stali.

Oznaczenie w cyfrach ogólnéj produkcyi żeleza, surowicy i stali w kraju napotyka trudności z powodu, iż źródła urzędowe są w tym względzie nie zupełnie pewne. Że tak jest, dowodzą cyfry, zaczerpnięte ze źródel urzędowych przez L. Karpińskiego (2), według których ogólna wytwórczość surowizny, żelaza i stali w królestwie miała wynosić w r. 1881: 2,6, a w r. 1882: 2,4 milj. pudów, kiedy w rzeczywistości produkcya samych tylko szyn stalowych wynosiła w r. 1881 około 3 milj. pudów. Choroszewski (3) twierdzi, iż w obrębie królestwa wyrobiono saméj tylko stali, w r. 1880: 4,4, a w r. 1881: 3,9 milj. pudów. Fabryki podają produkcyą swoją stali w r. 1884: na 3,1 milionów pudów.

---

(1) Według danych, ogłoszonych przez Skalkowskiego (sekretarza komitetu naukowego górnictwa w Petersburgu w czasopiśmie „Gornyj Żurnal“ za r. 1875.

(2) Porówn. L. Karpiński: „Gornozawodskaja promyszlennost Rossii w 1882 godu.“

(3) Porówn. „Przegl. Techn.“ T. XV, str. 135.

Ogólna produkcya rudy żelaznéj w królestwie, wydobywanéj na większą skalę w kopalniach rządowych, oraz w kopalniach „Huta Bankowa“, „Chlewiska“, „Bliżyn“, „Rzucow“ i „Twardowice“ nie pokrywa potrzeb krajowych. Surowiec zagraniczny sprowadzany jest przeważnie z Anglii.

Pod względem technicznym zakłady Warszawskiéj fabryki stali i „Huty Bankowéj“ są urządzone wzorowo i stoją na wysokości współczesnéj techniki metalurgicznéj. Na szczególne wyróżnienie zasługuje wyrób żelaza zlewnego w Warszawskiéj fabryce stali, reprezentowany na wystawie przez liczne wyborowe okazy żelaza sztabowego i fasonowego. Niemniéj korzystnie prezentują się pod względem technicznym wyroby stalowe, a zwłaszcza blachy i szyny przedstawione w okazach téjże fabryki i zakładów „Huty Bankowéj“, Godne uwagi są téż okazy żelaza kutego i walcowanego, wystawione przez francuskie towarzystwo metalurgiczne „Chlewiska“, którego zakłady położone w gub. Radomskiéj znajdowały się dotychczas w trudnych warunkach, z powodu braku komunikacyi kolejowéj i utrudnionego przezto dowozu węgla i koksu.

Hutnictwo miedziane znajduje się u nas dotychczas na bardzo niskim stopniu rozwoju, zarówno ze względu na ilość, jak i sposób wyrobu. Na wystawie reprezentowane jest przez znane zakłady w Osinach (gub. Piotrkowska), których ogólna produkcya roczna nie przekracza 25.000 pudów. Materyał surowy sprowadzany jest z zagranicy.

Hutnictwo cynkowe jest przedstawiane na wystawie przez kilka okazów zakładu rządowego w Bendzinie i walcowni rządowéj w Sławkowie. Zaznaczamy przy téj sposobności, że współudział w wystawie zakładów górniczych rządowych, zawdzięczać należy osobistéj inicyatywie inż. górn. Choroszewskiego, obecnego naczelnika tychże zakładów, znanego w piśmiennictwie naszém autora cennych prac z dziedziny dziejów górnictwa krajowego. Dzieje rozwoju i upadku hutnictwa cynku w Polsce są pouczającym przykładem niezaradności naszéj w dziedzinie przedsiębierstw przemysłowych. Przed niedawnym czasem cynk nasz był przedmiotem wywozu i znajdował odbyt w Anglii,—obecnie dowóz cynku z zagranicy wynosi 50% wartości produkcyi krajowéj. Hutnictwo cynkowe powstało w Europie dopiero w początku bieżącego stulecia, przedtém albowiem znano cynk tylko jako domieszkę do miedzi przy wyrabianiu mosiądzu, do czego używano cynk pod postacią galmanu prażonego. Wprowadzenie w użycie i handel cynku, jako kruszcu otrzymywanego z galmanu, dało u nas pochop do podjęcia nowych starań około odbudowy kopalni Olkuskich. Wprawdzie za-

biegi około osuszenia tych kopalni datują się już od XVIII stulecia, ale dawniejsze usiłowania podjęte za Augusta II, Augusta III i następnie za Stanisława Augusta, miały głównie na celu odrodzenie kopalnictwa srebronośnego błyszczu ołowiu,—późniejsze zaś prace, prowadzone za Księstwa Warszawskiego i po przywróceniu Królestwa miały na widoku przeważnie eksploatacyą galmanu. Ciekawą i pouczającą jest historya tych wiekowych wysiłków,—które podejmowane z niestrudzoną gorliwością, stale rozbijały się już-to o rzeczywiste trudności techniczne i finansowe, już-to o opór i brak poparcia właściwych władz, lub upadały w skutek niepomyślnego stanu stosunków politycznych i ekonomicznych kraju. Barwny obraz dziejów kopalni Olkuskich skreślił inż. Choroszewski (1), na podstawie aktów urzędowych, a my wspominany o tém, ze względu, iż na wystawie są uwidocznione ostatnie prace, podjęte w tym kierunku. Znajdujące się na wystawie plany robót przeprowadzonych w latach 1880—1883, według projektów i pod kierunkiem technicznym zmarłego niedawno inż. Kosińskiego, stanowią wymówną ilustracyą do optymistycznych nieco poglądów ich autora, wyrażonych w rozprawie tegoż, ogłoszonéj w tomie II „Pamiętn. Fizyograficznego“.

Produkcya galmanu w kopalniach Olkuskich wynosiła w roku 1868: 96.108, w r. 1870: 83.900 i w r. 1873: 100.888 badyj. (2).

Dolomit bogaty w galman napotyka się także na zachód od Olkusza aż pod Strzemieszyce, Ząbkowice i Siewierz. Z kopalń rządowych i prywatnych, znajdujących się w okolicach tych, wydobyto w r. 1881 (3) ogółem 6,3 milion. pudów. Ogólna produkcya cynku wynosiła w r. 1881: 181.409 pudów, dowóz zaś cynku z zagranicy w tymże roku 101.460 pudów (4). Pomimo więc, że okolice Dąbrowy są jedyném ogniskiem dostawy cynku na królestwo i cesarstwo, produkcya tego metalu nie przekroczyła dotychczas skromnych rozmiarów i zaspakaja zaledwie 66% ilości zapotrzebowań.

Cynk wyrabiają obecnie w kraju naszym tylko dwa zakłady rządowe (w Bendzinie i Sławkowie) i zakłady sukcesorów Kramsty w Sosnowcu. Biel cynkową zaś, jako produkt przetworu samego cynku metalicznego, wyrabia na większa skalę tylko zakład sukcesorów Kramsty. Produkcya bieli cynkowéj w r. 1881 wynosiła oko-

---

(1) Porówn. Choroszewski: Rozwój górnictwa krajowego w król. Polskiém. Przeg. Techniczny, T. I, II i III.

(2) Jedna badya galmanu waży około 15 pudów.

(3) Porównaj „Gornyj Żurnał“ za rok 1882.

(4) Porówn. Sprawoczn. kniga perew. towarow czerez tamożni Ros. Imp. 1881.

ło 45.000 pudów, dowóz zaś produktu tego z zagranicy w tymże roku: 77,611 pudów (1).

Urządzenia techniczne rządowych kopalni galmanu i zakładów cynkowych są bardzo niedostateczne i pod żadnym względem nie odpowiadają wymaganiom nowoczesnéj techniki. O wiele wyżéj stoją zakłady sukcesorów Kramsty, które jednakże nie są reprezentowane na wystawie.

Gipsy formacyi miocenicznéj, stanowiące jednę z najbardziéj rozpowszechnionych skał w Miechowskiém i Kieleckiém, są obecnie eksploatowane przeważnie w okolicach Czarkowy. W pokładach téj okolicy znajduje się gips rozmaitéj budowy, zwłaszcza zaś krystaliczny, drobno-ziarnisty, bezkształtny, zbity, ziemisty i bitumiczny. Gips krystaliczny, dostawiany jest z miejsc eksploatacyi w odłamach Nidą i Wisłą do Warszawy (2). Gips krystaliczny w stanie zmielonym stanowi dobry materyał nawozowy, po wypaleniu zaś używany jest do robót sztukateryjnych. Obecna produkcya gipsu w królestwie nie zaspakaja potrzeb fabryk miejscowych. Na wystawie fabrykacya gipsu jest ilościowo słabo reprezentowana przez okazy jednego zakładu warszawskiego, sprowadzającego materyał surowy (gips w odłamach) z gub. Kieleckiéj i Galicyi.

Pokłady gipsu w okolicach Czarkowy mają dla przemysłu jeszcze i tę doniosłość, że dały początek uposadzeniom siarki rodziméj, która w pewnych warunkach tworzy się jako produkt rozkładu chemicznego gipsu. Zawartość siarki w skałach gipsowych około Czarkowy ma być bardzo znaczną (do 20%), a że zapas skały, zawierającéj siarkę, na przestrzeni obecnie eksploatowanéj oblicza już. Kondaki (2) na 21,5 milj. pudów, przeto ilość siarki czystéj wynosi w przybliżeniu 4,3 milj. pudów. Na wystawie reprezentowane jest górnictwo i hutnictwo siarczane przez okazy rudy siarczanéj, oraz siarki surowéj i rafinowanéj, pochodzące z jedynych większych zakładów w kraju naszym, należących do braci Puslowskich w Czarkowéj.

Gliny znajdujemy w obrębie królestwa w licznych bardzo pokładach. W przemyśle znajdują jednakże zastosowanie przeważnie tylko te gatunki gliny, które po zmieszaniu z wodą dają się łatwo urabiać w pewne formy i przez wysuszenie nie tracą nadanego im kształtu, a przez wypalenie nabierają znacznego stopnia twardości.

---

(1) Ibidem.

(2) Porówn. Hałaczkiewicz: O bogactwie mineralném w król. Polskiém. „Inż. Bud. T. VII, str. 79.

(3) Porówn. Przeg. Techn. T. XVII.

Gliny takie znane są pod nazwą glin plastycznych. Stopień plastyczności gliny zależy przeważnie od ilości i gatunku przymieszek zanieczyszczających krzemian gliny. Gliny czyste, których główną częścią składową jest krzemian glinu, czyli tak zwane gliny ogniotrwałe, nie topnieją nawet w bardzo wysokiéj temperaturze. Natomiast gliny, które oprócz krzemianu glinu, zawierają okruchy kwarcu, miki, dolomitu itp. są łatwo topliwe.

Glinki ogniotrwałe formacyi Kaypru znajdują się w kraju naszym przeważnie w okolicach Siewierza, Strzemieszyc, Twardowic, Trzebiesławic. W Mierzęcicach i Siewierzu, napotykają się (według Pusch'a) 6—8 sążni grube pokłady glin pstrych w warstwach, z których najniżéj położona zawiera glinkę białą. Téjże saméj formacyi glinki ogniotrwałe napotykają się w znacznéj ilości pomiędzy Kielcami a Piotrkowem, a zwłaszcza w okolicach Rudy Malenieckiéj i Piotrkowa. Wydobywana pod Siewierzem glinka ogniotrwała ma zbyt nie tylko w kraju, ale i zagranicą (1).

Glinę łupkową formacyi mioceniczn éj, charakteryzują w kraju naszym wytryskające z téjże źródła slone i naftowe (2).

Gliny piasczyste i mamutowe form. dyluwialnéj, znajdują się przeważnie w powiatach: Miechowskim, Stopnickim, Opatowskim i Sandomierskim, oraz w niektórych miejscowościach gub. Lubelskiéj.

Kaolinu, który stanowi podstawę wyrobów z gliny białéj (porcelany, fajansu, majolik itp.) dotychczas w królestwie nie odkryto.

Pomimo obfitości pokładów gliny i taniego materyału opałowego, przemysł ceramiczny w kraju naszym, do niedawna, bardzo mało był rozwinięty, co niesłusznie przypisywano właściwościom chemicznym gliny krajowéj. Analizy przez dra Weinberga, w roku zeszłym przeprowadzone, udowodniły, że niektóre gatunki glin krajowych, używane dotychczas do wyrobów garncarskich i do wyrobu cegły, nadają się do wytworniejszych wyrobów ceramicznych.

Z jedynym może wyjątkiem fabryki w Nieborowie, żaden inny zakład ceramiczny w kraju naszym nie stoi na wysokości współczesnéj techniki za granicą. Wyroby fajansowe zakładów krajowych, nie dorównywują zagranicznym, ani pod względem twardości skorupy, ani też pod względem piękności polewy. Według dra Wein-

---

(1) Hałaczkiewicz w Inż. i Bud. T. VI.

(2) Źródło nafty odkryto przed niedawnym czasem w okolicach wsi Zalucze (gmina Wójcza, w gub. Kieleckiéj). Źródło to nie zostało jeszcze dokładnie zbadane,— jest jednak już eksploatowane przez zawiązane w tym celu towarzystwo udziałowe. Na wystawie znajdują się okazy wydobywanéj ropy naftowéj, oraz przebitych pokładów górnych. Rafinerya dotychczas urządzoną nie została.

berga, wytrzymałość na zgniecenie fajansów krajowych wynosi zaledwie $1/_6$ część wytrzymałości fajansów belgijskich i angielskich.

Majoliki wzorowo prowadzonéj fabryki w Nieborowie dorównywają wyrobom francuskim i włoskim, zarówno pod względem dobroci materyału i sposobu wykonania, jako téż gustownych form i właściwego doboru barw. Równość emalii nie pozostawia nic do życzenia.

Wyrób kafli piecowych ograniczał się do niedawna na najprostszych gatunkach. Kafle wytworniejsze zaś sprowadzano z zagranicy. W ostatnich latach dopiero powstały w kraju wzorowo urządzone i na większą skalę prowadzone fabryki kafli, których wyroby nie dorównywają wprawdzie jeszcze zagranicznym (zwłaszcza pod względem równości emalii), niemniéj jednak korzystnie świadczą o szybkim postępie téj gałęzi fabrykacyi w kraju naszym.

Ogólna produkcya roczna cegielni krajowych przedstawia wartość około 2,4 milj. rubli a fabryk porcelany i fajansu 0,2—0,3 milj. rubli (1).

Okazy gliny zwyczajnéj i ogniotrwałéj na wystawie są bardzo liczne. Objaśnienia jednakże co do składu chemicznego, oraz sposobów i rozmiarów eksploatacyi, nie zostały podane przez żadnego niemal z wystawców.

Wyrób cegły w różnych gatunkach, dachówek, gąsiorów i dren glazurowanych, korzystnie jest reprezentowany na wystawie przez okazy wzorowo urządzonéj i mającéj ustaloną renomę w kraju fabryki Granzowa w Kawenczynie. Na uwagę zasługują również wyborowe dachówki i gąsiory fabryki Ostrowskiego w Maluszynie,— oraz okazy fabryk Bojańczyka w Włocławku i Lesieckiego w Dąbrowie.

Fabryka „Nieborów" nadesłała piękną kolekcyą doskonałych wyrobów z terakoty, fajansu i majoliki.

Z licznych okazów kafli zasługują na bliższą uwagę piękne kafle zwyczajne i majolikowe, z materyału krajowego, wystawione przez fabryki Czernego w Warszawie i Braneckiego w Mszczonowie.

Hutnictwo szkła, którego produkcya roczna przedstawia pokaźną wartość 1,0—1,2 milj. rubli, jest na wystawie reprezentowane ilościowo słabo. Największa w kraju, wzorowo prowadzoua huta „Czechy", nie nadesłała żadnego okazu. Wyroby szklane hut w Targówku i w Klonowie oraz nowéj huty w Zawierciu przedstawiają się korzystnie.

---

(1) Porówn. Wolfheim: Tablica produkcyjności. Inż. i Bud. T. VI.

Z kamieni naturalnych kraju naszego znajdują największe zastosowanie w przemyśle kamienie wapienne i piaskowce. Produkcya marmurów w okolicach Kielc i Chęcin jest dotychczas mało rozwiniętą, ożywi się jednak prawdopodobnie w niedalekiéj przyszłości pod wpływem ułatwionéj komunikacyi kolejowéj.

Wapienie form. jurajskiéj posiadamy w niewyczerpanych niemal pokładach w południowo-zachodniéj części Królestwa zwłaszcza, w okolicach Strzemieszyc, Sosnowca, Zawiercia aż po Częstochowę i Piotrków. Niezależnie od wapieni z formacyi jurajskiéj posiadamy w różnych okolicach kraju wapienie z formacyi trzeciorzędowéj, które dotychczas mało jeszcze są zbadane. Z epoki trzeciorzędowéj pozostały mianowicie w kotlinach torfowisk, łąk i wód, liczne i znaczną niekiedy grubość posiadające osady skorupiaków, dające często do 95% czystego węglanu wapna (1). Wapienie form. jurajskiéj są prawidłowo wydobywane na większą skalę w licznych łomach, powstałych w pobliżu drogi żel. Warsz. Wiedeńskiéj, pomiędzy Radomskiem i granicą państwa. Wapienie te znajdują odbyt w stanie surowym, jako kamienie wapienne i w stanie przepalonym, jako wapno nielasowane, używane do zaprawy, lub jako miał wapienny do nawozów. Jako materyał budowlany są cenione zwłaszcza kamienie wapienne z pod Strzemieszyc i Częstochowy. Przy wszystkich niemal większych kamieniołomach urządzone są piece do wypalania wapna, idące na węglu. Wapna do zapraw w wyborowym gatunku dostarczają piece w Sosnowcu, Dąbrowie, Rudnikach i Zawierciu. Wapienie formacyi trzeciorzędowéj nie są nigdzie na większą skalę wydobywane,—pomimo że dają dobre wapno budowlane i nawozowe. Okoliczność ta nasunęła w ostatnich czasach technikom naszym myśl zużytkowania materyału tego przez zaprowadzenie w kraju budowli mieszaniną wapna z piaskiem (Pise'bau) i wyrobu cegieł wapienno-piaskowych (2). Budowle z masy wapnolitéj i z cegieł wapienno-piaskowych znalazły już oddawna zastosowanie zagranicą, a zwłaszcza we Francyi i w Niemczech. Spodziewać się więc należało, iż na wystawie tegorocznéj spotkamy się z wynikami pierwszych prób przeprowadzonych w kraju naszym, które, o ile to nam skądinąd wiadomo, wypadły pomyślnie. Nie bez pewnego zdziwienia przychodzi nam przeto zaznaczyć, że tak gorliwie zrazu podjęta i popierana sprawa zużytkowania pokładów wa-

---

(1) Porów. Trejdosiewicz w „Encykl. Rolniczéj."

(2) Porów. Chrzanowski: Budowla mieszaniną wapna z piaskiem oraz sposób robienia ciegieł wapienno-piaskowych. Włocławek 1883. Nakładem H. Neumann'a.

piennych, stanowiących dotychczas w wielu okolicach kapitał zupełnie bezprodukcyjny, popadła w stan uśpienia i że inicyatorowie jéj żadnego udziału w wystawie nie wzięli. Produkcya kamieniołomów i pieców południowo-zachodniéj części kraju jest reprezentowaną na wystawie przez wyborowe okazy wapna z kopalni Kanigowskiego w Rudnikach. Na uwagę zasługują również okazy wapna z góry „Kadzielnia", wypalanego w piecach Zglenickiego w Kielcach, oraz z kopalni w Sulejowie.

Piaskowce lijasowe, drobno-ziarniste, białe, eksploatowane są przeważnie w łomach pod Kunowem i Szydłowcem oraz w okolicach Mniowa (gub. Kielecka). Zastosowanie znajdują jako materyał budowlany i jako doskonały kamień młyński. Kamień ciosowy Szydłowiecki jest ceniony jako wyborny materyał budowlany i do robót rzeźbiarskich, dotychczas jednak pomimo ułatwionéj komunikacyi kolejowéj produkcya ogólna jest nieznaczną. Na wystawie spotykamy okazy kamieni młyńskich, wyrobionych z piaskowców krajowych w fabryce Skoryny na Pradze.

Fabryczny przemysł żelazny zajmował przed niedawnym jeszcze czasem mało wybitne stanowisko w ogólnéj produkcyi przemysłowéj kraju naszego. W obec niełatwéj do zwalczenia konkurencyi wyrobów zagranicznych, fabryki krajowe znajdwoały się w trudnych warunkach, a wyroby krajowe przedstawiały się niepokaźnie, gdyż skromne urządzenia zakładów nie dawały możności wprowadzenia ulepszonych metod produkcyi. Dopiero pod wpływem utrudnionego współzawodnictwa zagranicy wytwórczość fabryk krajowych szybko wzmogła się i doszła w początkach bieżącego dziesiątka lat do pokaźnéj wartości 8 milj. rubli rocznie (1). Szybki ten wzrost produkcyi nie wpłynął jednakże ujemnie na gatunek wyrobów: miejsce albowiem ustępującego współzawodnictwa zagranicy, zajęło współzawodnictwo wyrodzone wewnątrz kraju, wskutek powstania nowych zakładów, założonych przez firmy poważne a urządzonych i prowadzonych wzorowo, z uwzględnieniem wymagań nowoczesnéj techniki przemysłu żelaznego. Głównemi ogniskami zbytu są przemysłowe okolice Królestwa i południowo-zachodnich gubernij cesarstwa. Charakterystyczną cechę rozwoju przemysłu żelaznego w kraju naszym przedstawia okoliczność, że przedmioty na potrzeby dróg żelaznych, oraz maszyny, przyrządy i aparaty dla zakładów przemysłowych cukrowniczych i gorzelniczych,—stanowią

(1) Wolfheim. Jnż. i Bud. T. VI.

najpokaźniejszą gałąź produkcyi fabrycznéj. Z pośród innych działów wytwórczości fabrycznéj górują ilościowo wyroby na potrzeby budownictwa i maszyny rolnicze. Na wystawie dział ten pracy przemysłowéj reprezentowany jest okazale przez wszystkie pierwszorzędne firmy kraju. Z szeregu licznych wyborowych okazów zasługują na szczególne wyróżnienie wyroby zasłużonéj dla przemysłu krajowego firmy „Lilpop, Rau i Loewenstein“, oraz wyroby kotlarskie i z blachy szwejsowanéj fabryki „Fitzner i Gamper“ w Sosnowcu a niemniéj aparaty i maszyny dla gorzelni gospodarczych, z fabryki „Borman, Szwede i Temler“ w Warszawie. Korzystnie świadczą również o postępie techniki przemysłu krajowego, dwie lokomobile leżące (o sile 10 koni każda) i wyborowe roboty kotlarskie firmy „Rudnicki i Kuczyński“ w Pruszkowie. oraz rury lane z fabryki „Scholtze, Repphan i Sp.“, tartaki do rżnięcia kloców tejże firmy oraz fabryki „Orthwein, Markowski, Karasiński“ w Warszawie, drezyna dla dróg żelaznych i maszyna do wyrobu gwoździ z fabryki Hantkego w Warszawie, rury z żelaza lanego, wyroby z blachy żelaznéj i przedmioty budowlane firmy „Rudzki i Sp.“ w Warszawie. Wszystkie te wyroby firm pierwszorzędnych świadczą o znacznym postępie technicznym produkcyi krajowéj w latach ostatnich. Najkorzystniéj jednakże uwydatnia się wpływ produkcyi krajowéj w fabrykacyi maszyn rolniczych. Przed niedawnym jeszcze czasem maszyny rolnicze sprowadzane były z zagranicy bez żadnego niemal wyboru,—obecnie zakłady krajowe w dobrze zrozumianym własnym interesie starają się o wyrabianie maszyn i przyrządów rolniczych przeważnie według modelów, uznanych w praktyce za dobre i korzystne dla rolnictwa krajowego,—a kierunek ten produkcyi krajowéj nie mógł oczywiście pozostać bez wpływu na jakość maszyn rolniczych, dostarczanych przez zakłady zagraniczne. Z pośród licznych maszyn i narzędzi rolniczych wyrobu krajowego, znajdujących się na wystawie, zasługują na wyszczególnienie wyroby fabryk „Lilpop, Rau i Loewenstein,“ „Rudnicki i Kuczyński,“ i „Warszawskiéj fabryki machin i narzędzi rolniczych“ oraz „Wolski i Sp.“ w Lublinie. Odrębne stanowisko w szeregu okazów téj kategoryi zajmują: Szaniawskiego przyrząd własnego pomysłu do zsypywania zboża, i nowa żniwiarka „Przodownica“, konstrukcyi inż. Grubińskiego, który już poprzednio dał się poznać z pomysłowości w dziedzinie budowy maszyn rolniczych. Zaznaczamy jednakże, iż przyrząd Szaniawskiego i żniwiarka Grubińskiego dotychczas praktycznie wypróbowane jeszcze nie zostały,—a wspominamy o nich jedynie jako o objawach samodzielnéj, pomysłowéj pracy.

Wzmagający się przemysł fabryczny powołał w ostatnich latach do życia kilka nowych gałęzi produkcyi, z pomiędzy których korzystnie reprezentowaną jest na wystawie fabryka pakunku amerykańskiego w Warszawie.

Odpadki fabryczne są u nas dotychczas z małemi wyjątkami materyałem nieprodukcyjnym,—a niekiedy są nawet powodem strat i niedogodności. Żuzel zalega wielkiemi hałdami place przy hutach naszych, utrudniając eksploatacyą i stanowiąc źródło licznych niewygód, pomimo że za granicą znalazł już oddawna korzystne zastosowanie w przemyśle i że technicy nasi niejednokrotnie kwestyą tę podejmowali (1).

Fabrykacya powozów, wcielona przez komitet wystawy z nieodgadnionych powodów do grupy maszyn i przyrządów fabrycznych reprezentowaną jest przeważnie przez okazy powozów i karet zbytkownych. Wozy i bryczki wystawione zostały tylko przez dwa zakłady: Augustynowicza i Sp. w Warszawie i Szczepanowskiego w Szydłowcu.

Reasumując poglądy na obecny stan fabrycznego przemysłu żelaznego, zaznaczamy, że większe fabryki są urządzone i prowadzone wzorowo i że wyroby przedstawiają się w ogóle korzystnie i uwidoczniają postęp w konstrukcyi i sposobach wykonania. Kierunek rozwoju produkcyi jest jednakże dotychczas bardzo jednostronnym i obliczonym niemal wyłącznie na zaspokojenie potrzeb rolnictwa i gałęzi przemysłu, silniéj w kraju naszym rozwiniętych (zwłaszcza zaś cukrownictwa, gorzelnictwa, młynarstwa i piwowarstwa). Motorów parowych słabych (o sile nie przekraczającéj 1—4 koni parowych) nie ma wcale na wystawie,—przyrządów i maszyn na potrzeby drobnego przemysłu spotkaliśmy nie wiele i to w okazach, świadczących o pewném zaniedbaniu téj gałęzi przemysłu u nas. Słabo lub wcale nie są reprezentowane na wystawie maszyny i przyrządy do obróbki metalów, kości, kamieni, szkła, ziem, gliny, do zaróbki ciasta, kitów itp., obliczone na siłę ręczną, lub motory słabe. Nawet maszyny do szycia, znajdujące w różnych swych odmianach, tak rozległe zastosowanie w rzemiosłach i rękodziełach, nie są w kraju wcale wyrabiane, a okazy odnośne na wystawie pochodzą z fabryk zagranicznych.

W obec takiego stanu rzeczy zachodzi pytanie, czy może w ogóle być mowa o istnieniu u nas przemysłu drobnego, opartego na racyonalnéj technice i mogącego w pewnych gałęziach wytwór-

---

(1) Między innemi: Kozłowski w Przegl. Techn. T. XVI. i Hałaczkiewicz w Inż. i Bud. T. VII.

czości uzupełniać przemysł wielki, lub z tymże współzawodniczyć?—Do kwestyi téj postaramy się powrócić jeszcze przy przeglądzie okazów rzemiosł krajowych.

Przemysł tkacki w głównych swych rodzajach stanowi najwięcéj rozwiniętą gałąź pracy przemysłowéj w kraju naszym. Wartość albowiem ogólna produkcyi rocznéj dochodzi do kolosalnéj w naszych stosunkach sumy 60 milion. rubli (1), z których przypada na fabryki przędzalno-tkackie bawełny około 35—36 milj. rubli,—sukna i wełny około 18—20 milj. rubli, zaś lnu, konopi i jedwabiu około 4 mil. rubli. Cała wytwórczość przemysłu tkackiego koncentruje się przeważnie w kilku wielkich i wzorowo urządzonych fabrykach,—natomiast tkactwo jako przemysł drobny mało jest u nas rozwinięte.

Przemysł bawełniany, do którego prócz przędzalnictwa zaliczamy farbowanie, bielenie, drukowanie i wyrób waty, ma główne swe ogniska w trzech wielkich fabrykach: Scheibler'a i Poznańskiego w Łodzi i Towarzystwa udziałowego (dawniéj Ginsburgów) w Zawierciu, których produkcya wynosi razem około 60% odnośnéj ogólnéj produkcyi kraju.

Przemysł wełniany, do którego prócz przędzalnictwa i tkactwa zaliczamy pranie i czesanie wełny, jest stosunkowo mało dotychczas rozwinięty. Są wprawdzie w Łodzi fabryki pokaźne wyrobów wełnianych,—nie posiadają jednak zakładów dla czesania i prania wełny, którą w stanie gotowym do użytku fabrycznego sprowadzają z zagranicy.

Przemysł lniany ma główne swe ognisko w fabryce Żyrardowskiéj, któréj produkcya roczna stanowi 75-80% wartości ogólnéj produkcyi odnośnych zakładów krajowych. Cyfra ta wymownie świadczy, że drobny przemysł lniany u nas prawie wcale nie istnieje. Natomiast w innych krajach, a zwłaszcza w sąsiednim nam Szlązku, drobny przemysł lniany zdołał utrzymać się na wybitném stanowisku w produkcyi miejscowéj, pomimo silnego współzawodnictwa fabryk. Warsztaty albowiem, urządzone z uwzględnieniem współczesnych wymagań techniki i prowadzone odpowiednio do odrębnych potrzeb i warunków bytu drobnego przemysłu, dostarczają wyrobów, które ustępują wprawdzie fabrycznym pod względem wytworności wykonania, przewyższają je jednak pod względem trwałości,

---

(1) Wolfhelm. Inż. i Bud. T. VI.

i wskutek tego znajdują odbyt w klasach mniéj zamożnych i między włościanami.

Fabrykacya sukna i kortów koncentruje się przeważnie w okolicach Zgierza, Kalisza i Tomaszowa. Wyroby nie dorównywują zupełnie zagranicznym, mają jednak jako znacznie tańsze, rozległy odbyt w kraju i cesarstwie.

Przemysł konopny i wyrób dywanów są mało bardzo rozwinięte w kraju naszym i nie pokrywają potrzeb miejscowych. Toż samo da się powiedziéć o fabrykacyi filców i przemyśle jedwabniczym. Wyroby konopne i dywany tanie w gatunkach pośledniejszych, sprowadzane są do nas przeważnie z Rosyi, gdzie stanowią przedmiot bardzo rozgałęzionego przemysłu drobnego.

Na wystawie reprezentowany jest przemysł tkacki bardzo okazale przez wyroby wszystkich niemal pierwszorzędnych zakładów w kraju. Korzystnie wyróżniają się wyroby bawełniane towarzystwa „Zawiercie“ i fabryk łódzkich Scheibler'a i Poznańskiego—wyroby lniane i pończosznicze fabryki Hielle i Dittrich'a w Żyrardowie,—wyroby wełniane fabryk Wiener'a i Meyer'a w Łodzi, oraz sukna i korty dziesięciu fabryk tomaszowskich, i zakładów Braci Repphan w Kaliszu i Borsta w Zgierzu.

Drzewo w stanie surowym i jako materyał budowlany stanowiło u nas oddawna przedmiot rozległego handlu wywozowego. Pomimo znacznego wytrzebienia lasów w latach ostatnich i niedostatecznéj opieki władz nad gospodarstwem leśném, obecny drzewostan Królestwa jest jeszcze względnie znaczny. Według zestawienia sporządzonego przez B. Aleksandrowicza, na podstawie danych urzędowych (1), ogólna powierzchnia lasów niewyrąbanych i wyrąbanych, lecz odmłodnionych w kraju naszym, miała w r. 1880 wynosić 4368,9 tysięcy morg. miary polskiéj. Wartość wywożonego corocznie z kraju drzewa wynosi około 30 milion. rubli. Pomimo bogactwa lasów przemysł drzewny bardzo mało się rozwinął i potrzeb miejscowych nie pokrywa. Wartość corocznie przywożonych z za granicy wyrobów drzewnych wynosi około 5 milj. rubli (2). Dopiero pod wpływem szybkiego zmniejszania się drzewostanu w kraju, zrodziła się dążność do jaknajkorzystniejszego spotrzebowania drzewa wyciętego, i powstawały fabryki wyrobów drewnianych, prowadzone

(1) Porówn. B. Aleksandrowicz: Obecny stan lasów i sadów w Królestwie Polskiém, 1880 r.,—oraz Wykaz lasów i sadów w Król. Polsk. „Inż i Bud.“ T. VII.

(2) Hałaczkiewicz. Inż. i Bud. T. VI.

na większą skalę. Oprócz zwykłych wyrobów stolarskich i ciesielskich zaczęto wyrabiać głównie posadzki dębowe i forniery. Wyroby tego rodzaju są reprezentowane na wystawie przez okazy fabryki Tworkowskiego w Warszawie, fabryki w Tajkurach (gub. Wołyńska) i zakładów Szokalskiego i Żarskiego w Warszawie. Stolarstwo zaś korzystnie się przedstawia w licznych okazach, które jednak pod względem wytworności wyglądu i konstrukcyi nie dorównywują wzorom zagranicznym.

Odrębne stanowisko zajmuje fabrykacya mebli giętych, reprezentowana u nas przez kilka większych zakładów, pomiędzy któremi pod względem rozmiarów i sposobów produkcyi pierwsze miejsce zajmują wzorowo urządzone i prowadzone fabryki towarzystwa akcyjnego „Wojciechów“. Fabryki „Wojciechów“ są jedyne w kraju, które materyał gięty przygotowują na większą skalę na miejscu z drzewa krajowego. Produkcya roczna zakładów Wojciechowskich wynosiła w roku 1876: 40.000 sztuk mebli, obecnie doszła do 170.000 sztuk, z wartością około 0,4 mil. rubli. Główném ogniskiem zbytu jest cesarstwo, w królestwie sprzedają się tylko około 10% ogólnéj produkcyi. Wyroby fabryk Wojciechów, ze względu na materyały, wykonanie i konstrukcyą nie ustępują najlepszym tego rodzaju wyrobom zagranicznym. Na wystawie reprezentowane są zakłady Wojciechowskie przez piękne okazy mebli giętych, zwyczajnych, oraz stylowych, odznaczających się czystością rysunku i gustownym doborem barw.

Wojłok roślinny (materyał torfowy), eksploatowany w lesistéj okolicy Otwocka jest przerabiany na miejscu w fabryce parowéj, na środki dezynfekcyjne i materyały nawozowe. Ocena materyału torfowego, przerabianego w Otwocku na cele dezynfekcyi, ogłoszona przez Komitet Sanitarny Warszawskiego towarzystwa lekarskiego (1), orzeka w zasadzie, iż jakkolwiek materyał torfowy nie jest środkiem dezynfekcyjnym w ścisłém tego słowa znaczeniu, to jednakże domieszka materyału torfowego do zawartości kloacznych (w stosunku około 112 funtów rocznie na osobę), wywiera pożyteczny wpływ, gdyż materyał torfowy posiada własności odwaniające i absorbujące w znacznéj mierze części płynne. Skuteczność środka tego zależy w znacznéj części od właściwego unormowania dozy i starannego mieszania wsypki z zawartością dołu. Używanie materyału torfowego do odwaniania waterklozetów w mieszkaniach jest niewłaściwe, gdyż korzystne zastosowanie może środek ten znaleść tylko

(1) Porówn „Gaz. Lekarska“, Nr. 6 z r. b.

w większych zbiornikach nieczystości i dołach kloacznych. Na wystawie znajdują się okazy różnych przetworów wojłoku roślinnego z téj fabryki.

Przemysł chemiczno-fabryczny jest w kraju naszym w rozlicznych odgałęzieniach silnie rozwinięty. Rozmiarami produkcyi górują w tym dziale pracy przemysłowéj cukrownie i gorzelnie.

Przemysł cukrowniczy po okresie świetnego rozwoju, znajduje się obecnie w trudnych warunkach bytu zarówno u nas, jako też w cesarstwie. Zastój w handlu cukrem przy niemożności zmniejszenia produkcyi,—i co zatém idzie nagromadzenie się zapasów i obniżenie cen,—były bezpośredniemi przyczynami obecnego przesilenia cukrowniczego. Zaznaczamy sam fakt, nie siląc się na rozjaśnienie głębszych jego powodów, i poprzestając na zaznaczeniu jedynie kilku wybitniejszych szczegółów, charakteryzujących obecną fazę rozwoju cukrownictwa w królestwie. Kampania 1880/81 r. była ostatnią pod dawniejszą zasadą obliczania opłat podatkowych, według ilości przerabianego materyału (buraków). Prawo z r. 1881, wprowadzające obowiązującą obecnie zasadę obliczania podatku, według ilości wyprodukowanego cukru (mączki lub rafinady), zaskoczyło cukrownie nasze bezpośrednio przed otwarciem kampanii 1881/82 r., w skutek czego przystosowanie warsztatu do pomienionéj zasady mogło nastąpić dopiero przed kampanią 1882/83 r. Pomimo niezwykłego urodzaju buraków w r. 1882/83 w królestwie, ogólny urodzaj w całém państwie rosyjskiém dał wyniki tylko średnie. Według sprawozdań urzędowych, podczas kampanii 1882/83 r. było w królestwie czynnych fabryk 40, w których wyrobiono cukru (mączki i rafinady) 149.6 mil. funtów. Podczas dwóch następnych kampanij było w królestwie czynnych fabryk 42, a ogólna produkcya wynosiła w 1883/84 roku 111,8, a w 1884/85 roku 150,0 mil. funtów. Zaznaczamy przytém, iż produkcya ogólna w królestwie i cesarstwie razem wynosiła w 1882/83 roku 711,0, w 1883/84 roku 789,3 i w 1884/85 roku 828,8 milj. funtów (1). Dla zaradzenia choćby częściowo klęskom, wynikającym z obecnego przesilenia, wyznaczyła sekcya II warszawskiego oddziału towarzystwa popierania przemysłu i handlu oddzielną komisyą, która ma zająć się zbadaniem niektórych proponowanych środków ulepszenia i uproszczenia sposobów produkcyi.

Gorzelni znajduje się w królestwie (według danych za rok 1883) 456, których produkcya roczna przedstawia wartość około 14 mil.

---

(1) Przegl. Techn. T. XXI, str. 70 i nast.

rubli. Fabryk wódek, araku, likierów itp. jest czynnych (1883 r.) 403, z roczną produkcyą około 2 milionów rubli (1).

Wartość produkcyi rocznéj garbarni i fabryk białoskórniczych wynosi około 2 milj. rubli,—browarów (wraz z fabrykami porteru, miodosytniami itp.) około 3—3,5 milj. rubli,—fabryk papieru 1,6 milj. rubli,—mydlarni 1,6 milj. rubli. Roczna produkcya innych działów przemysłu chemicznego (jak np. fabrykacyi olejów mineralnych, smarów, krochmalu, produktów suchéj destylacyi drzewa i węgla, farb, lakierów itp.), jest znacznie mniejszą i w żadnéj gałęzi nie dochodzi do miljona rubli.

Najokazaléj ilościowo reprezentowane są w tym dziale przemysłu na wystawie browary, gdyż niemal wszystkie pierwszorzędne firmy piwowarskie kraju przyjęły udział w wystawie; — natomiast cukrownictwo jest reprezentowane przez okazy tylko dziesięciu fabryk,—gorzelnictwo i dystylarnie zaś przez okazy 8 fabryk.

Garbarstwo ma u nas wielu zasłużonych krajowi i powszechnie znanych przedstawicieli. Przemysł garbarski i białoskórniczy koncentruje się głównie w wielkich fabrykach warszawskich, które nie tylko ze względu na wartość produkcyi rocznéj, ale i z uwagi na wzorowe urządzenia zajmują pierwsze w kraju miejsce. Na szczególne wyróżnienie zasługują znane i ustaloną renomę posiadające firmy warszawskie: „Bracia Szlenkier“, „Pfeifer“, „Temler i Szwede“, „Fröhlich“, „Lüdtke“. Na wystawie reprezentowane jest garbarstwo przez okazy siedmiu pierwszorzędnych fabryk warszawskich. Papiernictwo zaś przedstawiają okazy fabryki Mirkowskiéj i „Soczewka“. Nadto spotykamy na wystawie wyroby fabryk krochmalu i mączki kartoflanéj, przetworów chemicznych, farb i lakierów, olejów i smarów, świec i mydła.

Fabrykacya artykułów spożywczych jest w niektórych tylko gałęziach silnie rozwiniętą w kraju naszym. Najwybitniejsze stanowisko zajmują w tym dziale młyny parowe, których ogólna produkcya roczna w kraju przedstawia wartość blisko 17 milj. rubli. Drugie z rzędu miejsce zajmują fabryki tabaczne, z produkcyą roczną 4,4 milj. rubli i piekarnie parowe z produkcyą roczną 2,1 milj. rubli. Pokaźnie jest reprezentowane na wystawie młynarstwo przez okazy największych w kraju naszym i wzorowo urządzonych młynów parowych Kropiwnickiego w Warszawie, Beckermann'a w Firleju (gub. Radomska) i Bauernfeind'a w Gołkowie (gub. Suwalska). Piekarstwo natomiast reprezentują na wystawie okazy tylko jednego zakładu

---

(1) Wolfhelm. Inż. i Bud. T. VI.

(Kropiwnickiego w Warszawie). Z licznych w kraju naszym fabryk cygar i papierosów tylko trzy przyjęły udział w wystawie. Z innych artykułów spożywczych, wyrabianych w kraju, spotykamy na wystawie nieliczne okazy wyrobów cukierniczych, makaronów, musztardy, oraz masła i serów. Na wyszczególnienie zasługuje wyrób kefiru w zakładach Sigaliny w Warszawie i urządzenia mleczarni centryfugalnych, wystawione przez bar. Lesser'a, autora rozprawy o mleczarstwie centryfugalném (1).

Cement wyrabiany jest w kraju naszym dotychczas w jednéj tylko fabryce w Grodźcu (gub. Piotrkowska). W roku bieżącym ma rozpocząć produkcyą cementu druga, również na większą skalę urządzona fabryka pod Łazami. Wyroby fabryki Grodzieckiéj są cenione jako wyborowy materyał budowlany i nie ustępują cementom fabryk szląskich;—nie dorównywują jednakże cementom fabryk angielskich i fabryki rygskiéj. Produkcya cementu krajowego nie pokrywa potrzeb miejscowych.

Cement drzewny wyrabiany jest, o ile nam wiadomo, tylko w jednéj fabryce w Łodzi i ma nieznaczny odbyt.

Odlewy cementowe (roboty mozaikowe, kamienie posadzkowe, tafle i płyty, ozdoby, rury, żłoby i koryta) wyrabiane są w kilku większych zakładach w sposób zadawalniający.

Fabryk asfaltu i tektury smołowcowéj, urządzonych na większą skalę mamy w kraju kilka. Z tych najdawniejszą jest wzorowo prowadzona fabryka inż. Spornego w Warszawie, któréj wyroby mają ustaloną i zasłużoną renomę.

Jako zapowiédź nowych gałęzi przemysłu, które pod wpływem ułatwionéj komunikacyi kolejowéj rozwiną się prawdopodobnie w gub. Kieleckiéj i Radomskiéj—pojawił się na wystawie tripolit (trójkamień) wyrabiany w fabryce Stumpfa w Kielcach. Materyał ten budowlany nie jest dotychczas jeszcze dostatecznie zbadany. Zastosowanie znajdzie prawdopodobnie głównie w robotach sztukateryjnych.

Okazy drobnego przemysłu włościańskiego pomieszczone są na wystawie w oddzielnym pawilonie. Ktoby jednak złudzony nazwą pawilonu sądził, iż przekroczywszy próg jego znajdzie obraz przemysłowéj działalności ludu, rozwiniętéj i zorganizowanéj na pod-

(1) Porówn. Inż. i Bud. T. VI.

stawach nowoczesnéj techniki, że znajdzie wyroby warsztatów, posiłkujących się motorami drobnego przemysłu, lub okazy produkcyi, mogącéj zdobyć sobie warunki bytu w walce przeciwko wyrobom wielkiego przemysłu, ten dozna niemiłego rozczarowania, obejrzawszy tę garstkę wyrobów włościańskich, nadesłanych z różnych okolic kraju. Względnie najlepiéj przedstawiają się jeszcze wyroby z okolic odległych od głównych ognisk wielkiego przemysłu, jak np. płótna, sukna, dywany z wełny domowéj itp., wykonane przez włościan i szlachtę zagonową okolic Skrzeszewa w gubernii Siedleckiéj, gdzie (jakto nas katalog poucza) „każda gospodyni włościanka lub z drobnéj szlachty wyrabia rocznie ze swego lnu 60—100 łokci płótna, w połowie do zbycia na miejscu lub w miastach sąsiednich.“ Stosunkowo korzystnie przedstawia się także produkcya włościan w gałęziach pracy przemysłowéj nie doznających jeszcze zbyt silnego współzawodnictwa wielkiego przemysłu, jak np. eksploatacya i przeróbka torfu, w okolicach Rąbienia (w gub. Piotrkowskiéj), wyroby koszykarskie i z drzewa w różnych okolicach kraju, i wyroby szewckie i powroźnicze w osadach Pilicy i Praszce.

Lecz ogół pozostałych okazów przedstawia smutny obraz produkcyi, skazanéj na rychłą zagładę i mogącéj odrodzić się tylko pod wpływem zasadniczéj reformy sposobów wykonania i stosunków ekonomicznych. Drobny przemysł albowiem, ażeby mógł zdobyć sobie odrębne stanowisko w produkcyi krajowéj, musi oprzéć się na tanim kredycie, którego u nas nie posiada,—musi mieć możność nabywania dobrych materyałów z pierwszéj ręki,—musi starać się o tanie sposoby wykonania przez zastosowanie w warsztatach swych odpowiednich motorów, maszyn i przyrządów,—musi mieć możność korzystania z postępów i ulepszeń technicznych,—a przedewszystkiém musi być reprezentowany przez instytucyą, któraby mogła skutecznie stawać w obronie jego interesów ekonomicznych oraz regulować jego produkcyą przez wytwarzanie ognisk zbytu i wskazywanie materyałów, które winny być przerabiane, i celów dla jakich je przerabiać należy. Praca zatém około odrodzenia przemysłu drobnego winna być oparta na zasadach ekonomicznych i mieć na celu stworzenie produkcyi, którahy mogła stawić czoło współzawodnictwu. Szkółki wiejskie, zawdzięczające byt swój szlachetnym pobudkom jednostek, drobnego przemysłu nie stworzą, ani od zagłady go nie uratują,—gdyż nowe dźwignie życia ekonomicznego narodu nie powstają i nie rozwijają się w cieplarnianéj atmosferze filantropii. Jeśliby zaś kto sądził, iż pogląd nasz na obecny stan drobnego przemysłu włościańskiego jest zbyt pesymistyczny, niech odczyta choćby uwagi i objaśnienia osób, za których staraniem zebrane zostały oka-

zy, znajdujące się na wystawie. Oto p. Kijewski przesyłając roboty tkackie włościan wsi Błędowa (gub. Warszawska) objaśnia, że we wsi téj istnieje przemysł tkacki już od lat kilkudziesięciu i że „przed laty kilkunastu posiadał przeszło sto warsztatów, które prawie wszystkie przeniosły się do Żyrardowa, a pozostałe przerabiają sita, przetaki, kapelusze, wełniaki, i fartuchy wełniane i drelichowe," (zatém przeważnie wyroby nie mające silnego współzawodnictwa w przemyśle wielkim);—a pani Bigoszewska przesyłając wyroby włościanek z Bylin (gub. Piotrkowska) objaśnia, że włościanki w całéj okolicy zajmują się wyrobem tkanin i płótna,—z powodu jednak wygórowanych cen i trudności nabycia wełny surowéj, każda gospodyni domu tyle tylko produkuje, ile potrzebuje jéj własna rodzina. Smutniéj jeszcze przedstawiają się stosunki w innych okolicach, tak np. pisze p. Olechowski z pow. Władysławowskiego, że włościanie zajmują się przeróbką własnéj wełny i własnych nici ale tylko „na swoje potrzeby." „Zbywający zaś materyał surowy, którego jest podostatkiem, dostaje się w ręce żydów na wywóz za granicę."

Nadesłane na wystawę okazy robót włościańskich, zarówno te, które wykonane zostały przez ludzi szukających zysku i zmuszonych liczyć się z widokami zarobku lub straty, jak i te, które wykonane zostały pod opieką filantropii, pozwalającéj nie troszczyć się o korzystny obrót włożonego kapitału,—nie dowodzą więc bynajmniéj istnienia u nas drobnego przemysłu, jako samodzielnéj gałęzi pracy ekonomicznéj.

Nie lepszym jest stan drobnego przemysłu w miastach. I tu utrzymał się drobny przemysł tylko w tych gałęziach produkcyi, których nie objął jeszcze przemysł wielki,—ale dziedzina drobnego przemysłu z rokiem każdym się zmniejsza, a rzemiosła co raz to silniéj odczuwają zależność swoją od fabryk. Staramy się o zachowanie możebnéj objektywności w poglądach naszych, nie taimy jednak, iż do oceny wyrobów rzemiosł naszych chętnie zastosowalibyśmy odrębną skalę wymagań. Nie doznając opieki ni poparcia ze strony władz, nie mając możności korzystania z taniego kredytu, nie posiadając środków na wprowadzenie zasadniczych ulepszeń w sposobach produkcyi i przez zastosowanie odpowiednich motorów i maszyn,—są rzemiosła nasze pozostawione własnym siłom w walce z wzmagającą się przewagą fabryk. Wśród takich, warunków nie dziw, że na produkcyi rzemiosł widać przygniatający wpływ zależności od wielkiego przemysłu i że wyroby rzemiosł naszych nie dorównywają w ogóle zagranicznym ani pod względem dokładności wykonania i konstrukcyi, ani pod względem dobroci materyałów, ani wreszcie

pod względem artystycznym. Korzystny w tym kierunku wyjątek stanowi ślusarstwo, mające w kraju naszym dobrą tradycyą i starające się utrzymać na wysokości współczesnéj produkcyi zagranicą.

Ze względu na zakres i cel pracy niniejszéj, nie możemy szczegółowo rozpatrywać okazów każdéj z licznych gałęzi rzemiosł i rękodzieł reprezentowanych na wystawie. Zaznaczamy jednakże, iż w niektórych rzemiosłach uwidocznił się znaczny postęp w latach ostatnich, uwagę tę stosujemy przedewszystkiém do wyborów ślusarskich, jubilerskich, bronzowniczych i szczotkarskich.

Przemysł elektrotechniczny reprezentują obecnie w Warszawie głównie trzy zakłady. Z okazów na wystawie wymieniany dzwonki magnetyczne systemu Abakanowicza, nie wymagające bateryi. Termomikrofon pomysłu Ochorowicza przed ukazaniem się na wystawie naszéj zdobył sobie zasłużone uznanie za granicą, jako wynalazek samodzielny, mający doniosłe znaczenie w dziedzinie przyrządów telefonicznych.

W dziale pomocy naukowéj wyróżniają się na wystawie okazy szkół technicznych przy dr. żel. W.-W i W.-B., dr. ż. W.-Ter., oraz szkoły rzemiosł w Warszawie,—a nadto wydawnictwa Prószyńskiego (Promyka) i Szafarkiewicza.

Szkoły techniczne przy drogach żelaznych są właściwie jedynemi zakładami tego rodzaju w kraju naszym. Główne zadanie szkół tych polega na przygotowywaniu kandydatów do posad niższych w różnych gałęziach służby kolejowéj, zwłaszcza zaś maszynistów, telegrafistów, dozorców drogowych i warsztatowych. Nauka prowadzoną jest jednakże w ten sposób, iż uczniowie opuszczający szkołę mogą z korzyścią znaleść pomieszczenie w innych fabrykach i warsztatach,—lub po przejściu odpowiedniéj praktyki zakładać własne warsztaty. Wyroby szkoły technicznéj dróg żel. W.-W. i W.-B. (założonéj w r. 1875) znajdujące się na wystawie, a zwłaszcza rysunki, modele i roboty ślusarskie, zyskały ogólne uznanie i poklask techników, jako dowody znacznego uzdolnienia uczniów i poważnego pojmowania celu szkoły przez jéj kierowników.

Ocena wartości pedagogicznéj wydawnictw ludowych Prószyńskiego i mapy poglądowéj królestwa, ułożonéj z iście banedyktyńską pracowitością przez p. Wojcicką, wychodzi po za obręb naszéj kompetencyi. Zaznaczamy jednakże, iż mapa poglądowa p. Wojcickiéj, wydana znacznym kosztem i trudem przez redaktora „Inżynieryi i Budownictwa“ p. Szafarkiewicza, przedstawia się zewnętrznie bar-

dzo korzystnie i stanowi pod tym względem niezwykły objaw w dziedzinie wydawnictw naszych.

Kończąc uwagi nasze o tegorocznéj wystawie przemysłowéj w Warszawie, nie możemy nie zaznaczyć, iż w żadnym z działów fabrykacyi nie znaleźliśmy okazów ani objaśnień środków przedsięwziętych i przyrządów zastosowanych w celu ochrony zdrowia i życia robotników. Przy pewnych manipulacyach technicznych jak np. przy obróbce minerałów, przy szlifowaniu metalów itp. tworzą się okruchy lub opiłki, które są powodem chorób krtani, kanału oddechowego, i oczu;—przy niektórych procesach chemicznych wytwarzają się gazy szkodliwe dla zdrowia;—w salach fabrycznych robotnik pracuje zazwyczaj w warunkach hygienicznie niekorzystnych, a nadto narażony jest częstokroć na kalectwo lub utratę życia w razie nieumiejętnego lub nieostrożnego zachowania się. Okoliczności te oddawna już zwróciły uwagę hygienistów i techników za granicą. Na zeszłorocznéj wystawie motorów w Wiedniu umieścił prof. Reichel kolekcyą przyrządów służących do zabezpieczenia życia i zdrowia robotników, ze szczegółowemi objaśnieniami celu i sposobu zastosowania W zbiorze tym mieściły się przyrządy chroniące od wdychania gazów szkodliwych i opiłków metalicznych, oczochrony. modele, rysunki i opisy różnych systemów przewietrzania, ogrzewania i oświetlania sal fabrycznych;—przyrządy zastosowane lub zasługujące na zastosowanie dla zabezpieczenia robotników od następstw nieostrożności lub nieumiejętnego zachowania się przy maszynach, kadziach itp.,—a nadto różne części ubrania (rękawice, maski, ubrania nieprzemakalne itp.), które mogą być używane przez robotników bez uszczerbku dla wykonywanéj roboty a z korzyścią dla zdrowia.

Byłoby pożądaném, aby kwestya zaprowadzenia w fabrykach i warsztatach przyrządów ochronnych przeciw następstwom nieostrożności i środków dła polepszenia warunków hygienicznych pracy robotnika,—uregulowaną została ostatecznie przez wydanie odpowiednich przepisów. Zanim jednak to nastąpi, może sprawą tą zechciałoby zająć się towarzystwo popierania przemysłu i handlu i może w nieskończonym szeregu wniosków o podwyższanie ceł ochronnych, mających zabezpieczyć interesa wielkiego przemysłu i wielkich przemysłowców, znalazłoby się miejsce na skromny wniosek o obmyślenie środków celem zabezpieczenia życia i ochrony zdrowia robotników fabrycznych. Wszak ściśle biorąc, zdrowie tych tysiącznych zastępów robotniczych nie jest zupełnie bez wpływu ani

na jakość ani na ilość wyrobów;—polepszenie zatém warunków hygienicznych bytu robotnika jest także jednym z żywotnych interesów wielkiego przemysłu,—godnym poparcia choćby ze względu, że nieznaczne stosunkowo koszta i trudy sowicie się opłacą.

A może wreszcie kwestyę tę zechcieliby podjąć ludzie dobréj woli, których u nas nie brak, których działalność i dobre chęci ujawniają się przy każdéj niemal podejmowanéj pracy społecznéj, gdyż sprawa, którą poruszyliśmy, przedstawia wdzięczne pole dla pracy podjętéj z pobudek humanitarnych,—dla filantropii szlachetnéj i w skutach swych użytecznéj.

J. Heilpern.

WRAŻENIA LITERACKIE.

Die Irrthümer des Historismus in der deutschen Nationaloekonomie, von Dr. Carl Menger, o. ö. Professor der Staatswissenschaften an der Wiener Uniwersitaet. Wien 1884.

Zarówno profesorska godność autora, jak i poważny, przedmiotowy tytuł książki nakazywałyby przypuszczać, iż treścią pracy powyższéj stosownie do zapowiedzi jest polemika naukowa z poglądami ekonomistów szkoły historycznéj. Szkoła ta, przyjąwszy za podstawę swych badań i wniosków ubiegłe dzieje życia gospodarczego narodów, stanęła tym sposobem na jednakim gruncie ze wszystkiemi innemi dziedzinami wiedzy, które uznały metodę obserwacyi i doświadczenia za jedyną drogą dociekań, pewnie prowadzącą do celu. Ta to właśnie okoliczność sprawiła, iż wzmiankowany kierunek w ekonomii politycznéj wkrótce pozyskał sobie szerokie uznanie wśród świata naukowego i dziś już liczy wielu poważnych przedstawicieli we wszystkich krajach Europy. Naukowa więc polemika z zasadami tak wybitnéj szkoły, przedmiotowa krytyka jéj zapatrywań i wskazanie błędów, mogących wyniknąć z jednostronnego ujęcia przedmiotu, przedstawiałyby dla myślącego czytelnika wiele interesu. Z tego powodu książka Mengera z tytułu swego zaciekawić musi każdego, kto się zajmuje rozwojem tak ważnéj gałęzi wiedzy, jak nauka gospodarstwa społecznego. Niestety jednakże, tak wiele obiecujący na tytułowéj karcie, profesor wszechnicy wiedeńskiéj dotkliwie zawodzi czytelnika treścią swéj pracy. W rzeczywistości nie chodzi w niéj bynajmniéj o wykazanie błędów metody historycznéj, lecz o zemszczenie się na jednym z przywódców nowéj szkoły Gustawie Schmollerze, za nieprzychylną krytykę poprzedniego dzieła autora *Untersuchungen ueber die Methode der Socialwissenschaften und der politischen Oekonomie insbesondere*“ (1883).

Z potopu osobistych, często bardzo zaciekłych, docinków i wycieczek, zalewających około 100 stronic dziełka, można wyłowić zaledwie jednę myśl, mającą bezpośredni związek z przedmiotem zaznaczonym w tytule, a mianowicie, że studya historyczno i statystyczno-gospodarcze nie mogą dać odpowiedzi na wszystkie zagadnienia z dziedziny ekonomii, a skutkiem tego, obok metody historycznéj powinny być równouprawnione wszelkie inne drogi naukowego badania, którym szkoła historyczna żadnego znaczenia nie przyznaje. Nadto autor jest zdania, iż wzmiankowane studya powinny by być prowadzone przez specyalistów-historyków i statystów, gdyż praca ekonomistów na tém polu będzie zawsze tylko dyletantyzmem, a przeto owoce jéj nie będą nigdy budzić dostatecznego zaufania. Pierwsza z tych myśli, jakkolwiek słuszna, nie jest bynajmniéj nową; druga, również nie świeża, mogła by być przyjęta jedynie z silném zastrzeżeniem. Bo jeżeli ekonomista na polu badań dziejowych ustępuje historykowi z fachu pod względem znajomości źródeł, ich oceny krytycznéj itp., to za to z drugiéj strony jest więcéj świadomy swych celów, zna lepiéj wzajemny związek rozmaitych zjawisk ekonomicznych i dla tego daleko łatwiéj może zwrócić uwagę na wiele takich stron przedmiotu, które przez historyka mogłyby zostać niedostrzeżone, lub skutkiem nierozumienia ich ważności pominięte.

W obec tego wszystkiego, cośmy wyżéj powiedzieli, nasuwa się ostateczny wynik, że książka Mengera wzamian za kilka godzin wysiłku wzroku i uwagi nie daje czytelnikowi korzyści żadnéj.

W. W.

Wydawca, **W. Spasowicz.** — Redaktor, **Piotr Chmielowski.**

NOWE KSIĄŻKI

nadesłane do redakcyi „Ateneum“

w ciągu m. Czerwca 1885 r.

---

1. **Pomiary i znamiona charakterystyczne najwięcej znanych ras i odmian bydła nizinnego i górskiego**, według Lehnerta opisał *Wacław Koszutski*. Warszawa, 1885, str. 95 (z drzeworytami).
2. **Nasze stosunki społeczno-polityczne z życia** naszkicował, jako przyczynek do ich historyi i naprawy *Dr. Seweryn Robiński*. Berlin, 1885, str. 216. 8-o.
3. **Edward Adam Hr. Stadnicki**, przez *Wł. K.* Kraków, 1885, str. 13.
4. **Księgarnia Stanisława Giejsztora**. Dział antykwarski.—4. Katalog dzieł dawnych i wyczerpanych. Warszawa, 1885, str. VII i 195
5. **Historya filozofii od Talesa do Comte'a** przez *Jerzego Henryka Lewes'a*. Wolny przekład z 5-go angielskiego wydania Adolfa Dygasińskiego. Warszawa, nakład Lesmana, 1885. 8-o (Z. I, st. 96).
6. **T. Ribot. Choroby Woli**. Przełożył z francuzkiego *J. K. Potocki*. Warszawa, nakład księgarni Gruszeckiego. 1885, 8-o, str. 168.
7. **Złota przędza poetów i prozaików polskich**. Tom III, zeszyt 3 (ogólnego zbioru zeszyt 27) od str. 161 do 240. Warszawa, nakład Wł. Maleszewskiego i T. Paprockiego, 1885, 8-vo
8. **Marysia**. Komedya w jednym akcie. Przez *J. Jordana*. Warszawa, nakład T. Paprockiego, 1885, 8-o, str. 69.
9. **Karola K. Mill'a: Wykłady popularne zasad fizyologii i hygieny**, z dodatkiem rozdziału o alkoholu, tytoniu i innych narkotykach. Przełożył z angielskiego z upoważnienia autora *Henryk Wernic*. Warszawa, nakład Paprockiego, 1885, 8-o, str. XVI i 287.
10. *Michał Wołowski*: **Cyganiątko**. Powieść. Warszawa, nakład Paprockiego, 1885, 8-o, str. 233.
11. *Gabryela Śnieżko Zapolska*: **Akwarelle**. Warszawa, nakład Paprockiego. 1885, 8-o, str. 285.
12. **G. Perrot**, Le monument d'Eflatoun et une inscription Hittite (odbitka z „Revue archéologique“, zawierająca dwa listy prof. *Maryana Sokołowskiego*). Paris, 1885, 8-o. str. 8.
13. **O celu i znaczeniu istotnem przepisów o zatwierdzaniu niektórych aktów notaryalnych**. Sprostowanie opinii, w Podręczniku dla sędziów pokoju w okr. sądowym Warszawskim wyrażonej, przez Aura Podręcznika. Warszawa. 1885, str. 44.
14. *Teodor Jeske-Choiński*. **Pozytywizm warszawski i jego główni przedstawiciele**. Warszawa. 1885. str. 97.
15. **O Polsce**: napisał generał feldmarszałek *hr. Moltke*. Przekład z upoważnienia autora dokonany. Lipsk. Brockhaus, 1885, st. 103.
16. **Pisma Narcyzy Żmichowskiej** (Gabryelli) z życiorysem autorki skreślonym przez *d-ra Piotra Chmielowskiego*. Wydanie uskutecznione staraniem Redakcyi Bluszczu. Warsz. Nakład M. Glücberga. 1885, tom I, str. XLVI+282+II, tom 2-gi str. 280.

ATENEUM

PISMO NAUKOWE I LITERACKIE

wychodzi na początku każdego miesiąca zeszytami, najmniéj 12 arkuszy druku, zawierającemi.

Warunki przedpłaty.

Prenumerata **Ateneum** w Warszawie, w guberniach Królestwa i Cesarstwa oraz we wszystkich krajach należących do związku pocztowego wynosi:

Rocznie Rs. 12. Półrocznie 6. Kwartalnie 3 (tylko w Warszawie).

Prenumeratorów z prowincyi upraszamy o nadsyłanie prenumeraty bezpośrednio

DO REDAKCYI ATENEUM Włodzimierska, 14.

Spółka Nakładowa

Warszawska.

poleca następujące wydawnictwa swoje:

Jerzy Brandes: Szkoła romantyczna we Francyi, z portretem autora str. 402 rs. 2.

Herbert Spencer: Zasady etyki, z 3-go wydania oryginału angielskiego przełożył Jan Karłowicz rs. 2.

Światełko, książka dla dzieci, napisana zbiorowo przez grono wybitniejszych pisarzów polskich, w ozdobnej oprawie, z drzeworytami w tekście rs. 1 kop. 80.

Stanisław Kramsztyk: O postaci i ciężarze ziemi kop. 50.

Autorki polskie XIX stulecia. Zarysy literacko-obyczajowe przez Piotra Chmielowskiego. Cena rs. 2 kop. 50.

Nabywający dzieła powyższe w kantorze **Spółki (Zielna 7-a)** kosztów przesyłki nie ponoszą.

Дозволено Цензурою, Варшава. 20 Iюня 1885 г.